This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 7117.1.1425 (1)

Bought with the income of
THE
SUSAN A. E. MORSE FUND
Established by
WILLIAM INGLIS MORSE
In Memory of his Wife

Harvard College Library

MŁODOŚĆ MICKIEWICZA

TOM I.

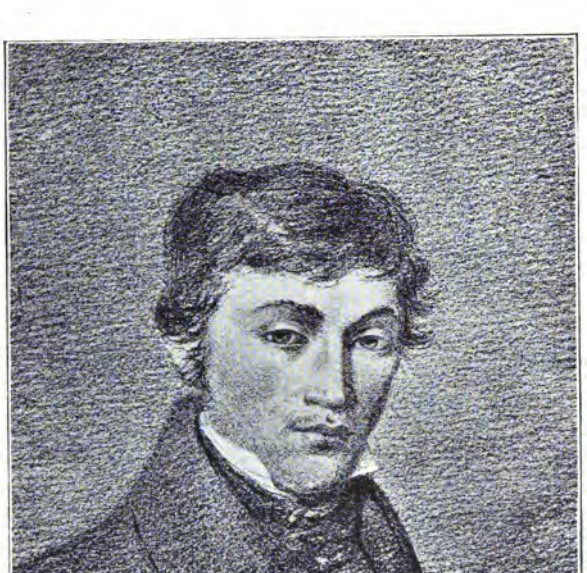

ADAM MICKIEWICZ

WEDŁUG KREDKOWEGO RYSUNKU WALENTEGO WAŃKOWICZA

z roku 1823.

JÓZEF TRETIAK

MŁODOŚĆ MICKIEWICZA

(1798—1824)

ŻYCIE I POEZYA

TOM I.

Z portretem Mickiewicza z lat młodych

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1898

Slav 711.7.1, 1425 [1]

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

OBJASNIENIE.

Przed laty czternastu wydałem książkę o Mickiewiczu, dającą obraz jego życia i poezyi z okresu młodości od 1815 do 1824 r. Od czasu wydania tej książki przybyły ogromne materyały do biografii naszego poety, a po części i do genezy jego poezyi. Dość jest wymienić pięć tomów Pamiętnika Towarzystwa im. Adama Mickiewicza, cztery tomy biografii napisanej przez syna, a mnóstwo nowego materyału przynoszącej, wreszcie zbiory dokumentów urzędowych do historyi Promienistych i Filaretów, wydane przez dr. Szeligę i Z. Wasilewskiego, nie mówiąc już o innych materyałach więcej luźnie wydanych przez T. Wierzbowskiego, T. Ziembickiego i innych. Wprawdzie duchowy wizerunek poety, jaki nakreśliłem przed czternastu laty, w głównych rysach, sądzę, nie zmienił się w świetle nowego materyału, ale biografia poety, a z nią razem i historya jego twórczości z lat młodych w wielu szczegółach wymagała albo sprostowa-

nia, albo rozwinięcia i uzupełnienia, albo dawała się subtelniej wycieniować; wreszcie niejedno przypuszczenie, przezemnie dawniej wypowiedziane, mogło być zamienione teraz na pewnik. O tem, że strona techniczna wymagała pewnych ulepszeń, dawno już byłem przekonany. Okazywała się tedy potrzeba gruntownego przerobienia monografii z przed lat czternastu i tej potrzebie czynię obecnie zadość; żeby zaś tem zrozumialszy i pełniejszy był obraz młodości poety, poprzedzam go obrazem jego dzieciństwa, którego w dawniejszej monografii nie było. Wielkie ułatwienie w pracy niniejszej przyniosła mi ta okoliczność, że wziąłem udział w krytycznem wydaniu *Dzieł* Mickiewicza, podjętem przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza i przed dwoma laty wydałem pierwszy tom tych *Dzieł*, obejmujący poezyą jego z lat młodzieńczych z wyjątkiem *Grażyny* i *Dziadów*. To pozwoliło mi wiele gotowych uwag i poglądów, podanych tam we wstępie i komentarzu, a dotyczących genezy rozmaitych utworów Mickiewicza z doby młodzieńczej, wprowadzić do niniejszej monografii. Zaznaczam to na tem miejscu, ażeby się nie odwoływać zbyt często do samego siebie w tekście lub przypisach.

Autor.

Pisałem w Krakowie w październiku 1897.

I.

CZASY DZIECIŃSTWA

1798—1815.

I.

Przodkowie Mickiewicza. — Mickiewicz dzieckiem wsi i miasta. — Ojciec, matka i rodzeństwo poety. — Służba i goście w domu jego rodziców.

Rodzina, z której nasz poeta pochodził, należała do drobnej i ubogiej szlachty litewskiej. Klejnotem jej herbowym był Poraj — róża biała o pięciu listkach w polu czerwonem — przydomkiem Rymwid, nazwa uwieczniona przez poetę w *Grażynie*. Były na Litwie rodziny tego nazwiska o innych herbach, ale to, co Stryjkowski mówi o Mickiewiczach, iż są książęcego pochodzenia, stosuje się do tych, którzy w herbie mieli różę [1]). Wiadomo, że takich ubogich, ciemnych, przy ziemi rosnących rodzin szlacheckich, które słusznie czy niesłusznie szczyciły się książęcem pochodzeniem było niemało na Litwie, jak o tem

[1]) Kronika Macieja Stryjkowskiego. Warszawa 1846. T. I, str. 319 i 320.

świadczy jeden z zaściankowej szlachty w *Panu Tadeuszu*, wołający:

Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.

Jakkolwiek opierając się na Kronice Stryjkowskiego, można przypuszczać, że rodzina poety była w istocie książęcego pochodzenia, to jednak pewna, że w tradycyi rodzinnej nie przechowało się nic, coby świadczyło, że ona odgrywała kiedykolwiek ważniejszą rolę, nietylko w całej Rzpltej, ale i w któremkolwiek województwie, a nawet w którejkolwiek parafii. Tablica genealogiczna tej rodziny, ułożona na podstawie piśmiennych dowodów rodowitości szlacheckiej, które szlachcie na Litwie i Rusi nakazano było składać na początku tego wieku, obejmowała mało co więcej nad lat sto. Podług tej tablicy i tych dowodów, Mickiewicze z Nowogrodzkiego pochodzili od Mickiewiczów z Lidzkiego powiatu. Mianowicie około 1700 roku Krzysztof Mickiewicz, syn Walentego, opuściwszy swój powiat przeniósł się w Nowogródzkie i od tego czasu aż do narodzin poety tu przeżyły cztery pokolenia Mickiewiczów nie wybijając się nad poziom drobnej i ubogiej szlachty. Kupowali i sprzedawali małe folwarki, dzierżawili pustosze t. j. grunta nieuprawne, na których zapewne i sami stawali do pługa, a do kształcenia dzieci tak mało

mieli środków i sposobności, że dziad poety Jakób nie umiał pisać.

Ale jeżeli z piórem niewiele mieli do czynienia, to z szablą było zapewne inaczej. Franciszek Mickiewicz brat poety, mówiąc w pamiętniku swoim [1]) o tem, że w domu jego rodziny przechowywała się broń po przodkach, po dziadku i pradziadku, nazywa pierwszego nieprzyjacielem Stanisława Augusta, a drugiego stronnikiem Stan. Leszczyńskiego. Łatwo tedy przypuścić, że pradziadek brał udział w konfederacyach zawiązywanych w obronie praw Leszczyńskiego, a dziadek nie przesiedział spokojnie w domu czasów konfederacyi barskiej.

Ten dziadek niepiśmienny Jakób miał kilku braci. Że na małym folwarku nie było co robić wszystkim braciom, trzech z nich »w drobnej młodości, w ubogiem bardzo odzieniu« udało się na służbę. W tej liczbie był Jakób. Dokąd się udał? nie wiemy, ale domyślać się możemy, że na dwór jakiegoś zamożnego szlachcica, a może

---

[1]) Pamiętnik drukowany w wyjątkach w dziele p. Wład. Mickiewicza »Żywot Adama Mickiewicza« T. I. Poznań 1890. Autor tej książki przypuszcza, że Pamiętnik Franc. Mickiewicza powstał z namowy Odyńca, który 19 sierpnia 1835 r. pisał do brata poety: »Myślę często, że dobrzebyś zrobił, gdybyś teraz mając czas wolny ponotował sobie na papierze różne szczegóły o waszej familii i o waszem dzieciństwie; byłaby to bardzo ciekawa rzecz i radzę, abyś to uczynił«.

większego pana. Tamto zapewne pan Jakób, choć niepiśmienny, podobać się umiał pannie, co miała 4.000 zł. posagu i pierścionek z dyamencikami i bransoletkę z perłami i sreberko stołowe. Jakób ożenił się z tą panną i znalazł się wskutek tego małżeństwa w tak dobrem położeniu materyalnem, że mógł pomyśleć o lepszem wychowaniu dla syna, niż to, które sam otrzymał.

Ten syn, Mikołaj, ojciec naszego poety, już po śmierci swego ojca ukończywszy w Nowogródku u księży Dominikanów nauki szkolne, wstąpił do palestry, to znaczy aplikował się, przygotowywał się praktycznie przy sądach nowogrodzkich do tego, by zostać adwokatem, czyli jak wówczas mówiono rejentem. Dla ludzi uboższych, mających zdolności i trochę nauki szkolnej, była to wówczas najlepsza droga do wyniesienia się. Już podczas sejmu czteroletniego, gdy miał lat dwadzieścia kilka, (urodził się 1765) mianowano go rejentem Komisyi nowogrodzkiej, cywilno-wojskowej. Nadeszło powstanie Kościuszkowskie. Zdaje się, że pan rejent porzucił na jakiś czas pióro, by siąść na koń, wiemy bowiem od Franciszka Mickiewicza, że w szafie, w której spoczywała broń dziada i pradziada wisiał także uniform kawalerzysty, używany przez ojca w czasach Kościuszki. Na tej też to zapewne podstawie dostał się panu Mikołajowi w dwóch metrykach synowskich tytuł rotmistrza.

Upadło powstanie, nastąpił trzeci rozbiór, szable pochowano do domowych zbrojowni, pan Mikołaj, posiadacz małego folwarku Horbatowicze, został adwokatem nowogrodzkim i komorkiem mińskim t. j. urzędnikiem przy sądach granicznych. W owym czasie sędzią ziemskim nowogródzkim był p. Józef Uzłowski, pochodzący z bardzo zamożnej rodziny i sam jeszcze dość zamożny. Miał on ekonoma Majewskiego, człowieka doświadczonej uczciwości, któremu zupełnie ufał i który służył u niego przez lat kilkadziesiąt, a na starość miał tam chleb łaskawy.

Córka tego Majewskiego, Basia, była panną respektową u pani sędziny i pomagała jej w rozmaitych zatrudnieniach domowych. Ta Basia, to matka naszego poety, z nią się ożenił pan Mikołaj [1]).

W r. 1796 urodził się im pierwszy syn Fran-

[1]) W życiorysie napisanym przez Chmielowskiego nazwana jest mostowniczanką mińską, ponieważ z tym tytułem występuje w jednym z dokumentów urzędowych. Ale ten tytuł, jak przekonywająco dowodzi Chryzostom Ładzic w Roczniku trzecim Pamiętnika im. Ad. Mick. (str. 263) nie należał jej się wcale. Jeżeli zaś go jej dano w jednym z dokumentów (n. b. tylko w jednym, w innych go nie posiada) to okoliczność ta łatwo się daje wytłómaczyć zwyczajem szlacheckim przydawania wszystkim urodzonym akichś tytułów; jeżeli nie było prawdziwych, to dawano urojone, ko tako dopasowane do osoby. Tak i ojciec poety w niektórych ietrykach nazwany rotmistrzem, choć tego urzędu wojskowego pewnością nie posiadał.

ciszek a we dwa lata potem w r. 1798 w wigilią Bożego Narodzenia przyszedł na świat drugi syn: Adam. Trzymała go do chrztu w Nowogródku pani sędzina Uzłowska.

Gdzie się urodził? Najpewniej w Nowogródku. Ale spór w tej kwestyi dotychczas nie jest ukończony i jeżeli przy Osowcu już nikt się nie upiera, to twierdzenie, że Zaosie jest miejscem urodzenia poety ma jeszcze żarliwych stronników. Niedawno prof. Małecki w *Tygodn. Illustr.* 1886 wystąpił z zupełnie nowem przypuszczeniem, że Mickiewicz urodził się nie w Zaosiu, nie w Nowogródku, ale na drodze z Zaosia do Nowogródka, w jakiejś nędznej karczmie »Wygodzie«. Otoż czas jest powiedzieć, że pewność w tym względzie ma znaczenie czysto-pamiątkowe; dla historyka literatury jest to rzecz najzupełniej obojętna, czy Mickiewicz urodził się w Zaosiu, czy w Nowogródku, czy w Wygodzie, nie mogło to bowiem najmniejszego wpływu wywrzeć na rozwój, czy to umysłowy, czy to fizyczny poety. Inna rzecz, gdyby zachodziła wątpliwość, gdzie upłynęły pierwsze jego lata dziecinne, gdzie odbierał pierwsze wrażenia; taka wątpliwość byłaby niezmiernie ważną, ale w tym względzie wszystko się nam jasno przedstawia. Wiemy, że w kilka miesięcy po przyjściu na świat Adama Zaosie, niewielka wioska o siedm mil od Nowogródka położona, albo raczej część tej wioski, przeszła

drogą spadku po stryju na Mikołaja Mickiewicza i że w jesieni 1799 żona jego z dwojgiem maleńkich dzieci przeniosła się tam na mieszkanie i mieszkała przez dwa lata, podczas gdy pan Mikołaj przepędzał tam tylko zapewne chwile wolne od zajęć swego głównego powołania. Od r. 1801 znowu cała rodzina jest w Nowogródku, bo Zaosie puszczone w posessyę. W r. 1806 pan Mikołaj oddaje Zaosie w posagu siostrze, która wyszła za Stypułkowskiego i odtąd Mickiewicze bywają w Zaosiu tylko jako goście Stypułkowskich.

Tak więc Mickiewicz jest napół dzieckiem wsi, napół miasta. Pierwsze dwa lata życia spędził na wsi i potem jako wyrostek, jako student często jeździł do wujostwa na wieś. Miasto, albo raczej miasteczko litewskie było jego stałą siedzibą od trzeciego roku życia. Ale i to miasteczko miało do pewnego stopnia sielski charakter, daleki od wrzawy i zamętu miejskiego. Tam ojciec jego nabył murowany dom, najokazalszy podobno wówczas w miasteczku.

Nowogrodzkie należy do najurodzajniejszych i najpiękniejszych okolic Litwy. Okolica falista, pagórki gajami uwieńczone; widoki rozległe i wesołe na owe »pola malowane zbożem rozmaitem«, które tak pięknie witają nas na wstępie do Pana Tadeusza. W takiej okolicy leżało Zaosie, w takiej okolicy dziecięca dusza Mickiewicza odbie-

rała pierwsze wrażenia. Domek leżał w nizinie, otoczony ogrodem; niedaleko wznosiła się góra Żarnowa, zacieniona lasem, która się uwieczniła w balladzie »Tukaj«. I Nowogródek ma piękne położenie, leży na wzgórzach, skąd w różne strony rozległe i miłe odkrywają się widoki. Szczególniej wdzięcznym widok gościńca, który prowadzi do Mira; wysadzany brzozami przewija się po dolinach i wzgórzach. Ale w Nowogródku obok wdzięcznej przyrody, co innego jeszcze przemawiało silnie do chłopięcej duszy przyszłego mistrza; na jednej z gór sterczały ruiny zamku i myśl zwracały do dawnych wieków; inna góra nosiła nazwę Mendoga. Chłopak tradycyę dziejową wciągał w siebie z powietrzem. I sfera rodzinna, domowa harmonijnie oddziaływała na jego duszę; nie nazwałby był inaczej dzieciństwa swojego »anielskiem«. Mało wiemy o rodzicach poety, wiele mniej, niżbyśmy pragnęli. Wczesna ich śmierć była przyczyną, że w całej korespondencyi poety nie ma wzmianki ani o ojcu, ani o matce, ale z kilku słów poety do brata Franciszka, — pisanych już w czasach emigracyjnych — »o gruncie«, na którym wszyscy bracia »wyrośli w domu rodzicielskim«, można wnosić, że to był grunt zdrowy, patryotyczny i religijny, że poeta wysoko go cenił i jemu głównie przypisywał szlachetny kierunek swoich uczuć.

Ojciec Mickiewicza nie miał wyższej nauki nad tę, jaką dać mogła powiatowa szkoła w Nowogródku. Ale w czasach kiedy się kształcił, już słabe promienie reformy wychowania przedzierały się i do zakątków litewskich. Ważnym jest szczegół, że pan Mikołaj znał i lubił poezyą czasów Zygmuntowskich i sam podobno próbował układać wiersze, co było bezwątpienia pobudzającym przykładem dla syna. Zresztą, prócz tego, że był gorącym patryotą, że cieszył się ze zwycięstw Francuzów a wreszcie, że nadzwyczajnie lubił wszelkie źwierzęta i miał u siebie przyswojonego i wilka, i lisa, i kruka, — prócz tych szczegółów prawie nic więcej nie wiemy o jego usposobieniu i skłonnościach.

Matka Adama była tylko o dwa lata młodsza od swego męża — stosunek lat zupełnie różny od tego, w jakim zostawali względem siebie rodzice Goethego, między którymi różnica wieku wynosiła lat 21. Gdy Adam przyszedł na świat nie była już daleko od trzydziestki. Była to zatem już kobieta w pełni rozwoju, umiała sobie dawać radę sama, skoro w kilka miesięcy potem mąż jej powierzył gospodarstwo wiejskie w Zaosiu. Wiemy też z pamiętnika jej najstarszego syna Franciszka, że mąż poruczał jej nieraz ważne papiery do przechowania; »nieraz jej trzewik, powiada on, zawierał to co nam knutami grozić mogło«. Jaką była w obchodzeniu się

z dziećmi, nie wiemy; parę tylko szczegółów, przechowanych przez tradycyą rzuca słabe światełko na ten stosunek. Mickiewicz, którego pismo nigdy nie było zgrabne i czytelne, ucząc się stawiania liter na deszczułkach, pisał brzydko i okazywał bardzo mało ochoty do tego zajęcia. Przy takiej sposobności powiedziała mu raz matka: »Piszesz, jak kura grzebie. Gdybyś był wielkim panem, sekretarz by za ciebie machał piórem, a ponieważ jesteś ubogim szlachcicem, musisz sam sobie umieć dać radę«. Z tej tradycyi widać, że to matka kierowała początkami jego nauki, że Mickiewicz nie był takim pieszczonym synkiem, któremu się nieprzyjemnego nic nigdy nie mówi. Inny znów szczegół wskazuje, że surowość nie była stałem usposobieniem matki: wiemy również z tradycyi, że mały Adaś często siadał na ogoniastej sukni swojej matki i ta pozwalała mu ciągnąć się za sobą po pokoju i wyobrażać sobie, że płynie lub jedzie saniami [1]).

Pobożność matki znajduje świadectwo nietylko w tradycyi, ale i w samejże poezyi naszego wieszcza. W inwokacyi naczelnej, w Panu Tadeuszu, wspomina poeta o tym wypadku, jak spadł, małem dzieckiem będąc, z okna na ziemię, jak struchlała matka wzywała pomocy Najśw. Panny i jak po-

[1]) Marya Gorecka. Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu. Kraków 1897, str. 100.

tem z cudownie ocalonym chłopcem szła zaraz do kościoła nowogrodzkiego uklęknąć przed obrazem Matki Zbawiciela i złożyć Jej gorące dzięki za ocalenie syna. W trzeciej części *Dziadów* Anioł Stróż przypomina ziemskie zasługi matki i mówi o jej duszy na tamtym świecie, jako o takiej, która ma szczególne względy u aniołów:

Nieraz ja na prośbę matki
I za pozwoleniem bożem
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twem łożem.

i jako o takiej, która i na tamtym świecie zajęta myślą o czystości i pobożności syna:

. . . . . nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie,
Bym nie spotkał twojej matki.
Spyta się, jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,
Jaki sen był mego syna?

To wspomnienie matki w III części *Dziadów*, w poemacie, w którym mistyczny kierunek poety objawił się w najjaskrawszy i najpotężniejszy sposób, wspomnienie nie nawiasowe, jak w *Panu Tadeuszu*, ale jakby zrośnięte z przedmiotem, zdaje się wskazywać, że mistycyzm, który stanowił najwybitniejszą cechę geniuszu poety, był darem odziedziczonym po matce. U matki był to może drobny kapitał, pobożność chrześcijańska o nastroju mistycznym, nie wybiegająca za ramy ka-

techizmu, u poety ten kapitał przy potężnej wyobraźni twórczej, pod wpływem rozmaitych prądów, zdarzeń i wrażeń, procentując się tysiąckrotnie, wzrósł do olbrzymich rozmiarów.

Do rodzinnego koła poety prócz matki i ojca należało czterech braci: starszy Franciszek i młodsi od Adama: Aleksander, Jerzy i Antoni. Najstarszy, jakkolwiek w szkołach mało okazywał zdolności, nie był przecież pozbawiony talentu poetyckiego. W albumie p. Józefowej Grabowskiej, w której domu przebywał dłuższy czas po powstaniu 1831 r., znalazły się dwie elegie jego pióra, wpisane tam w r. 1832, ale pochodzące, jak sam powiadał, z lat daleko wcześniejszych. Obie elegie są treści miłosnej, mają wcale udatną formę i okazują widoczne pokrewieństwo stylu z poezyą Adama [1]). Najmłodszy Antoś odznaczał się nadzwyczajnemi zdolnościami i budził podziwienie w obcych ludziach. Coby z niego było, niewiadomo; umarł w szóstym roku życia z wielkim żalem rodziny. W ogóle miłość rodzinna wiązała żywym węzłem to koło braterskie i Mickiewicz przez całe życie swoje, nawet gdy rzucany był falą emigracyjną na różne strony, nie zapominał nigdy o braciach i starał się im, ile tylko mógł, pomagać.

---

[1]) Brat poety przez Wład. Bełzę w Pamiętniku Towarzystwa imienia Adama Mickiewicza. 1890, str. 185.

Wpływ służby na rozwój umysłowy dzieci, szczególnie na rozwój wyobraźni, bywa często bardzo wielki. Przez służbę to najczęściej dostają się, a przynajmniej dostawały się dawniej do dzieci ludowe baśni, klechdy i podania, osnute nieraz na motywach obcych, błąkających się po całym świecie, ale przystrojone w szatę, którą im swojska wyobraźnia utkała. Jest to pierwsza poezya, z jaką się dziecko spotyka i poezya tworzona przez wyobraźnią pokrewną dziecinnej t. j. tak samo niekrępowaną niczem. To też działanie jej na umysł dziecinny ogromne i powiedzmy działanie korzystne; jest to pierwszy stopień rodzimego, narodowego wychowania. Komu go z wielkich poetów zabrakło, n. p. Krasińskiemu, który od szóstego roku życia otoczony był służbą wyłącznie francuską, — ten to mocno odczuwał potem.

Mickiewiczowi nie brakło tego wpływu. Wiemy o starym słudze domu, Błażeju, którego nazywano Ulissesem, dlatego że lubił opowiadać o podróżach swoich. Opowiadał zwykle wieczorem w piekarni, dokąd się i dzieci zbiegały i tak chciwie słuchały zmyślonych, po większej części fantastycznych opowiadań, że ich potem nie można było do łóżka napędzić. Pani Marya Górecka, córka poety, w swoich *Wspomnieniach o Adamie Mickiewiczu* podała próbkę tych bajecznych podróży. Krzewiło się wówczas bujnie na

Litwie wolnomularstwo ze swemi fantastycznemi obrzędami; Błażej coś zasłyszał o nich, a może sam czegoś dopatrzył i na temat »farmazoństwa« puszczał wodze fantazyi w opowiadaniach, gdzie była i jazda powietrzna i uczta dyabelska i zaklęcia i sztylety [1]).

Drugą osobą ze służebnego otoczenia, która podobny, może jeszcze większy wpływ wywierała na malca, była służąca nazwiskiem Gąsiewska. Umiała ona mnóstwo pieśni ludowych i to nietylko litewskich, ale krakowskich i ruskich, i śpiewała je z dziewczętami, które przychodziły prząść do domu rodziców Adama w Nowogródku. Kiedy potem w Paryżu przyniesiono Mickiewiczowi zbiory rozmaitych pieśni i bajek ludowych, powiedział on po przejrzeniu ich do przyjaciela swego Aleksandra Chodźki, że prawie wszystkie te pieśni słyszał śpiewane w domu przez Gąsiewską i że do dziś jeszcze pamięta nutę tych pieśni. Otoż tu była pierwsza nauka rytmiki, jaką nasz poeta pobierał; tu też pierwsza nauka stylu poetycznego; nie wiedziała Gąsiewska jakie sobie skarbi zasługi u narodu, śpiewając przy kądzieli pieśni, którym się przysłuchiwał mały Adaś.

Goście, którzy bywali w domu państwa Mikołajostwa w Nowogródku, należeli do sfery urzędniczej lub sfery okolicznego obywatelstwa.

---

[1]) Wspomnienia o Ad. Mickiewiczu, str. 102—106.

Wiemy, że jednym z domów do tej ostatniej sfery należących, a z którym ścisłe stosunki znajomości łączyły Mickiewiczów, był dom Kiersnowskiego, właściciela Horodziłówki pod Nowogródkiem. Mali Mickiewicze, jeżdżąc do Horodziłówki, znajdowali odpowiednie dla siebie towarzystwo w małych Kiersnowskich, bawili się z nimi, a gdy gościnność gospodarzy zatrzymała na noc, szli spać tak, jak goście pana Sędziego w *Tadeuszu*, do stodoły na siano. Do najbardziej zaprzyjaźnionych z ojcem Adama należał obywatel Rostocki, właściciel wioski Ruty, uwiecznionej w balladzie *To lubię*. Jeździł tam nieraz Adam z braćmi na wakacye i przysłuchiwał się już nie fantastycznym, ale rzetelnym opowiadaniom Rostockiego o Petersburgu i o tamtejszych stosunkach. Rostocki bowiem procesując się przez długi czas o majątek, zmuszony był jakiś czas bawić nad Newą [1]). Stosunek z Rostockim musiał być bardzo ścisły, skoro Adam nazywał go swoim ukochanym opiekunem.

W metrykach chrztu dwóch młodszych braci Adama znajdujemy sporo nazwisk ludzi, mężczyzn i kobiet, którzy jako rodzice chrzestni dzieci państwa Mikołajostwa, musieli należeć do bliższych, lepszych znajomych. Ale są to gołe nazwiska, nie mówiące. Może jest między niemi i na-

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot Ad. Mickiewicza I. 18.

zwisko owej pani, o której tradycya ustami pani Góreckiej powiada, że miała dość awanturniczą młodość, wykradła się z domu z przyszłym swoim mężem konno z pistoletami w olstrach dla obrony od pogoni i jak energiczną była w czynach, tak żywą i dosadną w opowiadaniu. Plastyczne jej słowo więziło zwykle uwagę chłopaka; słuchał jej zwykle z takiem zajęciem, że spostrzegła to sama opowiadająca i gładząc go po twarzy, mówiła nieraz: obaczycie, że z tego chłopca będzie człowiek, bo lubi słuchać starszych.

II.

Mickiewicz w szkole. — Charakterystyka szkół zakonnych. — Sądy studenckie. — Zabawy wojenne. — Bójka z dragonami. — Wrażenia z r. 1812. — Matka przeczuwa geniusz syna.

W dziewiątym roku życia, w r. 1807, rozpoczął ów pilny słuchacz żywych opowiadań karyerę szkolną; ale w powiatowej szkole nowogródzkiej nie opowiadano tak żywo i barwnie, jak opowiadała owa rezolutna pani i z tego zapewne powodu pilność Mickiewicza, w świadectwach oceniona, rzadko bywała »wielką«, najczęściej »nadmierną«, to jest trochę więcej niż mierną, czyli, że nie zasługiwała wcale na pochwałę. Razem z Adamem oddano do pierwszej klasy i starszego o dwa lata Franciszka, co wskazuje, o ile już wtedy przewyższał zdolnościami młodszy brat starszego. Franciszek »kuł« jakto wią, swoje lekcye, kiedy Adam zwykle mało przygotowywał w domu i najczęściej dopiero czorem, leżąc już w łóżku, mówił do brata:

»Przeczytajno raz jeszcze jutrzejsze lekcye«. Franciszek czytał, Adam słuchał, i z takiem przygotowaniem szedł do szkoły: nic dziwnego, że pilność miał w świadectwie nadmierną. Że zaś często w świadectwach miewał dobre noty, niekiedy nawet celujące, to już trzeba przypisać wielkim zdolnościom, a w szczególności wielkiej pamięci jego. Tylko w »charakterze« t. j. kaligrafii, jak długo się jej musiał uczyć, nie udało mu się nigdy otrzymać wyższego stopnia nad stopień »mierny«.

Cóż to była za szkoła? Kto w niej uczył i czego w niej uczono? Ówczesne szkoły na Litwie zostawały pod zarządem uniwersytetu wileńskiego to jest rektora i przydanego mu komitetu szkolnego i dzieliły się na gimnazya i szkoły powiatowe. I te i tamte były sześcioklasowe. Ale w gimnazyach uczono obu języków klasycznych, w szkołach zaś powiatowych poprzestawano na łacińsko-polskiej gramatyce. Inne wspólne przedmioty nauki były następujące: arytmetyka, fizyka i historya naturalna, matematyka (t. j. geometrya i algebra), literatura, historya, prawo, nauka moralności, języki: francuski, niemiecki i rosyjski. Ale w gimnazyach niemal każdy z tych przedmiotów był wykładany przez osobnego nauczyciela, podczas gdy w szkołach powiatowych, jako mniej uczniów liczących, łączyły się one w grupy i jeden profesor musiał

kilka przedmiotów naraz wykładać. Prawie wszystkie gimnazya, których było ośm w wileńskim okręgu naukowym, były świeckie i miały nauczycieli świeckich z odpowiedniemi patentami; przeciwnie szkoły powiatowe były przeważnie utrzymywane przez zakony i nauczycielami w nich byli zakonnicy, a więc z nielicznemi wyjątkami ludzie, którzy nie mieli uniwersyteckiego wykształcenia; stąd szkoły te stały niżej od świeckich. Ale znacznie mniej kosztowały i to było przyczyną dla której uniwersytet wileński przy swojej reorganizacyi w r. 1803 większą część szkół powiatowych pozostawił zgromadzeniom zakonnym.

Kiedy w r. 1807, właśnie kiedy Mickiewicz wstępował do pierwszej klasy, rektorem uniwersytetu został czynny i energiczny krzewiciel oświaty — Jan Śniadecki, zaraz zwrócił baczną uwagę na szkoły zakonne i znalazł, że nie odpowiadają, jak należy, swojemu zadaniu. Różnymi środkami: i groźbą i odwoływaniem się do biskupiej władzy i wzywaniem wizytatorów, aby bacznie czuwali nad szkołami zakonnemi, starał się podnieść te szkoły, to jest starał się, aby one miały lepszych nauczycieli i lepsze środki naukowe. Pod takim rektorem, jak Śniadecki, nie można się było opuszczać, więc zakonnicy, jak mogli, tak usiłowali nadążyć wymaganiom, stawianym przez rektora, choć im to ciężko było.

Taka szkoła powiatowa zakonna była w Nowogródku. Utrzymywali ją Dominikanie oddawna, od czasu zniesienia zakonu Jezuitów. Naukowa strona wychowania, jakie tu odbierał Mickiewicz, nie mogła być świetną, ale za to stroną moralną celowały te szkoły. Pomiędzy przełożonymi, nauczycielami, a uczniami istniał serdeczny, jakby rodzinny węzeł. W atmosferze religijnej otaczającej uczniów kwitła prawdziwa, nie na oko tylko obliczona czystość obyczaju. Prawie wszyscy, którzy z podobnych szkół wyszli, z miłością wspominali i swoich nauczycieli i czasy swojej nauki szkolnej.

Bo też nauczyciele dokładali wszelkich starań, aby uprzyjemnić uczniom chwile wolne od nauki; organizowali majówki, dopomagali w rozmaitych zabawach. Z dawnej jeszcze tradycyi szkolnej przechował się był zwyczaj urządzania sądów studenckich. Zwyczaj ten odpowiadał niegdyś duchowi czasu, kiedy pieniactwo w najwyższym stopniu było rozwinięte, kiedy rzecby można cała energia narodu w tym się kierunku wytężała i kiedy wskutek tego sądownictwo było głównem polem popisu dla zdolności umysłowych. Nałóg przytępił się trochę ze zmianą warunków politycznych, ale nie wygasł, a i w szkole zwyczaj, odpowiadający temu nałogowi, dobrze był widziany przez starszyznę. Sam ksiądz rektor podawał celujących w nauce uczniów, jako kan

dydatów na prezesa studenckiego trybunału. Obrany przez uczniów, prezes wespół z trzema radcami, pisarzem, rejentem i archiwistą, w dni wolne od nauk sądził rozmaite sprawy studenckie, więc kłótnie, bijatyki, spory, nawet zatargi z żydami, którzy chętnie uznawali prawomocność tych sądów, i skazywał winnych na naganę, areszt, klęczenie, lub wynagrodzenie pokrzywdzonych, a tem wynagrodzeniem bywał arkusz papieru, kolorowy ołówek, farby, lub książka elementarna. »Była to formalna jurysdykcya, powiada Franciszek Mickiewicz w swoim pamiętniku [1]), do której każdy do szkoły należący, przez woźnego wezwany w dzień naznaczony musiał stawać pod karą i składać obronę na piśmie wraz z dowodami, a byli i adwokaci, co bronili swoich klientów mniej wymownych, albo jeszcze prawa nie znających. Zupełnie trzymano się porządku statutu Wielkiego Księstwa Litewskiego. Do sali posiedzeń cisnęli się widzowie z ciekawości tej zabawy młodzieńców«.

Brał udział w tych zabawach i Adam Mickiewicz. Był raz nawet prezesem trybunału, zwykle jednak na sejmiku studenckim intrygował za Janem Czeczotem, kolegą swoim, z którym zasiadał w jednej klasie i z którym go już od tych asów łączyła długa i serdeczna przyjaźń. Tak

[1]) Żywot Ad. M. I. 14.

więc tradycya sejmikowa i palestrancka żyła pełnem życiem w szkole i Mickiewicz nieświadomie zbierał barwy, rysy i tony, które mu się miały przydać do odtworzenia szlacheckiej przeszłości.

Innym rodzajem zabaw, które mogły mieć wielkie znaczenie w tym właśnie kierunku, były zabawy naśladujące wojnę. Wspomina o nich sam poeta w dobrze znanym ustępie z czwartej części *Dziadów*.

Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem;
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice! i t. d.

Były to czasy, kiedy na dalekim świecie działy się cuda wojenne, kiedy grom po gromie wypadał z dłoni małego Korsykanina o wielkiej głowie i kiedy wszyscy zapatrzeni byli w tę postać nadzwyczajną, która podobnej sobie w dziejach nie miała. Żywem echem te gromy, te cuda wojenne odbijały się i na Litwie, i więcej niż co innego zachęcały młodzież do zabaw wojennych. W mieście stał garnizonem konny pułk moskiewski i odbywał ćwiczenia. Uczniowie, mając przed oczyma wzory tych ćwiczeń, starali się je naśladować po swojemu. We wtorki lub czwartki po południu w czas rekreacyi zbierali się zaopatrzeni

w kije i urządzali ataki, rejterady i bitwy: profesorowie, nie widząc nic zdrożnego w tej zabawie, pozwalali na nią; ani wojsko, ani policya, ani inni urzędnicy nie przeszkadzali jej wcale, tak że mogła się ona odbywać co tydzień, a odbywała się zwyczajnie w polu pod górą Mendoga. Tworzono rozmaite pułki: grenadyerów, fizylierów, jegrów i wieczorem po zabawie, ordynkiem, niby to pułkami, wracano do klasztoru Dominikanów. Ksiądz Rokicki, prefekt szkoły, widząc, jaką ta zabawa sprawia radość uczniom, naradziwszy się z profesorami i obywatelstwem i uzyskawszy pozwolenie od przeora XX. Dominikanów, postanowił temu wojsku studenckiemu dać lepsze uzbrojenie i umundurowanie. »Introligatorowie — powiada Franciszek Mickiewicz, — z którego pamiętnika te szczegóły wyjęte[1]) — dostarczali papieru do rogatych czapek, szabel, pochew, tornistrów; stolarze — lanc, pałaszów i karabinów drewnianych z bagnetami; blacharze blaszanych ozdób białych do rynsztunków. Matki, siostry i krewne z niewymowną ochotą szyły mundury dla żołnierzy swej rodziny. Ponieważ sześć było klas, przeto tyleż sztandarów na bławatach jedwabiami, srebrem i złotem wyhaftowały«. 3 maja 1810 był pierwszy przegląd tych świetnie już wystrojonych batalionów. Wszystko

[1]) Żywot Ad. M. I. 15.

szło jak najlepiej. Arsenał był w szkole, sztandary składano w kościele, młodzież niezmiernie zajęta swoją służbą wojenną, rosnąc we własnem przekonaniu, poważniała; wojskowi rosyjscy przypatrując się obrotom uczniowskim nietylko się niemi nie gorszyli, ale nawet chwalili zręczność uczniów. Zaszedł jednak wypadek, który w jednym dniu unicestwił całą armię studencką.

Pewnego razu wybrała się ta armia do Horodziłówki, majątku Kiersnowskiego. Tam był odpoczynek i posiłek. Wieczorem w uroczystym marszu, z rozwiniętemi sztandarami, przy odgłosie bębna wracali uczniowie do Nowogródka, zapewne z wysoko podniesionym animuszem wojennym. Przez Nowogródek przechodził wówczas jakiś pułk dragonów i zatrzymując się tam przez dni kilka pełnił służbę garnizonową. Jednym z poruczników tego pułku był niejaki Siemihradzki, małorosyanin, ozdobiony krzyżem Anny za rzeź Pragi i dla Polaków wrogo usposobiony. W chwili, gdy uczniowie zbliżali się do ratusza, on z oddziałem żołnierzy wychodził z odwachu dla zmiany wart.

Niewiadomo, co było przyczyną, że pomiędzy nim a uczniem Głowackim, który szedł na czele swego plutonu, wszczęła się zwada i w jednej chwili zamieniła się w bójkę. Dragoni pośpieszyli na pomoc porucznikowi, który dostał policzek, obili Głowackiego, a pluton jego rozproszyli.

Wnet rozniosła się wieść o porażce między innemi oddziałami młodzieży: honor wojskowy był znieważony! Drewniane karabiny i papierowe hełmy uczuły nieprzepartą chęć zemsty natychmiastowej. Przed ratuszem stoi warta, ani przypuszczająca, że ją ktoś może atakować. Na tę wartę uderzają tłumnie, wyrywają broń żołnierzom, ciągną niektórych jako jeńców do klasztoru i bramę za sobą zatrzaskują. Tryumf! ale natychmiast po tryumfie rodzi się straszne pytanie: a co teraz? gdzie tryumf ukryć i jak się pozbyć jeńców? Na szczęście są w każdym klasztorze furtki; furtkami wymknęli się zwycięzcy i jeńców tędy wypuścili i kiedy wojsko niebawem wywaliło zatarasowaną bramę klasztorną, niebyło już nikogo na dziedzińcu.

Kiedy się to działo, u jenerał-majora, który w tym dniu święcił świeże otrzymanie jenerał-majorskiej godności, goście bawili się w najlepsze. Pomiędzy gośćmi był ksiądz rektor, był pan Mikołaj Mickiewicz. Nagle wpada synowiec rektora i przynosi wiadomość o bójce. Sprawa fatalna! Wprawdzie jak się zdaje, jeszcze wówczas nie była na Litwie obowiązującą owa »księga żółta«, którą major Płut straszył sędziego Soplicę, a w której co słowo stały: »stryczek, Syberyr, knuty«, ale jenerał-major wiedział, że to pachnie kryminałem. Wszakże był to człowiek podobniejszy do Rykowa niż do Płuta i zgodnie

z pierwszym sądził że: »lepsza zgoda od niezgody, — Zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody«. Postąpił też stosownie do tej recepty. Zaraz do osobnego pokoju zaprosił rektora, pana Mikołaja i kilku urzędników i tam na tajemnej naradzie postanowiono sprawę załatwić pocichu, nie wynosząc jej na jaw, nie pisząc raportu do władz wyższych. Porucznika, który dostał policzek, zmuszono wystąpić ze służby wojennej i dano mu jakiś urząd cywilny. Głowackiemu własny ojciec w pokoju rektora, a w obecności delegowanego od pułku wymierzył plagi za nieproporcyonalny animusz wojenny. Uczniów z jego plutonu skazano na trzy dni kozy o chlebie i wodzie, a kilku uczniów z szóstej klasy na wydalenie ze szkoły; dla żołnierzy zaś, których skóry i mundury ucierpiały od uczniów, rodzice tych ostatnich złożyli się na pieniężne wynagrodzenie. Potem wszystkim zgromadzonym uczniom całej szkoły profesor Lutostański piorunującą wyciął perorę, a pan Mikołaj Mickiewicz zaprosił do siebie na obiad pana jenerała z licznym sztabem. Pułk dragonów wkrótce odszedł, nadeszły inne, sprawa się zatarła i było sza — cicho. Ale już wojsko studenckie rozwiązano i więcej zabaw wojennych nie było.

Rok 1812, który we dwa lata potem nastąpił, wywarł niezmiernie silne wrażenie na młodym umyśle Mickiewicza, wrażenie, które wspa-

niałem echem odezwało się potem we wstępie do jedenastej księgi Pana Tadeusza:

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!

Jeszcze wojska rosyjskie zalewały Litwę, ale tajemnymi drogami dochodziły wieści o zbliżaniu się niezwyciężonej armii Napoleona, który miał ją na nowo połączyć z Koroną i cała Litwa z natężoną uwagą oczekiwała nadchodzących wypadków. I do rodziny Mickiewicza dostawały się biuletyny niezwyciężonej armii. Franciszek Mickiewicz w Pamiętniku swoim skreślił dosyć pretensyonalny, ale w głównych rysach zapewne wierny obraz rodziny swojej zgromadzonej w onych czasach wieczorem w saloniku przy stole i słuchającej wieści wojennych. Czternasty rok mający Adaś czytał gazetę, matka coś haftowała na kanwie, starszy brat zajęty był kopiowaniem planu jakiejś twierdzy, a ojciec, chociaż chory, przechadzał się przy pomocy kija po pokoju i gestami wyrażał zadowolenie lub niezadowolenie z usłyszanych wiadomości.

Niebawem w chwili największych nadziei i oczekiwań pan Mikołaj pożegnał ten świat. Umarł 16 maja 1812 r. Wypadek ten wywołał bezwątpienia wiele bolesnych wzruszeń w duszy Adama, le bardzo prędko potem nadeszły wypadki, zdolne atrzeć najboleśniejsze wrażenia. Na początku lipca 812 r. zjawiły się na ulicach Nowogródka dawno

oczekiwane orły francuskie i polskie. Szła tędy armia króla westfalskiego Hieronima z korpusem księcia Józefa Poniatowskiego. Sam król Hieronim zatrzymał się w Nowogródku, a dom Mickiewiczów, jako najlepszy w mieście, obrano dlań na mieszkanie. Rodzina na ten czas naturalnie wyniosła się z domu, ale mały Adam, zaczajony w ogrodzie z bijącem sercem oglądał przepych i blask, otaczający króla, gdy ten wstępował do przeznaczonego dla siebie mieszkania. Ten przepych i blask silnie uderzał wyobraźnią czternastoletniego chłopaka i łączył się w niej z wyobrażeniem o wielkim cesarzu, którego sławą brzmiała cała Europa. W tych wrażeniach ówczesnych tkwiło pierwotne źródło napoleońskiego kultu Mickiewicza.

Błyszcząca armia przeszła i znikła, jak cudowne zjawisko, echa wojenne dochodziły z coraz dalszych odległości, w szkołach pod mądremi rządami Śniadeckiego powrócono do nauki. Nareszcie nadeszła zima, jakiej ludzie nie pamiętali, mroźna, nieubłagana. I wtedy nowy szereg wrażeń, tym razem grozą przejmujących, zaczął cisnąć się do serca przyszłego poety. Świetna, błyszcząca armia, która tak niedawno szła na podbój świata i na ostrzu lanc swoich niosła nadzieje Polaków, wracała w popłochu rozbita zmarznięta, obdarta, zmorzona głodem. Zdawało się, że to wracają szkielety tych świetnych wo

jowników, co niedawno tak dumnie kroczyli na północ. Rozpalano im ogniska, przy których się grzeli wśród trzaskających mrozów, a Mickiewicz z podziwieniem przypatrywał się strasznej metamorfozie. Echa tych wrażeń nietrudno odszukać w opisie powrotu Wallenroda z wyprawy, kiedy to:

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy,
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała...

Tak, wszystko się zmieniło. Nawet dom Mickiewiczów, w którym znalazł gościnne mieszkanie król Hieronim, doznał zmian wskutek nieszczęsnego obrotu wyprawy. W braku opału wracające wojsko rozebrało parkan, który dom otaczał i tylko brama przed domem sterczała żałośnie. W domu, gdzie już niebyło ojca, obawiano się napadu maroderów. Tradycya ustami pani Góreckiej wspomina o jakimś tajemniczym, dużym psie czarnym, który niewiadomo skąd przywędrował i aż do wiosny czuwał po nocach koło domu, a potem zniknął bez śladu. Rzecz godna uwagi, że tradycya, z ust samego poety nąca, matce jego przypisuje tę własność, iż ı jedna mogła psa przywołać do pokoju, i że ej ręki tylko przyjmował pożywienie. Było coś

mistycznego w tych wszystkich wrażeniach i w ogóle nieszczęsny koniec wyprawy, chociaż cień rzucał na glorią napoleońską, mógł jej w oczach przyszłego poety dodawać mistycznego uroku.

W półtrzecia roku potem Mickiewicz kończył szkołę nowogródzką; owdowiała matka musiała pomyśleć o jego dalszym losie. Po śmierci pana Mikołaja musiały się znacznie zmniejszyć dochody rodziny, a wydatki musiały być spore tam, gdzie było czterech synów w wieku od lat 19 do 11. Utrzymywanie synów w Wilnie dla nauki uniwersyteckiej było za kosztowne dla pani Mikołajowej. To też Franciszek pozostał w domu, aby pracować w zawodzie ojcowskim, jako palestrant. Ale z Adamem stało się inaczej. Wprawdzie świadectwa jego szkolne nie były, jak wiemy świetne, nie były takie, żeby pozwalały roić wielkie nadzieje o przyszłym rozwoju zdolności jego i ażeby nakazywały dalsze ich kształcenie teoretyczne. Nietylko pilność była mało obiecującą, nietylko stopnie nauk nie wybiegały nad poziom zwyczajny, ale nawet obyczaje były tylko »dobre«, co było zapewne skutkiem figlarności Adama, której różne przykłady tradycya nam podaje. I o zdrowiu poety, jako ucznia nowogródzkiego, dają nam świadectwa szkolne niekorzystne wyobrażenie. Wyrazy »zdrowie mierne, słabe małe«, często się w nich powtarzają. Była to zatem organizacya wątła, bardzo często z natura

artystyczną idąca w parze. Dodajmy do tego wszystkiego, że w trzeciej i piątej klasie zostawał Adam po dwa lata. Ale te wszystkie względy nie zmyliły serca matki. Jak niegdyś matka Jana z Czarnolasu, tak i ona przeczuła geniusz spowity w piersiach syna i jak tamta, tak i ta postarała się o wyższe wykształcenie dla syna. Zresztą już w szkołach nowogródzkich zaczęły się ukazywać próbki jego poetyckiego talentu. W r. 1810 był wielki pożar w Nowogródku, który zniszczył kilkanaście domów i kościół św. Mikołaja. Wrażenie, które ten pożar wywarł na dwunastoletnim chłopcu było podobno pierwszą pobudką dla niego do układania rymów. Opisał on ten pożar wierszem, przedstawił popłoch i przerażenie mieszkańców, ale zarazem — co jest ważnym szczegółem charakterystycznym — do poważnego tonu ody, naśladującej zapewne styl Trembeckiego i Naruszewicza, domięszał ton humorystyczny i opisał satyrycznie przy tej sposobności, jak świadczy Franciszek Mickiewicz, »pawłogrodzki pułk huzarów, w owym czasie na garnizonie będący, jak niemniej łupiestwo sławnej policyi miasta«.

Za temat do poetyckich elukubracyj dziecinnych służyła mu także treść popularnych wówczas romansów Floriana, w szczególności *Numy Pompiliusza* tłómaczonego przez Staszyca, a wzorem stylu poetyckiego miał być dla niego podług

wspomnień Odyńca, Jędrzej Świderski, niezdarny poeta współczesny. Prawdopodobnie jednak i ze stylem Trembeckiego poznał się nasz poeta w szkołach nowogródzkich, bo już w r. 1806 wyszło pierwsze zbiorowe wydanie poezyi tego znakomitego stylisty i w tymże roku drukowaną była w Dzienniku Wileńskim *Zofiówka*. Ale oceniać należycie ten styl nauczył się on dopiero później, dopiero w Wilnie. Wątpliwa też rzecz, żeby już w Nowogródku zaczął pisać bajki na wzór tego poety.

Czy matka z tych prób dziecinnych wnioskowała coś o zdolnościach syna, czy tylko sercem macierzyńskiem odgadywała jego przyszłą wielkość, dość, że w początkach września 1815 wyprawiła syna do Wilna, dając mu na drogę, co dać mogła przy szczupłych funduszach po śmierci męża, — według tradycyi jedenaście dukatów, z tych jeden święcony, z wizerunkiem Najśw. Panny. Dała mu także polecenie, aby po przyjeździe do Wilna przedewszystkiem pomodlił się przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Siedmnastoletni młodzieniec żegnał się z Nowogródkiem, rozstawał się na zawsze z życiem szkolnem, jechał ku nowym, nieznanym sobie horyzontom. Kończyło się życie »sielskie, anielskie«, — zaczynała się »górna i chmurna młodość«.

II.

PIERWSZE LATA W WILNIE

1815—1818.

I.

Przyjazd do Wilna. — Ksiądz Mickiewicz. — Egzamin. — Poznanie się z Zanem.

Przy końcu lata 1815 jechał nasz student nowogródzki do Wilna, aby tam zapisać się na uniwersytet. Kto tylko odbywał podróż w podobnym celu i w podobnym wieku i kto, jak Mickiewicz, nie widział przedtem nigdy większego miasta, ten łatwo odgadnie uczucia i rojenia, jakie grały w sercu i głowie jadącego młodzieńca. Nowy świat miał się otworzyć przed nim i zdaleka wabił ku sobie swoją nowością, rozmaitością i swobodą życia uniwersyteckiego, które tak rozkosznie uśmiecha się uczniom gimnazyów, marzącym o niej.

Były jednak obok jasnych rojeń i ciemne trwogi. Siedmnastoletni chłopak poraz pierwszy puszczał się w tak daleką podróż, a głowę miał obdarzoną bujną i płochliwą wyobraźnią i nabitą bajkami o zbójcach. W trzydzieści z górą lat

potem (1846) w ten sposób poeta opowiadał o tej swojej podróży Eustachemu Januszkiewiczowi. »Karbowy zaprzągł do wózka dwa koniki, kilimkiem nakryto siedzenie, pod którem chował się mój tłómoczek, zabrałem też z sobą strzelbę, bo byłem przekonany, że w górach Ponarskich, pod Wilnem, spotkam się ze zbójcami. I nie zawiodło mnie przeczucie. Na kilka wiorst przed miastem spostrzegam człowieka, idącego z lasu przez pole i wołającego: stój! stój! Ja chwytam za strzelbę, a karbowy zatrzymuje konie. Ja wołam, żeby uciekał, on spokojnie mnie reflektuje: »Ależ paniczu, to jakiś jegomość«! Nareszcie wszedł ów jegomość-zbójca na drogę i prosił, żeby go odwieść do Wilna, bo się zmęczył, polując. Był to Michniewicz, burgrabia domu Bukszy w Wileńskiej ulicy. Jak się rozgadał ze mną, kazał tam jechać karbowemu. Przyjęty zostałem najserdeczniej od pani Michniewiczowej, która opiekowała się mną przez dni pięć, dawała mi rady, jak się mam prezentować u kanonika Mickiewicza, jak się przygotowywać do egzaminu, słowem była dla mnie drugą matką« [1]).

Matka, wyprawiając syna do Wilna, kazała

---

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot Ad. Mickiewicza I. 30. Ta sama podróż inaczej jest opowiedziana w *Listach z podróży* Odyńca (I. 360, 361), które w znacznej części są właściwie wspomnieniami, w starości spisanymi.

mu zaraz po przyjeździe polecić się naprzód boskiej opiece — przed cudownym obrazem Najświętszej Panny Ostrobramskiej — potem ludzkiej w osobie księdza Józefa Mickiewicza, bardzo poważne zajmującego stanowisko w uniwersytecie wileńskim. Nie był to wcale krewny Mickiewiczów z Nowogródka, tylko imiennik, ale już dla samej wspólności nazwiska mógł się zaopiekować ubogim młodzieńcem.

Mickiewicz spełnił wiernie polecenie matki. Przechodząc przez Ostrą Bramę, ukląkł i zaczął się modlić, a »przypomnienie matki i wrażenie obcego miasta tak go mocno wzruszyły, że się łzami rzewnemi rozpłakał«, następnie udał się z prośbą o protekcyą do księdza dziekana. Ksiądz Józef był to już siedmdziesięcioletni starzec. Niegdyś profesor fizyki, dwa razy (1798 i 1806/7) zastępca rektora, obecnie był tylko dziekanem fizyczno-matematycznego wydziału. W nauce zacofany, nie miał ochoty śledzić postępu fizyki i od dawna już odstąpił był jej wykład swemu pomocnikowi. Niewiele go obchodziły i postępy młodzieży w nauce, i kiedy w r. 1806 zawiązali studenci towarzystwo nauk i umiejętności i jego wezwali na prezesa, ks. Józef przez cały rok swego prezesostwa ani razu nie pojawił się na »siedzeniach naukowych młodzieży. Przy egzaminach był zwykle bardzo niewymagający: dość 'ło odpowiadać potoczyście, gładko i z pewno-

ścią siebie, chociażby od rzeczy, aby uzyskać jego pochwałę. Za to nieugięty był w wymaganiu, aby się młodzież co miesiąc spowiadała, i nie chciał podpisywać świadectw studentom, którzy mu co miesiąc nie przedkładali kartki [1]). Lubił także, aby go młodzież całowała w ręce i Karol Kaczkowski, który jednocześnie z Adamem wstąpił na uniwersytet wileński, opowiada w swoich Wspomnieniach, jak uprzedzali go koledzy, gdy przybył do Wilna i miał przedstawić się dziekanowi, »że ksiądz kanonik jest bardzo wymagający, że na patent i na świadectwa nie spojrzy nawet, a ten, co go nie pocałuje w łapę, chociażby był Salomonem, musi pójść za drzwi«. Kaczkowski brał tę przestrogę za koleżeńską mistyfikacyą, ale przekonał się na sobie, że była rzetelną [2]).

Pomimo swoich słabostek, pomimo zacofania w nauce, był ksiądz kanonik powszechnie poważany, bo znano go »jako człowieka prawego, nieskazitelnego charakteru«. Wobec potomności ma on inne jeszcze prawo do uznania. Gdyby nie ksiądz kanonik, imiennik jego prawdopodobnie nie otrzymałby był uniwersyteckiego wykształcenia i geniusz jego możeby się był zmarnował a w każdym razie nie poszedłby tak

---

[1]) Kaczkowski, Wspomnienia. I. 64.
[2]) Kaczkowski, Wspomnienia. I. 63.

wysokim i świetnym szlakiem. Bez tego protektora matka naszego poety, niezamożna i obarczona liczną dziatwą, nie miałaby zapewne środków na utrzymanie syna w Wilnie przez lat kilka i Adam byłby się aplikował w nowogródzkiej palestrze, jak starszy brat jego Franciszek [1]).

Księdzu dziekanowi ze stanowiska swego łatwą była protekcya, a że był podobno skąpy, chciał więc od razu umieścić Adama, jako kandydata do stanu nauczycielskiego, na koszcie rządowym. Każdy taki uczeń, zwany funduszowym, otrzymywał od władzy uniwersyteckiej pokoik jakiś, zwykle w klasztorze, i piętnaście rubli miesięcznie na stół, odzienie i t. d. Za to obowiązany był co roku składać egzamina, celować w naukach a po ukończeniu kursu nauk uniwersyteckich iść do służby rządowej i przez lat kilka służyć tam, gdzie rząd wskaże, przyczem jednak pobierał płacę zwyczajną do miejsca wskazanego przywiązaną. Dla kandydatów stanu nauczycielskiego było pięć wakansów w tym roku, kilku też oprócz Mickiewicza stawało konkurentów do egzaminu, który miał rozstrzygnąć o otrzymaniu wakansu. Pomiędzy współubiegającymi się był Tomasz Zan, którego protegował również człowiek mający pewne wpływy w uniwersyte-

[1]) Odyniec, Listy. I. 359.

cie, Kazimierz Kontrym, dawniej sekretarz, obecnie adjunkt biblioteki uniwersytetu.

Nadszedł dzień egzaminu. W kancelaryi przed salą egzaminacyjną zeszli się współzawodniczący kandydaci, spojrzeli na siebie, przywitali się niemym ukłonem i w kłopotliwem milczeniu czekali na wezwanie komisyi egzaminacyjnej. Na podstawie różnych wspomnień koleżeńskich z owych czasów, możemy sobie odtworzyć ówczesną postać Mickiewicza. Twarz jego o pięknych i delikatnych rysach pokryta była rumieńcem a okolona bujnym i jak heban czarnym włosem; dopełniały jej ozdoby koralowe usta i ciemne, marzące oczy. Czarny frak, żółte nankinowe spodnie i wysokie pod uszy kołnierzyki stanowiły ubiór młodzieńca. Zan był trochę starszy od Mickiewicza, średniego wzrostu i nieco śniadawej twarzy, miał włos ciemny, kędzierzawy, czoło wyniosłe, nieco ścięte u góry i małe, ogniste oczy.

Niebawem wezwano ich do sali, gdzie już zasiedli egzaminatorowie. Stanęli obok siebie przed stołem i odpowiadali na zadawane sobie pytania. Po egzaminie kazano im znowu oczekiwać w kancelaryi na wyrok. I teraz jeszcze nie śmieli, nie wiedzieli, jak przemówić do siebie i tylko z biciem serca czekali wyroku, który lada chwila miano im ogłosić. Nareszcie wyszedł ktoś z kancelaryi i wymienił tych, którym przyznano

wakanse: między wymienionymi było nazwisko Mickiewicza, nie było Zana.

Tryumf obudził w sercu Mickiewicza uczucie jakiegoś zawstydzenia i upokorzenia: zdawało mu się, że pierwszeństwo, które otrzymał, zawdzięczał tylko wpływom i protekcyi księdza dziekana. Promieniste oczy Zana dojrzały zapewne tych uczuć na twarzy Adama, bo zbliżył się do niego i powinszował mu tak szczerze i serdecznie, że Adam jeszcze bardziej się zmieszał, ale i rozrzewnił zarazem. Młodzieńcy rzucili się sobie w objęcia, a łzy i gorące pocałowania uświęciły zawiązaną od tej chwili przyjaźń, tę przyjaźń, która w życiu naszego poety tak wielką odegrała rolę [1]).

---

[1]) Odyniec, Listy z podróży. I. 360.

II.

Mickiewicz w nowej sferze. — Wilno w latach 1815—1818. — Znaczenie uniwersytetu. — Znakomitsi profesorowie. — Walka nowych pojęć z dawnymi. — Wiadomości brukowe i klub szubrawców. — Wolne mularstwo i mesmeryzm. — Dzienniki. — Teatr. — Zabawy i rozrywki wileńskie. — Patryotyczne usposobienie miasta.

Dzieje tej przyjaźni zostawiając na później, przypatrzmy się teraz moralnej fizyognomii naszego poety w chwili przybycia jego do Wilna i takiejże fizyognomii tej nowej sfery, do której przybywał, w pierwszych czasach swego tam pobytu.

Scena tylko co opowiedziana świadczy nam już dobrze o szlachetności i wrażliwości serca, które przywoził z sobą Adam do Wilna, łzy wylane przed obrazem Najśw. Panny Ostrobramskiej o głębokiej pobożności, wszczepionej od lat dziecinnych przez matkę. Karol Kaczkowski który w roku szkolnym 1815/16 kolegował z Adamem na ławkach wydziału fizyczno-matema

tycznego i prawie codzień się z nim widywał, powiada o nim w tym czasie, iż był »łatwy w koleżeńskich stosunkach, skromny w obejściu się, częściej zamyślony i rozmarzony, niż wesoły, przyciągał do siebie wszystkich i wzbudzał ogólną sympatyą«. Jednakże nikt z kolegów nie przypuszczał w nim wówczas tego poetyckiego geniuszu, jakim miał wkrótce zajaśnieć.

Upodobanie jednak w poezyi wcześnie się w nim objawiło. Będąc w szkołach nowogródzkich, z zajęciem czytywał *Iliadę* i *Eneidę* w przekładzie Dmóchowskiego i *Jerozolimę wyzwoloną* w tłómaczeniu Piotra Kochanowskiego, obok różnych romansów z francuskiego, Floriana, Pani de Genlis i t. d. Najwięcej go zajmowały naturalnie sceny wojenne, bohaterskie, które mógł potem wyobrażać wraz z kolegami w czas rekreacyi, o czem Gustaw w *Dziadach* wspomina. Ale wiersze, które pisał w czasach nowogródzkich, jakkolwiek otrzymywał za nie pochwały od profesorów, nie wychodziły ponad poziom dziecinnego rymowania. Sam Adam, rozmawiając w kilkanaście lat potem z Odyńcem o swoich czasach szkolnych, powiedział, że tak jak podług pewnego fizyologa mózg dziecka w pierwotnem kształtowaniu się swojem podobny jest koleją do nózgu ryby, ptaka, zwierzęcia, nim się na mózg ıdzki wykształci, tak i dusza ludzka w kształ·eniu się moralnem i artystycznem przez podobne

fazy przechodzi. Otóż czuje, dodał, że w Nowogródku, kiedy powieść Floryana *Numa Pompiliusz* z prozy polskiej Staszica na rymy przenosił, starając się naśladować mizernego poetę Świderskiego:

> W mieście Kuryi, w kraju Sabińczyków,
> Wpośród rozkosznych cyprysu gaików i t. d.

że wtedy był w stanie ryby, w pierwszych zaś latach pobytu w uniwersytecie znajdował się w stanie zwierzęcia, »to jest, pisał takie wiersze i miał takie wyobrażenie o sztuce, jak tego wymagali ówcześni recenzenci warszawscy« [1]). Ale ówczesne życie wileńskie obfitowało w tak różnorodne prądy, tyle szczęśliwych posiadało warunków dla rozwoju zdolności młodzieńca, że przejście ducha poety przez »stan żwierzęcy« odbyło się stosunkowo bardzo prędko.

Że Wilno było tak szczęśliwą sferą, zawdzięczało to przedewszystkiem swemu uniwersytetowi, przetworzonemu nieśmiertelnej pamięci zabiegami ks. Czartoryskiego i Czackiego z dawnej pojezuickiej szkoły głównej (1803). »Akademia czyli uniwersytet jest rzecz w Wilnie znacząca«, pisał swoim naiwnym językiem młody Lelewel do brata w r. 1804, to jest wtedy, kiedy nie jaśniała jeszcze wszystkiemi znakomitościami, które ja

[1]) Listy z podróży I. 344.

potem ozdabiały. W istocie była to rzecz »znacząca« i to podwójnie: jako ognisko nauki i jako naczelna władza szkolna na Litwie i Rusi.

Nigdzie ani przedtem, ani potem nie było w Polsce tak znakomitego zbioru sił uniwersyteckich, jak w owych czasach w Wilnie. Składali się na to i obcy uczeni, jak Frank, Bojanus, Grodek; i swoi, jak Śniadeccy, Jundziłł, Lelewel, Borowski i inni. Uniwersytet dzielił się na cztery wydziały: fizyczno-matematyczny, lekarski, nauk moralnych (teologia, historya, prawo) i literacki (literatury i sztuk wyzwolonych). Na wydziale fizyczno-matematycznym, który miał przewagę nad innymi, prym trzymali bracia Śniadeccy. Znane są powszechnie ich zasługi na polu naukowem. Obaj wykarmieni francuską nauką, przejęci duchem francuskiego racyonalizmu, odznaczali się nadzwyczajną logicznością i jasnością wykładu i przyuczali uczniów do jasnego i trzeźwego myślenia [1]). Z pewnem lekceważe-

[1]) Jak się zapatrywał Jędrzej na zadanie profesora, wskazuje to najlepiej pewien ustęp w jednym z listów jego do Czackiego: »Dobrze uorganizowana edukacya publiczna powinna mieć za cel nietylko wzbogacić w pożyteczne wiadomości, ale razem wykształcić rozum młodego człowieka i dać mu owo delikatne czucie prawd, które w dobrych głowach około nauk chodzących tak się ocno podoba, a które droższe jest od samej nauki«. Baliński. Pamiętniki o Janie Śniadeckim. T. II. 218.

niem spoglądali na wszystkie nauki, które nie wchodziły w zakres ścisłych [1]), a ponieważ byli pierwszorzędnymi powagami w uniwersytecie, ponieważ Jan Śniadecki przez lat ośm (od 1807 do 1815) dzierżył berło rektorskie w swojem ręku, stąd i wydział fizyczno-matematyczny uzyskał przewagę nad innymi. Jędrzej mniej pisał, ale w tem, co napisał, głębszym się okazał od Jana, za to Jan okazał wielkie zasługi jako organizator i kierownik szkół na Litwie i zarówno z Jędrzejem, a może i więcej zasłużył się około ustalenia naukowej terminologii polskiej, a Maurycy Mochnacki utrzymuje, że jego to staraniom szczególnie przypisać należy, że »Wilno pod względem języka polskiego i wytwornej w pisaniu polszczyzny nad całą obszerną dziedziną Polaków niezaprzeczone przez nikogo trzymało berło przez lat wiele«. Nieprzyjaciel wszystkiego, co było niejasne, nie miało dostatecznej ścisłości logicznej i nie dawało się ocenić trzeźwym rozumem, występował on szorstko w mowach i pismach swo-

[1]) Odnosi się to szczególnie do Jana, który naprzykład zapatrywał się na historyą, jako na »objekt pamięci tylko i rozsądku potrzebujący, przytem tłómaczenia się płynnego i czystego«. »W moim nawet sposobie myślenia, pisał do kuratora ks. Czartoryskiego r. 1808, ja tę naukę mam za ważną przy gimnazyum... w uniwersytecie mam ją za niepotrzebną«. Dodawał jednak niżej: »Sposób atoli ten myślenia może być mylny i wcale przy nim nie upieram«. Tamże I. 519.

ich i przeciw romantyzmowi w poezyi i przeciw idealizmowi w niemieckiej filozofii (Kant), Lelewelowi zaś był przeciwnym głównie dla jego zaniedbanej polszczyzny. I Jan i Jędrzej byli zarówno dumni ze swej nauki, choć Jan to więcej okazywał, i uczniów traktowali z wysoka, po za urzędowym stosunkiem nie łatwo przypuszczając ich do siebie.

Ksiądz Stanisław Jundziłł, profesor historyi naturalnej, podobnie jak Śniadeccy, kształcił się za granicą u najznakomitszych profesorów, zanim zajął katedrę przeznaczoną dla siebie w Wilnie (1797). Zasługi jego około rozwoju nauki w Polsce były prawie takie jak Śniadeckich. On to był założycielem pięknego ogrodu botanicznego w Wilnie (1799), który stopniowo wzbogacając, doprowadził do 7000 roślin i gdzie w cieniu drzew lubił siadywać do późnej starości; on urządził gabinet mineralogiczny przy uniwersytecie (1801), prócz tego obdarzył naukową literaturę polską, tak ubogą w dzieła przyrodnicze, kilku poważnemi dziełami naukowemi. Poważny, pracowity, odznaczał się trzeźwością umysłu, która cechowała Śniadeckich, i nie pochwalał marzycielstwa w młodzieży, dla której bywał czasem cierpkim, szczególnie jako prefekt kandydatów stanu nauczielskiego [1]). Zamiłowanie w nauce miał takie,

[1]) Lelewel, który był takim kandydatem, skarży się przed

że aby się jej oddać zupełnie, nie przyjmował dostojeństw kościelnych i wyrobił sobie nawet u papieża zwolnienie od wszelkich obowiązków kapłańskich, a i wtedy gdy został emerytem (1824), nie przestawał bacznie śledzić za postępem nauk przyrodniczych [1]).

Józef Frank, profesor terapii i kliniki, był pierwszą powagą na wydziale lekarskim; głośny z nauki, surowo przestrzegający, aby uczniowie ściśle wypełniali swoje obowiązki, po za urzędowem stanowiskiem był on łatwy w stosunkach i przystępny dla uczniów. Zapraszał nawet młodzież uniwersytecką do siebie, a ponieważ i on i jego żona zamiłowani byli w sztukach pięknych, szczególnie w śpiewie i muzyce, ponieważ w salonach jego gromadziło się wiele osób znakomitych czy to stanowiskiem, czy majątkiem, czy nauką, czy talentem, młodzież więc w jego domu miała sposobność zbliska »przypatrzeć się laurom na rozmaitych polach zdobytym« i znajdowała niejako szkołę wyższego świata.

---

bratem (2 stycznia 1808) na Jundziłła i Śniadeckiego Jana: »Dla przykładu dość powiedzieć, że Jundziłł chce, aby kandydaci włosy do góry zaczesywali... Śniadecki, aby wszyscy jego staraniem wydrukowanego Euklidesa studyowali — owóż uczone głowy!« W miesiąc jednak potem pisze: »My teraz z daleka, oba nawzajem bardzo grzeczni, bo i Jundziłł teraz, jak go nie posłucha ucichł«. Joachim Lelewel. Listy. Poznań, 1878. T. I. str. 112.

[1]) Sobarri. Obrazki litewskie, str. 92.

Lelewel, który stałym profesorem uniwersytetu wileńskiego został dopiero 1821, w latach, o które nam chodzi, był zastępcą profesora historyi. W tym samym roku rozpoczął on wykłady, w którym Adam Mickiewicz przybył do Wilna, i odrazu zaczął ściągać tłumy słuchaczów do swego audytoryum. Sam młody profesor dziwił się tej swojej popularności i w liście do ojca 9 listopada 1815 r. pisał: »Nie wiem, co tak powabnego słuchacze moi znajdują, bo będąc na ich miejscu możebym się wyrzekł pilności i ciekawości. Błoto mamy, nieprzyjemny czas, niemroźny, ale nieznośnie zimny i wilgotny, a pomimo tego o ciemnej godzinie (Lelewel wykładał od 6ej do 7ej wieczorem) do półtorasta może i więcej ich się zbiera, stąd w sali gorąco i kataru mnie nabawiają«. Tym magnesem ściągającym słuchaczów na prelekcye młodego profesora nie była naturalnie jasność i płynność wymowy, ale gruntowność badań naukowych i szczery zapał do nauki, którą wykładał, zapał, który zdolny był nawet wśród najsuchszych wywodów rozpalić wyobraźnię jego i niejako magnetycznie udzielał się słuchaczom. Doskonały portret Lelewela dał Mochnacki w swojej historyi powstania listopadowego. »Ten uczony, powiada on, łączył sobie dwie rzeczy na pozór wręcz przeciwne: pracę niezmordowaną w dociekaniu suchych szczegółów i imaginacyę, którą pewne zjawiska w za-

mierzchłej dali naszych czasów rozpalały. W wejrzeniu też jego i postawie wybijały się te dwa osobliwe przymioty, rzadko u którego starych dziejów badacza zespolone. Lice blade, zapadłe, głowa cokolwiek pochylona, oznaczały antykwaryusza, a poetę blask w oku żywem, przenikliwem, podnoszącem charakter tej ujmującej melancholicznej fizyognomii« [1]).

Najważniejszą osobą na wydziale literackim był Ernest Grodek (Groddeck), uczony filolog, profesor literatury łacińskiej i greckiej, zacięty wróg Jana Śniadeckiego, którego nienawidził za pogardliwe traktowanie filologii i niemieckiej filozofii. Gruntowny znawca klasycznej filologii, znający przytem dobrze język polski i wielbiący jego siłę i bogactwo, mógł on doskonale wtajemniczać swoich uczniów w piękności klasycznej poezyi. Nie trzymał się przytem zdaleka od nich, chętnie przypuszczał do siebie i jeszcze w roku 1808 Lelewel, kończący wówczas studya, chwali go w liście do brata: »Człowiek światły, pracowity i prawdziwie uczony, udzielał mi, jakie mógł mieć książki, nawet swoje rękopisma«. Gorliwy krzewiciel wolnomularstwa, które jeszcze wówczas pod berłem rosyjskiem było tolerowane, był on mistrzem jednej z lóż wileńskich.

---

[1]) M. Mochnackiego. Powstanie narodu polskiego w r. 18 i 1831. Paryż. 1834. T. I. Str. 417.

Leon Borowski, kolega uniwersytecki Lelewela, należał do młodszych wiekiem profesorów uniwersytetu. Był on jakiś czas po ukończeniu kursów (1807) nauczycielem gimnazyalnym w Świsłoczy, potem w Wilnie, po śmierci zaś Euzebiusza Słowackiego zajął w uniwersytecie wileńskim, z początku jako zastępca profesora, katedrę wymowy i poezyi. Działalność jego literacka szczuplejszą była od profesorskiej. Jeszcze na ławkach uniwersyteckich próbował tłómaczyć ustępy z Moliera i Ossiana, którego nie znał wówczas w oryginale. W r. 1819 drukował w *Dzienniku Wileńskim* swoje tłómaczenie Miltona *Allegro* i *Penseroso,* tym razem już z oryginału, jak to widać z przypisów. Mamy próbki i oryginalnej poezyi jego, jak n. p. *Spiewek o Leszku i Goworku* w tymże *Dzienniku Wileńskim* z 1817 roku, albo prolog na przyjęcie Niemcewicza w Wilnie 1819 r., ale próby te prócz gładkości wiersza niczem się nie zalecają i świadczą, że Borowski myśli swoich »nie był zdolny upierzyć«, jak to sam o sobie pisał w roku 1828 do Mickiewicza. Za to obszerna recenzya komedyi Niemcewicza *Samolub*, umieszczona przez niego w *Dzienniku Wileńskim* z 1815 r., wskazuje, że posiadał bystry zmysł krytyczny i obszerne oczytanie, a swo- »dne wypowiadanie zarzutów takiej powadze, ką był wówczas Niemcewicz, dowodzi, że się krępował żadnymi względami literackiej uprzej-

mości. Literaturę europejską znał dobrze i nie był bynajmniej ślepym czcicielem klasycyzmu, o czem się można przekonać z jego *Uwag nad poezyą i wymową*, umieszczonych w *Dzien. Wil.* z 1820 r. Niektóre niewydane prace Borowskiego, miały uledz zniszczeniu, inne pozostały podobno w rękopisach. Do niewydanych prac należy tłómaczenie *Don Kiszota*, które Michał Baliński nazywa wybornem [1]).

O tem, jakim był jako profesor dla uczniów, a w szczególności dla Adama, poucza nas najlepiej pewien ustęp z *Listów* Odyńca (I, 347). Adam, jak to już wiemy, w pierwszym roku pobytu na uniwersytecie, jako stypendyat, zapisany był na wydziale fizycznym i nie będąc jeszcze właściwie uczniem Borowskiego, tylko jako amator bywał na jego wykładach. »Nie przeszkadzało to jednak gorliwemu profesorowi, mimo ciągłych prac i zajęć własnych, poświęcać często po kilka godzin czasu dla obcego mu całkiem młodzieńca, skoro w nim odkrył zaród prawdziwego talentu«. Mianowicie już dwa pierwsze ćwiczenia Adama zwróciły na siebie jego uwagę, pochwalił je publicznie i wezwawszy do siebie młodzieńca, zajmował się nim potem z »prawdziwie ojcowską, ale zarazem i pedantyczno-mistrzowską

[1]) Michał Baliński. Życie Jędrzeja Śniadeckiego. Leszno i Gniezno 1840. Str. 66 i 67.

troskliwością«. Mickiewicz długo nosił w sercu wdzięczność dla swego profesora i w r. 1829 wspominając o nim Odyńcowi, powiadał, że »przez długie lata przy każdem pisaniu wierszy, czuł zda się obok siebie sztywną i zimną jak posąg twarz i postać pana Leona, gdy bez żadnej litości dla rymu lub dla harmonii wiersza, z nieubłaganą surowością Minosa, ścigał każdą myśl nielogiczną, każde niejasne wyrażenie, każdy wyraz niewłaściwie użyty«. »I przypominaliśmy oba z rozrzewnieniem, mówi dalej Odyniec, owe istne czyścowe próby w gabinecie jego pod kluczem: gdy przyniesiony rękopis, wycackany i wychuchany jak można, a miany za *monumentum aere perennius* — wynosił się pokrzyżowany na cmentarz, który i górne o sobie mniemanie autora i nadzieję chwały z niego pogrzebał« [1]).

Nareszcie koniecznie tu trzeba wymienić człowieka, który jakkolwiek nie profesor, ale tylko adjunkt biblioteki uniwersytetu, miał wielki wpływ, może większy od innych, na młodzież. Był nim nazwany już raz Kazimierz Kontrym, o którym Ignacy Domejko powiada, że »był człowiekiem bardzo zacnym, nieco gderą, kapryśnym i nieprzyjacielem szlachty, ale przystępnym dla wszystkich, ruchawym i wielkim budzicielem do pra-

[1]) Listy z podróży. I. 348.

cowitości i oświaty« [1]). Za młodu służył wojskowo, w r. 1794 walczył jako prosty żołnierz artyleryi, potem udało mu się otrzymać miejsce sekretarza uniwersytetu wileńskiego, a następnie adjunkta biblioteki. W dalszym toku poznamy bliżej jego działalność, bo niejednokrotnie zdarzy się sposobność mówienia o nim.

Ten zbiór ludzi światłych i uczonych, niezależnych stanowiskiem, o silnie ugruntowanych przekonaniach, to tak świetne, choć niezbyt zgodne ognisko inteligencyi otoczone było w koło staro-szlachecką sferą ze wszystkiemi jej patryarchalnemi cnotami, ze wszystkiemi nieszczęsnemi ułomnościami, z całym obskurantyzmem po dwóch ostatnich wiekach odziedziczonym. Życie nad stan, gra w karty, pijaństwo, próżniactwo i nieoględność, wszystko to wiodło szybkim krokiem fortuny możniejszych do upadku: exdywizye były na porządku dziennym. Francuszczyzna i tytułomania panowały w bogatszych domach. Pieniactwo było powszechne, a wskutek tego tem hałaśliwszymi i niesforniejszymi stawały się sejmiki, na których co trzy lata obierano sędziów i innych urzędników powiatowych. Stosunek pana do chłopów opierał się na niewoli, którą rewolucya francuska i miecz Napoleona zniósł do szczętu w całej Europie aż po Niemen. Nie bra

[1]) Ignacy Domejko. Filareci i Filomaci. Poznań. 1872. Str. 2.

kło i stron dodatnich, jak pobożność, serdeczność, gościnność, gotowość do poświęceń dla dobra publicznego, które tak żywo odmalował Mickiewicz w *Panu Tadeuszu.*

Epopeja ta jest idealnym obrazem owego społeczeństwa, pomimo jednak całej swej idealności nie usuwa i ona ujemnych stron litewskiej staroszlachetczyzny, i owszem niektóre z nich rozsnuwa nawet szeroko; tylko powlekając je złocistą barwą humoru, odejmuje im całą cierpkość i gorycz realnego bytu.

Rzecz naturalna, że między tą staroświecką sferą a ogniskiem nowych pojęć musiał się wytworzyć antagonizm. Tlał on zapewne od początków reformy uniwersytetu, ale zwiększać się musiał w miarę, jak przybywało coraz więcej sił nauką zachodu wykarmionych, i jak coraz szerszą w koło siebie wytwarzał uniwersytet inteligencyę, której promienie zaczęły zaglądać do najgłuchszych zakątków. Krytyka przestarzałych pojęć, przywar i nałogów szlacheckich z początku poufna, stawała się coraz głośniejszą, wreszcie wystrzeliła na świat drukiem w piśmie humorystyczno-satyrycznem p. t. *Wiadomości Brukowe.*

Pismo to miało oryginalny początek. Zaczął je wydawać Ignacy Emanuel Lachnicki, młody literat wileński, wyznawca magnetyzmu zwierzęcego i gorliwy krzewiciel mesmeryzmu. Pierwsze dwa numera *Brukowych Wiadomości,* na

których nie ma nawet daty, puszczone były luźnie przez niego w celu odmszczenia się za śmiechy, żarty i szyderstwa, jakie się sypały z różnych stron na magnetyzerów, których chciano nawet na deskach teatralnych wyszydzać. Po puszczeniu dwóch numerów, Lachnicki zaniechał dalszego wydawnictwa, ale myśl wydawania satyrycznego świstka podobała się Kontrymowi i jego przyjaciołom, i ci podjęli ją i zaczęli z początkiem 1817 r. wydawać już regularnie co sobota humorystyczno-artystyczne pisemko pod utartym tytułem *Brukowych Wiadomości.* Dziwną rzeczy koleją, to samo pisemko, które pod redakcyą Lachnickiego wyszydzało przeciwników magnetyzmu, w pierwszych numerach pod nową redakcyą zwróciło się przeciwko magnetyzerom i ich wyłącznie na zęby wzięło. Ale ten wyłączny kierunek *Brukowych Wiadomości* trwał niedługo; już w ósmym num. (27 stycznia 1817) wystąpiły z tak gryzącą ironią na staroszlacheckie narowy, że jakkolwiek ironia ta żadnej osoby wyraźnie nie dotykała, znaleźli się przecież tacy, którzy wydawców pisma przed sąd chcieli pozywać, jak to czytamy w *Listach* Lelewela (I. 265). Utworzył się był w tym czasie około *Brukowych Wiadomości*, w celu dalszego ich wydawania, klub towarzyski, który przybrał nazwę *Towarzystwa Szubrawców.* Historyę utworzenia się tego klubu opisał humorystycznie

w wierszowanej mowie, czytanej na jednem z posiedzeń towarzystwa, Michał Baliński, jeden z młodszych, ale najczynniejszych jego członków:

W parnym miesiącu sierpniu podczas kanikuły
Wiadomo, że się nieraz głowy ludziom psuły,
Co to wiatrem nadąwszy mózgownicę ciasną
Nie wiedzieli, co robić z swą figurą własną.
Bacząc na te zdrożności nasz pan Dzidzis Lado
Za Poklusa i innych przedrwigłówków radą,
By jakieś magnetyczne uprzedzić roztyrki,
Wypalił jak z Baroko gatunek satyrki;
A żywo zachęcony tak zręcznym przypadkiem
Palnął i drugą, piórem złośliwem, lecz gładkiem.
Na odgłos tych pisemek ruch się wszczyna wielki,
Lecą czytać, ten piątki, ten się zrzekł butelki,
Rzucają szepty, plotki, czego tu nie było,
Czyta Pamela, Edward, Barbara, Kiryło.
Wtenczas Poklus, zważając po zakroju takim,
Że się ten świstek może stać nieladajakim,
Układa w płodnej zawsze na projekta myśli,
Czy nie dobrzeby na nim literaci wyszli:
Wre mu głowa, jak kocioł, a w nagłym zapędzie,
Drwi ze wszystkich, drwi z tego co było, jest, będzie.
A wnet głos jego tęgi, twardy, zajękliwy,
Zwołał tłum literatów goły i drażliwy.
Deszcz padał i wiatr świstał, słota była groźna,
Ciągnie jednak czereda braci naszych luźna,
Idzie każdy, nie bacząc na wszelkie zawady,
Wspierać zdrowem swem zdaniem tak ważne narady.
W mieszkaniu to Pateli przy dobrej herbacie
Zawiązało się grono...[1]).

[1]) *Mixtum Chaos* czyli Historya szubrawstwa chronologicznie ułożona. Tygodnik wileński T. VIII str. 60, 61.

Było to coś w rodzaju dawnej rzeczypospolitej Babińskiej. Jak rzplita Babińska, tak i Towarzystwo Szubrawców wypłynęło z obfitości dobrego humoru i miało barwę humorystyczną. Jak w skład Babińskiej rzeszy, tak i do wileńskiego towarzystwa wchodzili ludzie najświatlejsi, najwykształceńsi; jak Babin, tak i Towarzystwo Szubrawców miało na celu wyśmiewanie wad towarzyskich i społecznych. Ale w rzplitej Babińskiej na wyśmiewaniu wszystko się kończyło, a rezultatem wyśmiewania było wesołe przepędzenie czasu. Wyśmiewający nie strzegli się bynajmniej wad, które wyśmiewali. Pod tym względem Szubrawcom należy przyznać wyższość.

Głównym agitatorem i organizatorem był Kontrym, on też wraz z M. Balińskim największy brał udział w ułożeniu statutu towarzystwa, który został uchwalony na schadzce czyli posiedzeniu Szubrawców 18 czerwca 1817 r., a później nieco zmodyfikowany i dopełniony.

W pierwszem prawidle tego statutu wykazane są cele towarzystwa. »Zadaniem towarzystwa jest, nie mając na celu żadnych szczególnych osób, wyświecać szpetność tych przywar i nałogów, które z natury swojej nie mogąc być prawem powściąganemi, są jednak społeczności bardzo szkodliwe, a u nas z dawna pospolite i co gorsza, że w pospolitem mniemaniu za występki i wady najczęściej nie są poczytywane«. Dalej

następuje kategoryczne wyliczenie tych przywar: pijaństwo, gra w karty, czekino, bilard, naturalnie połączona »ze stratą czasu, wstydu i majątku« i mniemanie »jakoby można być obywatelem światłym i do urzędu prawo mającym, nie zajmując się nigdy w życiu ksiąg czytaniem«; dalej »źle zrozumiana miłość narodowości, zależąca na tem, ażeby bez rozeznania chwalić to wszystko, co własne i dawne, a poczytywać za czernienie narodu, kiedy się wytykają przywary ogólne«. Wreszcie hojność w obietnicach, a nierzetelność w dotrzymaniu słowa; wielkie nakłady na powierzchowną okazałość, a skąpstwo na życie prawdziwie wygodne«, »w potrzebowaniu cudzej pomocy i usługi zbytnia uniżoność, a w innych zdarzeniach butność i pogarda dla drugich« itp.

W dalszych prawidłach jest mowa o członkach i urzędnikach towarzystwa i ich obowiązkach. »Członkowie są dwojakiego rodzaju: miejscy i wiejscy, *urbani et rusticani*. Pierwszych liczba ogranicza się do czterdziestu, a każdy nie w młodszym wieku przyjmuje się, jak mający dwadzieścia pięć lat skończonych«. Każdy należący do towarzystwa przybierał sobie jakąś nazwę, wziętą z mitologii litewskiej, i ta nazwa służyła mu »we wszystkich czynnościach szuawskiego zawodu«. Obowiązki członków były wojakiego rodzaju. Naprzód każdy Szubrawiec winien był wystrzegać się tych wszystkich

przywar, przeciwko którym towarzystwo występowało, a przedewszystkiem nie używać napojów mocnych aż do utraty sił i przytomności, w żadną grę nigdy nie grać dla wygrania, gdyby zaś wciągnięty w grę cokolwiek wygrał, oddać to zaraz najbliższemu szpitalowi; przez całe życie czytać przynajmniej jednę gazetę polityczną i jednę literacką, każdego miesiąca przeczytać przynajmniej jednę książkę, mieć własnych ksiąg przynajmniej dziesięć i przynajmniej jednem dziełem co rok zbiór swój pomnażać. Powtóre powinien był każdy miejski Szubrawiec regularnie bywać na schadzkach i przynosić co dwadzieścia dni pisma do *Brukowych Wiadomości* przynajmniej na ćwiartkę druku. To pismo odczytywane było na posiedzeniu i jeżeli pozyskało więcej niż połowę głosów obecnych członków, drukowano je.

Urzędnicy, na rok »prenumeratorski« wybierani, byli następujący: prezydent, mówca, strażnik porządkowy, sekretarz i redaktor. Trzej pierwsi mieli zastępców. Prezydent, po zebraniu się Szubrawców, dawał znak dzwonkiem, że zaczyna się schadzka, a usiadłszy nakrywał głowę, w czem go wszyscy zgromadzeni naśladowali. Zwykły porządek dzienny posiedzeń bywał następujący: *a)* czytanie wywodu słownego schadzki przeszłej, *b)* podpisanie zaprzeszłej, *c)* czytanie *Wiadomości Brukowych*, numerku przeszłego,

jeżeli większość sobie tego życzyła *d)* czytanie rozmaitych pism, wypracowanych przez Szubrawców, *e)* rozmaite wnioski i ich załatwienie, *f)* czytanie i wybór materyi dla przyszłego numerku *Wiadomości Brukowych.* W końcu wyznaczano tych, co mieli czytać coś swego na przyszłem posiedzeniu, zapisywano nieobecnych i wotowano nad poleconymi kandydatami, przyczem jeżeli choć jeden głos był przeciwny, to jest, jeżeli choć jedna z rzuconych kartek była rozdartą, kandydatura upadała.

Mowca wyręczał prezydenta w czytaniu i mówieniu, skoro tylko był przez niego wezwany; strażnik przestrzegał porządku, wykraczających przeciw niemu ostrzegając stukaniem po podłodze łopatą, sekretarz układał wywód słowny (protokół), redaktor wydawał *Wiadomości Brukowe,* wprawdzie pod bezpośrednim dozorem komitetu redakcyjnego, ale na swój własny zysk lub stratę i tak dalece odpowiedzialny był za wszelkie omyłki czy to dziennikarskie, czy gramatyczne, historyczne i inne, że od pierwszych płacił po kopijce, od innych po pięć na rzecz szpitalów. Rozdawano prócz tego w towarzystwie rozmaite dostojeństwa, jako dowód szczególniejszych względów, ale do tych dostojeństw nie były przywiązane żadne szczególne obowiązki lub prerogatywy. Tylko fundator, który materyalnie wspierał towarzystwo, miał wielkie honorowe atrybucye.

Cały ten regulamin obowiązywał członków miejskich. Dla rustykanów uchwalono osobny dodatek do kodeksu na schadzce 26 stycznia 1819 r. Dzielili się oni na dwa oddziały: rustykanów pierwszego i drugiego rzędu. Rustykanie pierwszego rzędu byli to członkowie honorowi, wybierani z pomiędzy ludzi, którzy odznaczyli się w zawodzie literackim lub sztuk pięknych i mieli »lata urbańskie«. Otrzymywali oni nazwy szubrawskie, a czasowo bawiąc w Wilnie, bywali na zgromadzeniach szubrawców. »Rustykanie drugiego rzędu, powiada kodeks, są jak klienci w starożytnym Rzymie«. Wybierali się oni albo z ludzi niemieszkających w Wilnie, ale znanych z ukształcenia i upodobania w naukach, albo z młodzieńców, mieszkających w tem mieście, którzy nie mieli lat dostatecznych na urbanów, a czynili »nieobojętną nadzieję odznaczenia się w przyszłym czasie przez prace literackie«. Nie otrzymywali oni nazwisk szubrawskich, nie znosili się bezpośrednio z towarzystwem, ale tylko przez nadanych sobie patronów, i w schadzkach nie uczestniczyli, ale po roku, złożywszy dowody pilnego wykonywania obowiązków i szczególnej gorliwości, mogli otrzymać urbanią bez względu nawet na nieletniość. Jednym z takich Szubrawców był Tomasz Zan.

Towarzystwo Szubrawców przez ciąg swej istnienia miało dwóch prezydentów: pierwszy

był Jakób Szymkiewicz, z przydomkiem Perkunasa, drugim Jędrzej Śniadecki z przydomkiem Sotwarosa, nazywany także Rejem.

Tak Szymkiewicz, jak Śniadecki celowali dowcipem, humorem, i obaj zajmowali poważne stanowisko w świecie naukowym, bo i Szymkiewicz był członkiem wielu towarzystw uczonych, członkiem honorowym uniwersytetu wileńskiego, doktorem nauk wyzwolonych, filozofii, medycyny i chirurgii. Nie poprzestawał on na wycieczkach przeciwko pijaństwu, umieszczanych w *Wiadomościach Brukowych*, i napisał cały traktat o pijaństwie, który wyszedł z druku niedługo przed śmiercią autora w r. 1818. W testamencie, dzieląc swój majątek pomiędzy rodzinę i przyjaciół, zapewnił dla chłopów swoich wieczyste posiadanie ziemi i ustanowił osobny fundusz na wychowanie ich dzieci. Prócz tego porobił inne dobroczynne zapisy (dla ubogich uczniów w szkołach publicznych, dla muzyków wileńskich, na szkołę rzemieślniczą w Wilnie, na Towarzystwo dobroczynności i inne). Słowem był to filantrop nietylko w słowie, ale i w czynie. Do ruchliwszych i wybitniejszych członków towarzystwa należeli Kontrym, główny organizator, znany w towarzystwie pod nazwą Poklusa albo Jubilata, Miał Baliński, strażnik łopaty, noszący nazwisko ıszlawisa, Leon Borowski, zwany Pergrubiun, a piastujący urząd mowcy, wreszcie jego

pomocnik, witajnik drugiego rzędu, Ignacy Szydłowski w towarzystwie Gulbim zwany. Ignacy Szydłowski, młody profesor gimnazyalny w Wilnie, wyróżniał się z pomiędzy ówczesnych wierszopisów nietylko większą gładkością wiersza, ale i większem poczuciem artystycznem, w utworach jego jednak, umieszczonych w ówczesnych pismach literackich, nie widać oryginalności, ani siły; naśladował Horacego, J. B. Rousseau i Fontenelle'a, którego tłómaczył. Ale w niektórych wierszowanych mowach, któremi stosownie do zwyczaju i swego urzędu witał nowowprowadzonych do towarzystwa członków, wiersz jego nabierał nadzwyczajnej mocy i oryginalności. Szczególnie jedna z tych mów, napisana w r. 1818 [1]) zasługuje na wielką uwagę, bo w niektórych jej ustępach zbliżył się Szydłowski do *Ody do młodości* Mickiewicza, która pomimo całej swej wyższości polotu, natchnienia i formy jest jej widocznie pokrewną. W tej mowie, którąby można nazwać *Odą do szubrawstwa*, poetycznym manifestem Szubrawców, nietylko streściły się doskonale ich zasady, ale wyraził się też wybornie i ów duch bojowy, owa ufność w swoją sprawę i powodzenie, jaka ożywiała tych zapaśników oświaty i postępu. Oto ustęp z tej mowy:

---

[1]) Pamiętnik warszawski T. XII. str. 226.

Nie dosyć w zakresie ciasnym,
Myśląc o pożytku własnym,
Powinnościom stanu służyć;
Ale udzielonych z nieba
Wszystkich zdolnoścl potrzeba
Dla dobra współbraci użyć.
. . . . . .
A tak czy syn marnotrawny
Trwoni majątek pradziadów,
Czy pieniacz przez podstęp prawny
Własność wydziera sąsiadów:
Czy w sutanie lub w habicie
Kapłan wiodąc gnuśne życie
W dzbanie resztę zmysłów topi;
Czy lichwiarz drze nieszczęśliwych,
Czy pod jarzmem panów chciwych
Nędzni narzekają chłopi;
Czy w płochej dumy zapędzie
Nieuk, siadłszy na urzędzie,
Cudzą peroruje mowę:
Czy górę bierze intryga;
Wszystkie zuchwałe bezwstydy
Szubrawiec mężnie dościga,
I głosi je dla ohydy
Przez *Wiadomości Brukowe*.

Darmo się nań niechęć sroży,
Darmo potwarz jad wyziewa;
Groźba szubrawca nie trwoży,
I złość bezsilna nie gniewa,
Pewny swojego oręża,
Wesół zawsze, bo poczciwy,
Odpiera pocisk złośliwy,
I żartem wrogów zwycięża.

Tak gdy na nadbrzeżną skałę
Wyparte z Eola turmy,
Srożąc się wichry zuchwałe
Wywrą zapalczywe szturmy:
Wzdymają się morza smugi
Tłukąc jej boki z łoskotem,
Brzemienne piorunów grotem
Nad głową ryczą szarugi;

Lecz wściekłość żywiołów marna,
Wysila się burza czarna,
Powraca miła pogoda,
A opoka niezachwiana
Widzi, jak wprzód zbuntowana,
Stopy jej całuje woda,
Oto rys Szubrawskiej cnoty! i t. d.

Jest jeszcze jeden szczegół, dotyczący organizacyi Szubrawców, godny uwagi. Każdy z członków czynnych, miejskich, przybierał sobie, zapewne dla dodania jeszcze więcej barwy wesołej, humorystycznej całemu stowarzyszeniu, nazwę jakiegoś bożka, — ale nie greckiego lub rzymskiego, jakby się można było spodziewać po wychowańcach francuskiej oświaty, tylko litewskiego Tak np. pierwszy prezydent, Jakób Szymkiewicz, miał, jak wiemy, nazwę Perkunasa, Jędrzej Śniadecki Sotwarosa, Kontrym nazywał się w bractwie Poklusem, Leon Borowski Pergrubiusem i t. d Z daje się, że ten pomysł zastąpienia Olimpu klasycznego przez wieki wzgardzonym Olimpem l

tewskim, pochodził od Leona Borowskiego, w jego bowiem »Uwagach nad poezyą i wymową«, o których już wspomniałem, widać już pewne artystyczne sympatye dla pogańskiej starożytności; mianowicie żałuje on, że nikt się nie zajmuje zbieraniem szczątków tych pieśni, które niegdyś towarzyszyły obrzędom pogańskim. Tak więc i na Szubrawcach nawet widział znak czasu, zbliżanie się do Litwy romantycznej poezyi.

Wiadomości Brukowe robiły ogromne wrażenie. Wszystkie nałogi, przywary i przesądy, z którymi się społeczeństwo ówczesne tak zrosło, że wydawały się czemś zwyczajnem, naturalnem, wyprowadzone tu były na widok publiczny i oświetlone jaskrawym ogniem ironii i dowcipu. Każde pojedyńcze nadużycie, jeżeli tylko doszło do uszu Szubrawców, tu odbierało zasłużoną chłostę. Były one czemś w rodzaju owych peryodycznych pisemek treści obyczajowo-moralnej, które w Anglii w początkach 18-go wieku wydawali Steele i Adison, a które ogromny wpływ wywarły na podniesienie poziomu moralności w literaturze, a stąd i w życiu; były czemś w rodzaju Tatlera i Spectatora. Jak w tamtych, angielskich pismach, tak i w naszem panował ton swobodny, nie było maniery; i jak Spectatora, ak i Brukowe Wiadomości dziś jeszcze można zytać z wysokiem zadowoleniem, pomimo iż były rzeznaczone do nauczania i rozweselania ludzi

odległych czasów. Sarkazm i humor w coraz to nowe wylewał się formy, co sprawiało miłą rozmaitość. Jedna tylko forma powtarzała się dość często: były to wędrówki szlachcica na łopacie, naturalnie czarodziejskiej, która pozwalała mu bujać po nad Wilnem i całą Litwą i zaglądać przez kominy tam, gdzie nawet drzwi i okna przed szubrawcami zamykano.

Ludzie, co się czuli dotknięci, nie cierpieli Szubrawców. Do niechętnych należał także Lelewel, urażony poniekąd słusznie za artykuł w numerku 14 tym (1817) pod tytułem: »Jak Pantagruel spotkał Mazura, który chciał uczenie i pięknie mówić po polsku«. Artykuł ten, napisany z szalonym humorem, wymierzony był przeciw polszczyznie Lelewela mocno zawiłej i upstrzonej nowo ukutymi przezeń wyrazami. Jeżeli język Lelewela w ówczesnych jego pismach zasługiwał na lekki humorystyczny przycinek, to jego gorliwość, sumienność i zamiłowanie nauki powinny go były ochronić od dotkliwych szyderstw, jakie go tam spotkały. Musieli to sami Szubrawcy zauważyć i starali się zapewne przeprosić Lelewela, bo ten w liście do brata (22 stycznia 1818) mówi o nich: »Żałują oni często, ale myśl krotofilna nieuważnymi ich czyni«. Liczbę niechętnych przeważali zwolennicy, do których serca szlachetne zasady i postępowe pojęcia prędko znalazły drogę. Czuli się oni pociągnięci ku Szubrawcom siłą ich

dobrej woli, humoru i fantazyi. Wszyscy zaś z nadzwyczajnem zajęciem spoglądali na Szubrawca, który był znany, jako taki. »Ledwom wyszedł na ulicę, pisze Jędrzej Śniadecki w swojej *Próżniacko filozoficznej podróży po bruku*, zaraz wszyscy zwracają na mnie oczy. Jedni drugich ostrzegają, to mruganiem, to syknieniem, to kiwaniem ręką lub głową i dają znać, że idzie owo rzadkie cudo, ów dziwoląg, którego poważają, lub którego się boją. Robi się jakiś szmer, jakiś ruch na ulicy. Jedni zmykają w stronę, gdzie mogą, drudzy wbiegają do domów, do których iść nie myśleli; ci przebiegają co prędzej, nacisnąwszy czapkę lub kapelusz na oczy, tamci stawają, jak wryci, lub przechodzą ze spuszczonemi na dół oczyma. Tu sobie coś szepcą do ucha i zatrzymują się nieznacznie dla lepszego obejrzenia mnie naokoło; tam, skorom przeszedł, słyszę, że się z cicha, a czasem do rozpuku śmieją«. Mochnacki powiada o Szubrawcach, że »powoli takiego wpływu nabrali, tak ostre mieli pióro, że każdy, kto się poczuwał do winy, drżał na samo ich wspomnienie«. »Od pory, jak od ważono się drukować to bezecne pismo, pisze nibyto jakiś szlachcic starej daty w *Brukowych Wiadomościach*, nie ma domu o dziesięć mil wokoło, gdzieby nie zjeżdżano się co niedzielę w wieczór połykać te brednie... Naucz się, Mospanie,

że nasi młodzikowie rozpływają się w tem piśmie«...

Najwymowniejszym jednak dowodem wpływu, jaki Szubrawcy w przeciągu jednego roku wydawania swego pisma wywarli na umysły, było podniesienie na gubernialnym sejmie wileńskim, w styczniu r. 1818, sprawy uwolnienia włościan z poddaństwa. »Trzy powiaty, pisze Lelewel do ojca (Listy I. 297) dały zalecenie delegatom swoim, aby tę sprawę popierali. Zawisza, Mirscy, najżywiej obstawali: Szubrawcy poklaskiwali i po całem mieście gawędę siali«. Pomimo silnej opozycyi, pomimo gróźb gubernatora Lubeckiego, stanęło na tem, że wybrano komitet, który miał ułożyć przedstawienie do cesarza w sprawie uwolnienia chłopów i polepszenia ich bytu.

Oprócz szubrawstwa były wówczas na umysłowym horyzoncie wileńskim dwa inne jeszcze godne uwagi zjawiska: wolne mularstwo i mesmeryzm. Co się tyczy pierwszego, liczyło ono bardzo wielu członków, ale było już wówczas formą bez ducha, stało się igraszką, która bawiła tajemniczością form, łechtała próżność wtajemniczonych, ale żywotnej treści niemal zupełnie była pozbawioną. Karol Kaczkowski opisał w swoich pamiętnikach tajemnicze a zabawne ceremonie, przez które musiał przechodzić w loży massoń skiej na początku wiosny 1818 roku. Szymkiewicz, prezes Szubrawców »w jasnym bardzo wscho

dzie siedzący, który już miał od wielkiego wschodu z Warszawy siódmy stopień otrzymać«, przekonawszy się o bezpożyteczności i beztreściwości farmazońskiwa, postanowił powiedzieć całą prawdę w oczy stowarzyszonym i w tym celu napisał mowę, w której, »w dobitnych wyrazach, pisze Lelewel do brata (Listy I. 316), uczcił całe zgromadzenie oszustwem, że za pieniądz i grosza wyłudę, plączą w śmieszne przysięgi dochowywania sekretu, który nie egzystuje«, twierdził »że czas jest, dziki i wzgardy godzien mistycyzm porzucić, pewne cele obrać, stać się pożytecznym, zamiast szkody, jaką moralności zadaje stowarzyszenie, w którem tyle niecnót się kryje, czas uczynić reformę«. Szymkiewicz dla słabości piersi (było to niedługo przed jego śmiercią) nie mógł sam tej mowy odczytać i dał ją do odczytania Kazimierzowi Kontrymowi, który niedawno przedtem wstąpił był do wolnych mularzy i widocznie musiał podzielać poglądy Szymkiewicza.

Mowa ta wywołała ogromne wrażenie nietylko w łonie wolnomularstwa, ale w całej Litwie, a bezpośredniem jej następstwem było to, że wielu członków z losy masońskiej wystąpiło, Kontrym zaś zaczął pracować nad planem moralnej reformy wolnomularstwa.

Jakkolwiek jednak wolnomularstwo ówczesne ło już wówczas dziwolągiem bez życia wełętrznego, nie można stanowczo twierdzić, że

nie pozostawiło ono pewnych dodatnich skutków. Rozpowszechniło filantropijne pojęcia, łączyło ludzi różnych warstw i stanowisk i przygotowało grunt dla późniejszych stowarzyszeń i związków.

Gorliwym krzewicielem mesmeryzmu był, jak już powiedziano, Ignacy Emanuel Lachnicki. Mesmeryzm wszedł w modę, kobiety i młodzieńcy, zupełnie jak przed piętnastu laty, chętnie poddawali się doświadczeniom magnetycznym. Osoby chore i niedomagające okazywały w śnie magnetycznym zadziwiającą znajomość fizyologii i medycyny, tłómacząc swoje choroby i przepisując sobie lekarstwa, co śmieszyło i gniewało lekarzy z profesyi. Do najzaciętszych niedowiarków należeli bracia Śniadeccy. Jaką jednak popularnością cieszył się mesmeryzm, wskazuje to fakt, że Lachnicki przez trzy lata 1816, 1817 i 1818 wydawał kwartalnik p. t.: *Pamiętnik Magnetyczny*, pismo poświęcone przeważnie magnetyzmowi zwierzęcemu, do którego jednak wchodziły także artykuły z medycyny popularnej, mechaniki, historyi naturalnej a nawet z dziedziny prawa.

Jak znacznym był wówczas ruch umysłowy w Wilnie, dowodzi tego także liczba pism peryodycznych. Oprócz *Pamiętnika Magnetycznego* i *Brukowych Wiadomości* wychodziły jeszcze w Wilnie w tym czasie dwa pisma naukowo-literackie; *Dziennik Wileński* i *Tygodnik Wileński*

i jedno polityczne *Kuryer Wileński*[1]). *Dziennik Wileński*, którego redaktorem od 1815 do 1818 był Kontrym, było to pismo miesięczne o bardzo obszernym zakresie treści, bo łączyło w sobie poezyą, literaturę, historyą z naukami przyrodniczemi, matematycznemi, gospodarstwem i t. d. *Tygodnik Wileński*, do wydawania którego pobudził Lelewel, poświęcony był tylko historyi, poezyi i literaturze, a pierwszego roku zajmował się bardzo żywo teatrem. Godną uwagi jest rzeczą, że cały dochód z tych pism pobierali drukarze, redaktorowie zaś pracowali bez wynagrodzenia, tylko dla wewnętrznego zadowolenia. Ciekawy o tem ustęp znajduje się w listach Lelewela: »Dopiąłem do tego, pisze on do ojca 27 lutego 1816, że w Wilnie *Tygodnik* wychodzi i skoro się zaczął, nic już o nim nie wiem, na redaktora wysadziłem jednego z synów obywatelskich, pana sędzica a magistra filozofii (Michała Balińskiego), i ten gorliwie się tem zajmuje. Drukarz mu się tem niżej kłania, że go redakcya nic nie kosztuje, tak też redaktorem *Pamiętnika Magnetycznego* jest dworu J. Imp. Mci kammerjunker, filozofii doktor, syn obywatelski, na ostatek *Dziennika Wileńskiego* jest Kontrym, ubogi prawda i z własnej pracy w pu-

[1]) Prócz tych pism w r. 1817 wychodził jeszcze w Wilnie Pamiętnik towarzystwa lekarskiego wileńskiego.

blicznej służbie w edukacyjnym wydziale utrzymujący się, ale gorliwie swą pracę redakcyi poświęcający. Wszystkim tym redaktorom drukarze nie opłacają się (t. j. nie płacą). Owóż jest tajemnica, dlaczego pisma peryodyczne warszawskie mocno są od wileńskich droższe, bo warszawskich redakcya mocno kosztuje. Redaktorowie swych spekulacyi kieszeniowych pilnują i ów *Pamiętnik* (warszawski), który dwa razy tyle ma prenumeratorów co *Dziennik Wileński*, jest prawie dwa razy tak drogi jak *Dziennik*«. Jeżeli redaktorowie nic nie brali za swoją pracę, to łatwo przypuścić, że i literaci, umieszczający swoje utwory w tych pismach, nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia.

Dla uzupełnienia charakterystyki ówczesnego życia wileńskiego chcę jeszcze dać wyobrażenie czytelnikowi o ówczesnym teatrze wileńskim i innego rodzaju zabawach i rozrywkach wileńskich. Teatr był bardzo lichy; w *Tygodniku wileńskim* z r. 1815—16 czytamy same tylko narzekania. »Budynek teatralny jest niezmiernie nędzny, ze wszech stron wieje; łój spada ze świec, których jest bardzo mało«. Na parterze ławek było bardzo mało, te były zwykle powalane. Dekoracye, bardzo nieliczne, były po większej części niezmiernie wytarte i tak zapuszczone, że gdy się wśród aktu scena odmieniała, pył ze spuszczonej opony spadający ro

chodził się po całym teatrze i wywoływał powszechny kaszel. I gra aktorów nielepszą była od urządzenia teatru. Było wprawdzie kilku zdolniejszych aktorów, ale ci zostawieni sami sobie, bez żadnego kierunku artystycznego, licho płatni, zmuszeni grać w najrozmaitszych rolach i w coraz to nowych sztukach, nie mogli się wykształcić na dobrych artystów. »Żaden z aktorów naszych nie ma właściwego sobie charakteru, dziś gra w tragedyi osobę najpoważniejszą, jutro w komedyi bufona i toć to jest jedną z największych przyczyn ich mierności. Słowem, prócz szczególnych, ogólne aktorów tutejszych wady są: płaczliwe mówienie, deklamacya prawie żadna; jednakość gestów; w komedyi przesada i dodatki niepotrzebne, które pospolicie dyabłami lub innemi grubemi, uszy i przystojność rażącemi trącą wyrazami. Allegorye nader jasne nie w miejscu i źle użyte, bo czynią zgorszenie dla obojej płci widzów«. »Aktorowie nasi, obojej płci, czytamy dalej narzekania, a to wszyscy bez wyjątku, nigdy się roli nie uczą, tak iż częstokroć stoją na scenie, nic nie mówiąc, lub łając suflera tak głośno, iż wszystko słyszy publiczność. Rozdąsany sufler, chcąc grającym dogodzić, tak głośno podaje, iż wprzód jego niż aktorów słyać słowa, a to na drugim końcu parteru«.

Nic dziwnego, że w takim teatrze wykształ-
'sza publiczność wileńska nie smakowała, z wy-

jątkiem młodzieży, która, jak świadczy Karol Kaczkowski, gromadnie zbierała się w teatrze. Najlepiej jeszcze udawały się przedstawienia komedyj, najgorzej oper wielkich, bo i te były przedstawiane, jakkolwiek zwykle z opuszczeniem wielu trudniejszych ustępów. Jak komedye, tak i dramaty przedstawiane, były to przeważnie tłómaczenia z francuskiego, jakkolwiek dawano tłómaczone z innych języków a czasem oryginalne sztuki, np. *Oblężenie Warszawy*, o której to sztuce pisząc recenzent *Tygodnika* wyszydza kostiumy i wytyka, że król Jan Kazimierz, występujący w tym utworze, »we wszystkich trudach oblężenia« nosi koronę na głowie. Grywano i Szekspira, mianowicie *Hamleta* i *Leara*, ale co to był za Szekspir, daje nam o tem najlepsze wyobrażenie ten oto początek pewnej recenzyi teatralnej w *Tygodniku Wileńskim* z roku 1816. »Wczoraj (dnia 7 maja) dana była w naszym »wielkim teatrze« tragedya Szekspira *Król Lear*, tłómaczona z angielskiego na język francuski przez Laplasa, z Laplasa naśladowana przez Diusysa, z Diusysa przełożona na język polski, a to z tak doskonałem stopniowaniem, że między tylą rękami geniusz Szekspira niewiadomo gdzie się podział«.

Wielką uroczystością dla Wilna był przyjazd Bogusławskiego do tego miasta w kwietniu 181 roku. Teatr, zwykle pusty w znacznej części, za pełniał się licznie, aktorowie starali się grać le

piej pod jego okiem, a najmilej witaną ze wszystkich sztuk, w których występował, była jegoż własna opera: *Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale.* Cześć dla zasług i talentu Bogusławskiego była tak wielką i powszechną w Wilnie, że za pierwszem jego wejściem na scenę (w roli Saula) cała publiczność zgromadzona, nie wyłączając kobiet w lożach, z miejsc swoich powstała. Atoli po wyjeździe Bogusławskiego teatr wileński popadł w dawną odrętwiałość.

Większe powodzenie niż teatr miały, jak się zdaje, maskarady. Najprzyzwoitsze osoby obojga płci szukały tam rozrywki. Oto co pisze Lelewel w liście do ojca 27 lutego 1816 roku: »Te (maskarady) odbywają się ze zwyczajną Litwie grzecznością i powagą. Nie wspominając licznych i mniejszych, bywały za biletami pięciuzłotowemi zabawy pod imieniem redut czyli maskarady. Aleby sobie kto fałszywe uczynił o nich wyobrażenie, gdyby je po nazwisku na sposób warszawski sądził. Reduty te czyli maskarady są mięszaniną redut i kasyna warszawskiego; na partykularzu, jakim jest Wilno, łacno się w takiej choć publicznej kompanii przystojny dobór osób utrzymuje. Bywało wszystkiego tej zimy koło 200 lub 300 w cząsteczce zamaskowani, większej części niemaskowani, nie na wytwór, najprzyzwoiciej przystrojeni, mężczyźni w buch. Salka, gdzie sześć kół z wygodą pośród

stanąć może oprócz obejścia w koło. Masz na chórku muzykę nieustającą i bez przerwy różne tańce: polonezy, mazury, walce, anglezy i kadryle są tańcowane przez niemaskowanych, maski w to rzadko się wdają, nietańcujący i maski mają prócz obejścia wokoło tańcujących po za stołkami tych, co w tej sali tanecznej chcą siedzieć, po jednej stronie salę, po innej wielki pokój, dalej salę, gdzie jest bufet, i za nim jeszcze salę do przechadzania się i zabawy. Ale te maski nie są zupełnie takie, jak w Warszawie, stroją się zwykle, żeby nie były poznane, stroją się ładnie, ale najwięcej są z pewnym konceptem (ubrane)... Po wielkiej części maski te prawie nieme przechadzają się bez intrygowania i podniecania ciekawości, piszą znajomym nazwiskowe litery, za które wdzięczne ukłony i migi odbierają«.

Świat wielki, na czele którego stały księżne Radziwiłłowa i Mirska, miał swoje osobne zabawy, na których ściśle przestrzegano wyłączności. Zabawy te jednak niebardzo się udawały dla braku osób, przynajmniej w roku 1816, jak to z listów Lelewela wypływa. Jak się bawiono na mniejszych zgromadzeniach, kiedy nie było tańców, w warstwie średniej, daje nam o tem dobre wyobrażenie Lelewel, opisując imieniny u swego gospodarza, profesora Szpicnagla. »We trzech pokojach trzy stoliki z bostonem, jeden po destynowany dla młodzieży, było panieństwa

statkiem i między nie nawet poważni ojcowie się mięszali, bo ruchawej młodzieży nie brakowało. Między tem panieństwem, że je tylko z widzenia znałem, nie mieszając się słyszałem, jak się w myszce gonili; jak grali w wieżę Babilońską, jak w cenzurowanego, asystując bostonistom i uczucia ich podzielając, dopóki nie przypomniało się, że dnia dzisiejszego mam lekcyą, na którą nic gotowego nie było, nie czekając wieczerzy (gdy już sowita herbata i puncz minął) wyniosłem się...« [1]).

Te same listy Lelewela, niewyczerpany skarb szczegółów do obrazu życia wileńskiego w owych czasach, dają nam także wyobrażenie, jak ożywione i malownicze bywało życie uliczne w Wilnie. »Od Bożego Narodzenia aż do Popielca — pisze Lelewel 18 marca 1816 [2]) — chodziły po mieście klarnet jeden lub dwa, trębacz i skrzypki często niepojedyńcze; co wieczór, codzień, aż do północy z gędźbą pod memi oknami po wielokroć przechadzali się. W tych dniach znowu przez oktawę po Śtym Kazimierzu chodzą różne zakony z procesyą do katedry, i lud liczny i kościelne chorągwie, obrazy niesione z rozpalonemi przed niemi świecami i bractwo śpiewające i cechy idą z procesyą, w kotły i dzwony biją. —

[1]) Listy I. 234.
[2]) Listy I. 241. 242.

Muzykantów miejskich alias municypalnych kilkunastu, co strofa prześpiewana, tony wygrywają, jest to dzień po dzień z rana i po południu, i tam i nazad, na dzień po razy cztery, a ja słucham. Codziennie też ni błoto, ni słota nie przeszkadza, wojsko z muzyką tam i nazad przechodzi«.

III.

Młodzież uniwersytecka. — »Zima miejska«. — Stosunek poety do opiekuna. — Jego zajęcia naukowe i stosunek z Borowskim. — Trembecki i Piotr Kochanowski jako wzory. — Bajki Mickiewicza. — »Kartofla«. — »Uwagi nad Jagiellonidą«. »Żywila i »Karylla«.

Zstąpmy teraz ze sfery szerszej życia wileńskiego, która otaczała naszego poetę w pierwszych latach jego pobytu w Wilnie, do sfery ściślejszej — do młodzieży uniwersyteckiej. Liczba akademików wileńskich w owych czasach była przesadnie dotychczas podawaną. I tak Mochnacki w swojem głośnem dziele, mówiąc o tych czasach, powiada, że *tysiąc przeszło* synów Litwy, Żmujdzi, Podola, Ukrainy zapisywało się corok w poczet uczniów głównej szkoły litewskiej. Ignacy Domejko w swoich wspomnieniach o Filomatach i Filaretach również podaje tę liczbę: »niwersytet już liczył więcej tysiąca uczniów« [1]).

[1]) Filareci i Filomaci, str. 21. Ignacy Domejko na wstępie swego wspomnienia sam niejako uprzedza czytelnika, że go pa-

Tymczasem mamy pewne dane, że jakkolwiek pod koniec istnienia uniwersytetu liczył on w istocie tak wielu uczniów, w czasach, o których tu mowa, w czasach wileńskich Mickiewicza było ich znacznie mniej. Michał Baliński, który wszędzie na pewnych opiera się źródłach, powiada w swych *Pamiętnikach o Janie Śniadeckim*, że w chwili, gdy tenże Śniadecki opuszczał rektorstwo, to jest na wiosnę 1815, liczba uczniów wynosiła »pięćset z górą«, w jednym zaś z listów Lelewela, z 19 lut. r. 1822, znajdujemy, co następuje: »Uniwersytet jest bardzo liczny tego roku, 670 młodzieży liczy«. Na podstawie tych dwóch cyfr można przypuścić z wszelkiem prawdopodobieństwem, że liczba uczniów uniwersytetu w pierwszych latach pobytu Mickiewicza w Wilnie wynosiła około 600.

W czasie przybycia Mickiewicza do Wilna nie było jeszcze wśród tej młodzieży wielkiej łączności. Wprawdzie w latach od 1805 do 1808, t. j. wtedy, kiedy Lelewel i Borowski byli jeszcze studentami, potworzyły się tu były z ini-

---

mięć nieraz mogła zawodzić. »Wiem, pewien jestem, że pamiętam, że widzę, całą ową przeszłość: nie zmarnowałem, nie zgubiłem wałęsając się po dalekich krajach nic z tego, co wyniosłem z domu; ale wypisać, przelać na papier to, co się działo, niepodobna. Co słowo, to się przerywa nić, co chwila, to : przypomina i zapomina, a im się bardziej natęża chęć i pamitem się wydatniej czuje bezsilność i niemożność«.

cyatywy akademika Twardowskiego (późniejszego rektora uniwersytetu) stowarzyszenia młodzieży, mające na celu wzajemne kształcenie się, i zlały się potem w jedno towarzystwo, które przybrało nazwę naprzód Towarzystwa nauk i umiejętności, a potem filomatycznego — ale towarzystwo to prędko upadło i w chwili, o której mowa, nie było już ani śladu jego. Karol Kaczkowski, który, jak wiemy, zapisał się na uniwersytet wileński jednocześnie z Mickiewiczem, znalazł pod tym względem, to jest pod względem łączności koleżeńskiej, wielką różnicę pomiędzy Krzemieńcem, skąd przybywał, a Wilnem. »Tam, (t. j. w Krzemieńcu) pisze w swoich *Wspomnieniach* (I. 60) choć szczuplej i ziszniej, ale jakoś jędrniej i serdeczniej było. Szkoła i miasto stanowiły jedną wielką rodzinę. Tutaj każdy pozostawiony sam sobie, o własnych siłach wygrzebywać się musi. Solidarności też nie zastałem wielkiej. Każde prawie gimnazyum trzymało się z osobna; Krzemieńczanie żyli głównie ze sobą, Żmudzini również i t. d.«

Młodzież uboga pracowała, uczyła się pilnie, ale majętniejsza przeważnie wiodła życie próżniacze, spędzając czas w cukierniach, przy bilardach lub przy kartach i dopuszczała się gorszych wybryków, jakkolwiek miały one niekiedy tryotyczną barwę. Tym wybrykom sprzyjały rdzo akademickie przywileje. »Uczeń, czyli

jak nazywano podówczas akademik, żadnej innej prócz uniwersyteckiej władzy nie podlegał; ta ostatnia wyłączne prawo nadzoru i opieki nad nim posiadała, akademik drwił więc sobie z policyi, a wojskowym nigdy kroku nie ustępował. Wedle raz przyjętego zwyczaju, każdy z nas, mówi Karol Kaczkowski, nosił zawsze w zanadrzu świadectwo akademickie, wykazujące, z jakiego jest wydziału i z którego kursu, a ufny w ten dokument nie obawiał się niczego. Było też to potrzebnem, gdy noszenie munduru nie obowiązywało koniecznie, a zdarzały się sprzeczki, zajścia, nawet bójki, zwłaszcza z wojskowymi, w które policya z obowiązku wdawać się musiała: świadectwo to broniło od ujęcia i aresztu, i dość je było okazać, aby urzędnikowi policyjnemu nosa utrzeć« [1]).

Przykłady takich wybryków i burd znajdujemy w listach Lelewela z 1815 i 16 roku. »Przejeżdżał tu w tych czasach przez Wilno jakiś profesor wiedeński Niemiec, fizyk, i na teatrze dziecinne, a nieco kuglarskie figle pokazywał — był za to wyśmian, wygwizdan i wybit nareszcie. Przyznał się, że pierwsze go często spotykało, ale ostatnie raz pierwszy, w rzeczy samej traktament niegrzeczny. Niesforna młodzież podobno nadto sobie pozwoliła, ile że przy sposobnej po-

[1]) Kaczkowski. Wspomnienia. I. 89—90.

rze, przy wywoływaniach dostało się i niektórym paniom w tłustym sposobie, i naszemu dobremu, ale nieobecnemu zastępcy rektora Lobenweinowi; szydząc z profesora Niemca, wywoływano mu: Brawo, wart być rektorem« [1]). Dla objaśnienia należy dodać, że działo się to w kilka miesięcy po ustąpieniu Jana Śniadeckiego z rektorstwa i że Lobenwein, jego czasowy zastępca, ściągnął był na siebie niechęć młodzieży, ponieważ nie pozwolił jej urządzić wieczoru na cześć ex-rektora, który to wieczór jednak przyszedł potem do skutku, tylko nie pod imieniem młodzieży uniwersyteckiej.

Niedługo po tylko co przytoczonym liście, pisał Lelewel do domu: »Rok ten szkolny pełny jest u nas w uniwersytecie awantur, młodzież niestateczna dokazuje, a nawet i burdy popełnia. Na dniu onegdajszym dziedziniec teatralny już po drugi raz był placem boju z wojskowymi. Uniwersytet nie może się ognać z procesów stąd wynikających. Za ostatnią sprawę naprędce wypadł już wyrok, przypłacili za bitwę najmniej winni, którzy jednak z pobojowiska ujść nie potrafili. Jeden z nich, braciszek jednego z profesorów uniwersyteckich, na trzy dni o chlebie i wodzie siedzieć, inny kawaler maltański tym posobem dni pięć pokutować musiał. W bitwach

[1]) Listy. I. 215.

tych mieli oni awantaż, bo byli z kijami i bili tych, którym oręża z pochew wydobywać się nie godziło« [1]).

Ani temperament Mickiewicza, nieskłonny do wybryków i zaczepek, ani położenie jego towarzyskie nie mogło go wciągnąć do życia tej swawolnej i próżniaczej młodzieży — i nie wciągnęło. Były jednak w tem życiu pewne strony, które mogły nęcić jego artystowską naturę, mianowicie swoboda, dostatek, ozdobność form, obfitość wrażeń. To przypuszczenie nasuwa mi wiersz jego p. t.: *Zima miejska.* Wiersz ten drukowany był poraz pierwszy w *Tygodniku Wileńskim* 1818, należy więc do pierwszych utworów poetyckich Mickiewicza, do utworów tej doby, kiedy poeta, jakkolwiek świetnie już naśladował Trembeckiego, nie wyszedł był jeszcze »ze stanu źwierzęcia«. Otóż w tym wierszu odzwierciedla on i idealizuje wesołą i swobodną stronę tego próżniaczego życia bogatej młodzieży wileńskiej.

Na wsi zaledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek;
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Pod atłasowych śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblokłszy nankiny
Modnej młodzieży przywoływam koło;

---

[1]) Tamże. I. 232.

Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w lśniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije z chińskich ziół ciągnione treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
Wraz do śliskiego wstępuję powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży,
I suto zdobiąc, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany —
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej szlą pełne smaków porcelany,
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy Węgrzyn mocny setnem latem;
Wrą po kryształach koniaki i pącze,
Płeć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość, myśli nie zaplącze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa;
I wdzięk niejeden zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima;
Boginie dają do rozjazdu hasło —
Zagrzmiały schody i już gości nie ma.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą królu Faraonie.
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słonie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony,
I szklannem światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice [1]).

Wiersz ten nietylko z formy, o czem później będzie mowa, ale i z ducha pokrewnym jest poezyi Trembeckiego: tchnie z niego epikureizm, właściwy muzie poety-szambelana. Coby się stało z Mickiewiczem, gdyby go los umieścił był w gronie tej majętnej, wesołej i próżniaczej młodzieży? Nie będę się bawił w długie przypuszczenia, godzi się jednak wątpić, czy serce, czy natura jego zachowałyby tę czystość, która namiętnym rzutom jego uczucia tak idealny nadała kierunek, szczególnie w utworach pierwszej doby młodzieńczej. Geniusz poety, innymi karmiony sokami, innąby bezwątpienia zakreślił drogę swego rozwoju. Możeby ona była równie świetną, wyobraźnia pod wpływem użycia prędzejby ochłonęła z marzycielstwa, nabrałaby więcej trzeźwości, ale czy geniusz nie zniżyłby swego lotu? czy zdolny byłby potem tak płomiennie ukochać swój naród? i z tak idealnych wyżyn objąć go kochającem okiem? Jak silnem jest

[1]) Tekst drukowany w *Tygodniku Wileńskim* różni się od tekstu pośmiertnych wydań, z którego przytoczyłem wyjątek, tylko w pojedyńczych wyrazach. Tak zamiast »wdzięk«, jest tam »uwdzięk«, zamiast »godzina dwunasta« — »chwila dwunasta« itp.

oddziaływanie sfery na młodą, rozwijającą się naturę poety, dowodzić tego nie potrzeba; ale warto tu zaznaczyć, że Mickiewicz nie stanowił w tym względzie wyjątku, co nam wskazuje szczególnie późniejszy jego pobyt w Odessie, gdzie zmiana sfery wpłynęła wyraźnie na chwilową zmianę nastroju jego poezyi. Że ten nastrój samemu poecie wydawał się niższym, świadczy o tem jego pożegnanie Odessy *(W dzień odazdu)*.

Jedźmy i odtąd nigdy nie zniżajmy lotu.

Świadczy i to grożenie palcem Odyńcowi na każde wspomnienie sonetów niekrymskich, o czem wspomina Odyniec w swoich listach (I. 276).

Najbliższe otoczenie genialnego studenta w Wilnie było jakby przeznaczone na to, aby na całe życie wykarmić serce jego najszlachetniejszemi uczuciami, owiać je idealnie czystą atmosferą i chroniąc od wszelkich oziębiających wpływów, dać się rozognić uczuciu i wyobraźni jego do najwyższego stopnia.

Pierwsze dwa lata wileńskiego życia Mickiewicza są dla biografa jego jakby mgłą przesunięte, z poza której tu i ówdzie tylko niektóre przeglądają szczegóły. Zawdzięczamy je przewanie Odyńcowi, który poznał wprawdzie Mickiewicza znacznie później, już jako profesora kowieńskiego, przed którym jednak Mickiewicz

rozsnuwał potem nieraz wspomnienia swoje z lat dawnych.

Wiemy już, że poeta dzięki swym zdolnościom i protekcyi księdza Józefa Mickiewicza, dziekana fakultetu fizyczno-matematycznego, przyjęty został na koszt rządowy. Wiemy także, że każdy stypendyat otrzymywał bezpłatne, wspólne zwykle dla kilku uczniów mieszkanie, a prócz tego pewną kwotę na inne potrzeby życia. Ale poeta w początkach swego wileńskiego życia nie mieszkał w jednem z owych wspólnych mieszkań, tylko u stryja w murach świętojańskich, gdzie mieścił się uniwersytet. Nie mogło to trwać dłużej, jak dwa lata, bo ks. Mickiewicz umarł 5 lipca 1817 roku [1]). Tego starca już znamy, wiemy, że był on więcej księdzem, niż uczonym, zupełny kontrast z ks. Jundziłłem. Nawet ks. Golański w pochwalnej mowie swojej, mianej ku uczczeniu pamięci księdza Mickiewicza na publicznem posiedzeniu uniwersytetu wileńskiego 15 września 1817 r., wysoko wynosząc jego pobożność dodaje, że »niewiele się dzieł własnych

[1]) Dziennik wileński T. VI str. 410. W *Czasie* 1859 nr. 117 jakiś bezimienny znajomy Mickiewicza twierdzi, na podstawie własnych opowiadań poety, że opuścił on dom dziekana na dwa miesiące przed jego zgonem i przeniósł się do kamienicy poseminaryjnej nieopodal katedry. Powodem tych wczesnych przenosin miał być to, że krewni ks. Mickiewicza, którzy się zbiegli przed jej zgonem, podejrzewali młodego poetę, iż czyha na sukcesyą.

wydawaniem zatrudniał«. Do ciekawszych dla nas ustępów tej mowy, przeważnie z ogólnikowych pochwał złożonej, należy wzmianka, że nieboszczyk posiadał »liczną i kosztowną bibliotekę«, która »nie dla jego jednego służyła«. Korzystał więc z niej prawdopodobnie poeta; szkoda tylko, że nie wiemy, z jakiej treści dzieł się składała.

Stosunku pomiędzy starym profesorem a młodym studentem nie znamy, domyślać się go tylko możemy. Pobożny, skromny, cichy i zamyślony młodzieniec powolny był zapewne wymaganiom księdza kanonika, które były czysto formalnej natury i nie dawał mu powodu do szorstkich peror. Zdarza się nieraz, że zmuszanie młodzieży do zbyt licznych praktyk religijnych osiąga cel wręcz przeciwny zamierzonemu, t. j. ostudza w niej religijność. Zdaje się, że Mickiewicz zanadto głęboko miał sobie przez matkę wpojoną religijność, aby się ta tak prędko ulotnić miała. Jednakże sądząc z czwartej części *Dziadów* i z tego, co Domejko pisze o pobożności Filomatów, łatwo uczynić wniosek, że religijność poety w ostatnich latach życia studenckiego i w czasach profesury kowieńskiej polegała więcej na wewnętrznem uczuciu, niż na ścisłem dopełnianiu przepisów kościelnych. Otóż czy rygoryzm stryja, któremu się młodzieniec musiał poddawać, nie przyczynił się do tego w pewnej części? Jest to przypuszczenie, które się samo tu na myśl nasuwa

Zresztą pod innymi względami zostawiał zapewne ksiądz dziekan zupełną swobodę swemu imiennikowi i nie mieszał się ani do jego lektury i innych zajęć naukowych, ani do pracy poetyckiej. Szczególnie odnosi się to do drugiego roku opieki, wiemy bowiem od ks. Golańskiego, że ksiądz Józef »więcej od roku mocował się z ostateczną swoją niemocą«, więc jako chory tem mniej mógł wglądać w zajęcia swego wychowanka.

Co się tyczy zajęć naukowych, a mianowicie słuchania wykładów, przyszły poeta nie miał zupełnej swobody w ich wyborze. Jako stypendyat i kandydat stanu nauczycielskiego obowiązany był przez rok pierwszy uczęszczać na wykłady fizyczno-matematycznego wydziału, podobnie jak dziesięć lat przedtem Lelewel, pomimo widocznego już wtedy powołania ku historyi, zmuszony był słuchać na uniwersytecie fizyki i chemii. Na tych to wykładach spotykał się Mickiewicz z Karolem Kaczkowskim. »Cały rok i prawie codziennie widywaliśmy się z sobą, piszeKaczkowski (I. 65), a obszerniejsze i gruntowniejsze wiadomości w matematyce, jakie ze szkoły Krzemienieckiej wyniosłem (Kaczkowski ukończył liceum ze złotym medalem), ułatwiając mi stosunek z wielą młodzieży, potrzebującej objaśnień, zwłaszcza w rachunkach, z nauki o własnościach ciał, o sile, o świetle itd. zbliżyły mnie z Mickiewiczem. Je-

dnego prawie wieku, podobnego temperamentu, sympatyzowaliśmy ze sobą i lubiliśmy się nawzajem... Był on podówczas dość przystojny, z czarnem okiem, z długiemi lekko zwijającemi się ciemnemi włosy, z rumieńcem na twarzy i łagodnym uśmiechem na ustach«. Wspomniałem już przedtem, że nikt z kolegów nie przeczuwał w nim genialnego wieszcza, ale że we wszystkich wzbudzał on ku sobie sympatyą i swojem skromnem zachowaniem się i swoją postacią.

Ale pociąg do literatury i poezyi nie pozwalał Mickiewiczowi poprzestawać na przepisanych z urzędu wykładach fizyczno-matematycznych. Wiemy od niego samego za pośrednictwem Odyńca, że już w pierwszym roku uczęszczał jako ochotnik na wykłady Leona Borowskiego, który na rok przedtem zaraz po śmierci Euzebiusza Słowackiego (29 października 1814) mianowany został zastępcą profesora poezyi i wymowy na uniwersytecie wileńskim. Już przy charakterystyce Borowskiego była wzmianka o tem, jakim był gorliwym i surowym przewodnikiem dla Mickiewicza. Tu na podstawie *Wspomnień z przeszłości* Odyńca, który w kilka lat potem przechodził te same co Mickiewicz próby chrztu krytycznego, możnaby odtworzyć wrażenia i wzruszenia, órych doznawał ten ostatni, przedstawiając erwsze swoje wyroby wysokiej krytyce profeskiej.

Raz na tydzień, zwykle w sobotę, młody profesor roztrząsał i rozbierał krytycznie utwory swoich uczniów, których mu dostarczono poprzedniej soboty. Był to sądny dzień dla młodych rymotwórców, stawiących pierwsze stopy na ślizkie ścieżki Parnasu. Nadzieje i trwogi ważyły się z sobą nieustannie, jak niespokojne szale: z jednej strony uroczysta, publiczna pochwała profesora, która przypinała skrzydła nieśmiałemu i blaskiem otaczała go wśród kolegów; z drugiej — grom krytyczny, który strącał go w przepaść zwątpienia. Pośrodku była deska zbawienia: błysk zachęty wśród burzy krytycznej. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim niepokojem jedni, z jaką ciekawością drudzy oczekiwali zjawienia się profesora. Zjawiał się, poważny i sztywny, zasiadał na katedrze przed stołem, na którym już leżał przygotowany stos ćwiczeń studenckich, wiązaną i niewiązaną pisanych mową, powoli je gatunkował, dzielił na grupy, i — rozpoczynał się sąd ostateczny. Wiemy, że Borowski nie lubił oszczędzać nawet wielkich powag, a że odznaczał się przytem dowcipem i »prawdziwym humorem angielskim« [1]), chłosta więc jego była nietylko surową, ale i dowcipem zaostrzoną. Tyle miał jednak profesor litości, że nie wymieniał

[1]) M. Baliński. Życie Jędrzeja Śniadeckiego. Str. 69. J dziłł i inni również mu dowcip przyznają.

nazwiska chłostanego autora. Jeżeli zaś utwór zasługiwał na pochwałę, wówczas odczytywał go *in extenso* i ogłaszał światu nazwisko autora, wskutek czego naturalnie ten ostatni oblewał się ukropem radości. Jeżeli wreszcie zdolności młodego poety wydawały się profesorowi szczególnie obiecującemi, wówczas kazał mu przychodzić do siebie i tam w swoim gabinecie już nie publicznie, ale sam na sam roztrząsał jego utwory i z rzadką gorliwością dawał mu rady i wskazówki.

Takiego szczęścia doznał Mickiewicz po przedstawieniu pierwszych swoich utworów panu profesorowi. Bystry umysł Borowskiego bardzo prędko odgadł w nim zasoby genialnej zdolności poetyckiej. Ks. Jundziłł twierdzi, że Borowski już po przeczytaniu pierwszych prób swego ucznia zawołał: »Geniusz, geniusz zabłyśnie w kraju naszym!« [1]). Znając charakter i takt Borowskiego, łatwo się domyślić, że ten wykrzyknik nie był rzucony wobec ucznia. Nie szczędził mu zapewne pochwały, o ile była potrzebną do zachęty, ale jednocześnie wytykał mu wszystkie błędy wiersza, stylu i myśli z właściwą sobie surowością. Przecież nawet w trzynaście lat potem

---

[1]) Sobarri. Obrazki litewskie, str. 191.

umiał sławnemu już twórcy *Wallenroda* i *Sonetów krymskich* zrobić wiele trafnych zarzutów [1]).

O ile się wogóle mógł przyczynić Borowski do skierowania Mickiewicza i innych swoich uczniów z bitego gościńca klasycyzmu na ścieżki romantyczne, będzie o tem mowa niżej, w stosowniejszem miejscu. Tutaj chodzi mi tylko o wskazanie, jak oddziaływał profesor na swego ucznia w początkach ich wzajemnego stosunku. Krytykując poezye młodzieńca, należało mu wskazać wzory w literaturze polskiej, na którychby mógł kształcić swój smak i język. Borowski z dawniejszych poetów wskazał Mickiewiczowi, jako wzór taki, Piotra Kochanowskiego, z nowszych — Trembeckiego. Wybór był znakomity. Nie chciał zapewne profesor wpoić przekonania w swego ucznia, że Piotr Kochanowski wyższym jest od Jana poetą, a Trembecki od Krasickiego, ale że pod względem bogactwa języka nikt z poetów polskich nie mógł się z nimi równać. Że miał słuszność, trudno się na to nie zgodzić. Piotr Kochanowski, wprowadzając do literatury polskiej *Jerozolimę Wyzwoloną* Tassa, świat cudów i czarów wschodu, a zarazem zapałów i uniesień średniowiecznego rycerstwa, wyłamał ze starej polszczyzny drzemiące w niej skarby, których dotknąć nie mogli inni współcześni poeci nie z braku talentu

[1]) Korespondencya Mickiewicza. Tom III, str. 100, 101.

ale z braku sposobności. Trembecki do języka literatury czasów stanisławowskich, odrodzonego pod względem jasności i przejrzystości, ale pozbawionego barw i mocy, wprowadził nieporównaną dosadność i plastyczność, która go jako artystę, jako mistrza słowa stawia o wiele wyżej od Krasickiego.

Dogorywająca poezya pseudo-klasyczna chorą była nietylko na ubóstwo uczucia, ale i na bezsilność fantazyi, na bezbarwność, niedokrewność języka. Borowski chciał ustrzedz młodego poetę od tej ostatniej choroby, wskazując na wzory silnego i malowniczego języka.

To też sam Mickiewicz przyznawał potem, że dopiero w uniwersytecie i dzięki Borowskiemu »nauczył się czuć i oceniać te nieprzebrane piękności i skarby językowe, zawarte w owym przekładzie Tassa przez Kochanowskiego, a zwłaszcza w poezyach Trembeckiego« [1]). Uwielbienie dla tego ostatniego, jako artysty, wówczas wzbudzone w Mickiewiczu, przetrwało długie lata; wszystkim młodym przyjaciołom swoim poetom kazał studyować go i uczyć się na pamięć, naśladując w tem zapewne swego profesora, i jeszcze na ziemi włoskiej będąc, z rozkoszą deklamował pewną strofkę z wiersza Trembeckiego: *Do Ƒ. Miera mieszkającego na wsi.*

---

[1]) Odyniec, Listy z podróży I. 347.

Czy to lapońskie zaprzężesz renny,
Które cię w szybkiej przyśliżną sani;
Czy to z odwagi chcąc być imienny,
W Mongolfiera nawiedź nas bani!

»Powtarzał to, pisze Odyniec w *Listach z podróży* (III. 353) razy z dziesięć, zmuszając wszystkich słyszeć i widzieć w tych wierszach: i brzęk dzwonków zimowej uprzęży i połysk gładkiej drogi po śniegu i szybkość koni i jazdy, i nakoniec poważne wzdymanie się balonu«.

Tak tedy Trembecki za wskazówką Borowskiego stał się pierwszym wzorem dla Mickiewicza w Wilnie. Owocem tego naśladownictwa ze znanych nam utworów ówczesnych były najprzód bajki i wiersz p. t. *Zima miejska* [1]).

U Trembeckiego innym jest styl w bajkach, aniżeli w poematach opisowych, listach i innych wierszach. W ostatnich panuje pewna pompatyczność stylu, wspólna wszystkim naśladowcom francuskiego pseudoklasycyzmu, objawiająca się w nienaturalnym szyku wyrazów i w sztucznem wyrażaniu, określaniu rzeczy prostych. Otóż taką pompatyczność znajdujemy i w wierszu Mickiewicza: *Zima miejska*, ale zarazem plastyczność i ową malowniczość dźwięków poezyi Trembe-

[1]) Wpływ Trembeckiego na Mickiewicza szczegółowo wyzałem w studyum p. t. »Mickiewicz i Trembecki«. Patrz Szk literackie. Serya pierwsza. Kraków 1896.

ckiego, którą tak zachwycał się Mickiewicz. Pod tym ostatnim względem ciekawe się tu nastręcza zestawienie pomiędzy sławionym przez Mickiewicza wierszem Trembeckiego: »które cię w szybkiej przyślizną sani« — a ostatnim wierszem *Zimy miejskiej:*

Tysiączną sanią szlifuje ulice.

Małoletni naśladowca świetniej tu od dojrzałego mistrza wyraził dźwiękami »połysk gładkiej drogi po śniegu«.

W bajkach Trembeckiego z dosadnością i plastyką wyrażenia, właściwą wszystkim jego utworom, łączy się wyborna prostota i naturalność stylu. Bajka przy końcu przeszłego i na początku obecnego stulecia była ulubionym rodzajem poezyi i w ogóle odznaczała się naturalnym tonem, dzięki Lafontaine'owi, który w wieku Ludwika XIV umiał zachować naiwność i prostotę, i stał się wzorem dla wszystkich następnych bajkopisarzy. Ale nikt z polskich naśladowców Lafontaine'a nie cenił tak tej prostoty, jak Trembecki [1]) i nikt ze współczesnych mu bajkopisów nie osiągnął jej w wyższym stopniu, nawet Krasicki,

[1]) Bajkę swoją p. t. *Opuchły* tak zaczyna Trembecki:

Nie żalby być kopę lat uczącym się żakiem,
Aby się stać, jakim był Zdrojowicz prostakiem.
Ale to niepodobna.

którego bajki pod względem pomysłu, zwięzłości wyrażenia i architektoniki niezaprzeczoną mają wyższość nad bajkami Trembeckiego, ale mierzyć się z niemi nie mogą pod względem dosadności, malowniczości i prostoty języka.

Ze wszystkich znanych bajek Mickiewicza, pisanych w różnych czasach, dwie tylko, *Dzwon i dzwonki* i *Rabin i pchła,* epigramatyczną zwięzłością swoją zbliżają się do maniery Krasickiego; wszystkie inne noszą ślady pokrewieństwa z bajkami Trembeckiego, ale je prześcigają niekiedy pod względem formy i humoru, a często pod względem jasności i jednolitości sensu moralnego, bo sens moralny jest najsłabszą stroną w bajkach Trembeckiego.

Ale czy pomiędzy znanemi nam bajkami Mickiewicza znajdują się i te, które pisał w pierwszych latach pobytu w Wilnie, tego powiedzieć nie umiem. Z trzynastu bajek Mickiewicza — bo humorystycznych anegdot *Strzyżono i golono* i *Żona uparta* nie zaliczam do bajek — otóż z trzynastu bajek Mickiewicza siedm nosi na sobie daty, które wszystkie należą do czasów znacznie późniejszych (1829—1832). Jeżeli te daty uznamy za prawdziwe, pozostanie nam tylko sześć takich bajek, któreby mogły sięgać pierwszych czasów wileńskich, a mianowicie: *Dzwon i dzwonki, Rabin i pchła, Żaby i ich króle, Osioł i pies, Chłop i żmija, Pies i wilk.* Ale z tych sześciu

dwie pierwsze, jak już nadmieniłem, nie okazują bynajmniej pokrewieństwa z bajkami Trembeckiego, trzecia zaś taką doskonałością formy się odznacza, że niepododna jej zaliczać, przynajmniej w tej postaci, w jakiej jest znaną, do pierwszych prób poetyckich Adama. Jeżeli więc gdzie mamy szukać pierwszych bajek Mickiewicza, pisanych na wzór Trembeckiego, to między trzema ostatniemi z owych sześciu bajek bez daty. Szczególnie jedna z nich p. t. *Pies i wilk* (podług Lafontaine'a) swojem znacznie słabszem obrobieniem formy zdaje się wskazywać na swój odległy początek [1]). Nawiasem wspomnieć nie zawadzi, że z trzynastu bajek Mickiewicza tylko dwie były drukowane za jego życia, a to w paryskiem zbiorowem wydaniu dzieł poety w r. 1844, to jest wtedy, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie trzynaście były napisane. Dlaczego tak się stało? Domyślam się, że niektórych nie chciał poeta drukować dla politycznych aluzyj, które się w nich zawierały *(Trójka koni, Tchórz na wyborach)*, innych zapewne nie miał w swojej tece.

Ale bajki były zbyt szczupłym zakresem, zbyt chłodną sferą dla rozwijającej się, gorącej fantazyi młodzieńca, aby ją mogły długo zatrzy-

---

[1]) Porówn. objaśnienia do tej bajki w Dziełach Adama Miewicza (wyd. Tow. im. Ad. Mick.) T. I. 1896, str. 285—287.

mywać przy sobie. Drugi z poetów, zalecony uczniowi przez profesora, Piotr Kochanowski, porywał ją i unosił w wysokie sfery rycerskiej poezyi i wzywał ją niejako do zmierzenia sił swoich na wspaniałem polu epopei. A nietylko Piotr Kochanowski, albo raczej Tasso w jego przekładzie, ale plejada wielkich epików, których znał już w owym czasie, mogła go pobudzić do tego. Z uwag Mickiewicza nad *Jagiellonidą* Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, drukowanych w styczniowym zeszycie *Pamiętnika Warszawskiego* 1819 r., a pisanych w r. 1818, wiemy, że oprócz Homera, Wergilego, Tassa, znał już wówczas i studyował Aryosta, także zapewne w przekładzie Kochanowskiego, Kamoensa, Miltona a nawet Bojarda [1]).

Pod skombinowanym wpływem tych epików poeta-student zaczął tworzyć epickie poemata, których urywki, dotąd nie ogłoszone, pozostały

[1]) Orland szalony Piotra Kochanowskiego wydany został przez Jacka Przybylskiego w r. 1797. Tenże Jacek Przybylski wydał własnego tłómaczenia *Luizyadę* (tak przełożył Os Lusiados!) Kamoensa w r. 1790 a *Raj* Mittona w r. 1791. Bojardo, o ile wiem, nie był nigdy tłómaczony na język polski, należy zaś wątpić, aby znał już wówczas Mickiewicz język włoski, przynajmniej w takim stopniu, iżby mógł czytać Bojarda. Może miał o nim wyobrażenie tylko z wykładów uniwersyteckich Capellego, albo też czytał go w jakimś przekładzie francuskim. Może i Milton i Kamoensa czytał w jakimś przekładzie lepszym od okropneg przekładu Jacka Przybylskiego.

w rękach rodziny [1]). Takim był poemat p. t. »Mieszko«, z którego podobno około 500 wierszy pozostało. Treść jego nie jest znana, dwa tylko wiersze doszły do powszechnej wiadomości:

A mieszkał w owym zamku Poraj, rycerz stary,
Co jeszcze za Olgierda gromił ruskie Cary...

z których można wnioskować, że poeta i tutaj chciał uświetnić swój herb, biorąc od niego nazwę jednej z postaci poematu, podobnie jak to uczynił w »Żywili« i w balladzie o zaklętym młodzieńcu, albo w »Grażynie«, gdzie uświetnił przydomek rodowy Rymwid.

Takim jest także poemat p. t. »Kartofla«, znany nam z treści dzięki »Listom z Podróży« Odyńca. Miał on się składać — podług świadectwa Odyńca — z dwu części: jednej, trzymanej w tonie poważnym, drugiej — żartobliwej. »Część heroiczną stanowić w nim miało odkrycie Ameryki, gdzie też najprzód odkryto kartofle; część zaś drugą uprawa i użycie ich u nas, czyli inaczej pod tą niby żartobliwą formą obraz wiejskiego życia obyczajów naszych. Część pierwsza była prawie skończona. Rozpoczynał ją obraz

[1]) Por. Pamiętnik Tow. lit. im. Ad. Mickiewicza 1887, str. 121 (bc. J. Siemieński, Wiadomość o rękopisie poematu Mickiewicza t. »Kartofla«). Wiadomość o »Mieszku«, pochodząca od jednego złonków rodziny poety (p. Ludwika Góreckiego) ogłoszoną była zasie z 25 paźdz. 1892.

wyprawy Kolumba, miotanej burzą na przestrzeni wód nieznajomych, a przywiedzionej do rozpaczy i zwątpienia o skutku, oprócz tylko jego samego. Burzę tę i zwątpienie osady wywołał nie kto inny, jak szatan przewidujący rozszerzenie Chrześciaństwa i dalsze dobre skutki z odkrycia. Wiara i natchnienie niebieskie były światłem i siłą Kolumba w owej walce z szatanem, z burzą i ze współtowarzyszami swoimi. Tymczasem w chwili stanowczej w niebie odbywa się narada: dopuścić, czy jeszcze odroczyć odkrycie nowego świata? Archanioł Michał jest za dopuszczeniem, archanioł Gabryel przeciw. Pierwszy sposobem i stylem Miltonowym przedstawia w długiej mowie wszystkie pożytki, jakie stąd dla ludzkości i dla wiary wynikną; drugi wszystkie zbrodnie Hiszpanów a prześladowania krajowców, mające być zarówno skazą ludzkości i wiary. Szala wyroków się chwieje — i nakoniec staje w równowadze. Wtedy archanioł Michał, jako ostatni argument, rzuca na nią kartoflę. Korzyść z niej dla ludzkości zwycięża nawet opór Gabryela. Odkrycie zdecydowane. Protektor jego spieszy ku wyprawie. Szatan pierzcha, burza ustaje, Ameryka odkryta! Obraz natury kraju i jego mieszkańców na wzór opisania raju u Miltona i nakoniec poznanie kartofli zamykały część heroiczną«. Z drugiej, dodaje Odyniec, były tylko wyjątki; jeden z nich zaczynał się od słów:

O ziemio nowogródzka, kraju mój rodzimy!
O Trembeckiemi godzien uwielbienia rymy! [1])

Jeżeli zestawimy to streszczenie z treścią poematów, które już znał, lub w które się wczytywał w owych czasach Mickiewicz, to *Kartofla* w pierwszej swojej części okaże się najpodobniejszą do *Luzyady* Camoensa. I tu i tam bohaterem jest genialny żeglarz, szukający nowych, nieznanych dotąd dróg morskich, przejęty wielkością swego zadania i odważnie stawiający czoło żywiołom i ludziom. Obaj bohaterowie, i Kolumb i Vasco de Gama, cieszą się protekcyą sił wyższych, obaj też mają groźnych wrogów między temi siłami. Podobnie jak szatan, lękający się rozszerzenia chrześciaństwa, wytęża wszystkie siły, aby powstrzymać Kolumba, tak Bachus w *Luzyadzie,* z innych zresztą pobudek, stara się udaremnić wyprawę portugalskiego bohatera; jeden i drugi wróg wywołują straszliwą burzę dla zagrodzenia drogi odważnym żeglarzom, jeden i drugi ustąpić muszą dzięki wpływowi sił dobroczynnych.

Ale jeżeli w temacie widocznem jest podobieństwo, to w rozwinięciu jego i w duchu poezyi, o ile zmiarkować możemy ze streszczenia, podanego przez Odyńca, między dwoma tymi ematami wielka zachodziła różnica. Sztandarem

[1]) Listy z podróży T. I, str. 354.

powiewającym na epopei Camoensa jest sława narodu; tej myśli nie mógł mieć Mickiewicz, wprowadzając obcego bohatera. W gorącym błękicie *Luzyady* nad światem ludzkich walk i zabiegów unosi się Olimp grecki i kieruje losami ludzi, jak za dobrych czasów Hellady — u Mickiewicza w świecie nadprzyrodzonym walczą z sobą złe i dobre potęgi chrześciańskie. W tym więc względzie poszedł nasz poeta za przykładem Tassa i Miltona.

Ciekawy i obfity komentarz do *Kartofli* znajdujemy w *Uwagach nad Jagiellonidą*. Mówiąc o autorze *Jagiellonidy*, że »dla przyczyn nie bardzo ważnych wszelką dziwność z dzieła swego usunął«, to jest wszelki wpływ bóstwa na losy ludzkie, tak rozwija Mickiewicz swoją teoryą o »machinie« niebieskiej w poezyi. Grecy mieli cudowną mitologią, jakby umyślnie dla poezyi stworzoną. Kiedy chrześcianizm zapanował, »szczęściem dla rozumu, a może dla sztuk pięknych nieszczęściem, ustąpiły prawdzie te czarujące błędy«. Bóstwo chrześciańskie, umysłem ludzkim nieogarnione, nie nadaje się do zmysłowego przedstawienia w poezyi, jako cudowna machina. Do tych dwu machin w wiekach średnich przybyła trzecia, magia, dawno na zachodzie w poemata rycerskie wprowadzona; a i ona dziś przy upadku wiary w nią przydać si

nie może. »Czegóż się więc ma chwycić poeta epiczny? Do jakiej uciec się machiny«?

»Kościół nasz wyznaje i czci świętych, wszyscy ich wpływowi na ludzkie sprawy podług wiary zaprzeczyć nie mogą; co większa, ci święci z ludzi zrodzeni, ludźmi, a w szczególności narodami, miastami i pewnemi opiekujący się towarzystwami, niezapominający nawet upodobanych sobie na ziemi zabaw, kiedy nieraz natchnieniem swojem wspierają mędrców, walczą widomie lub niewidomie przed szeregami swoich współziomków, czego w żywotach świętych doczytać się łatwo. Nie mogłyżby daleko przyzwoiciej te interesujące nas, a przymiotami wyższe istoty miejsca bożków starożytnych w poemacie zastąpić? Dał już tego przykład jeden z największych przeszłego wieku poetów, chociaż w nagannym sposobie, ale zostawił drogę talentom traktowania tego przedmiotu z taką godnością, jakiej poema bohaterskie wymaga«[1])

Oto jest teorya, uzasadniająca wprowadzenie do bohaterskiego poematu świętych: Michała i Gabryela, jako cudownej machiny. Pomiędzy teoryą a poematem ta była tylko chyba nie-

[1]) Autor odpowiedzi na recenzyą *Jagiellonidy* domyśla się, niewymienionym po nazwisku poetą jest Parny, autor osławio-o poematu p. t. *La guerre de dieux anciens et modernes.* wnie dobrze jednak można mniemać, że tym poetą jest sła-iejszy od Parny'ego autor *la Pucelle d'Orléans.*

zgodność, że obaj archaniołowie nie należą do rzędu »świętych, z ludzi zrodzonych«.

Pomysł wprowadzenia świętych, jako machiny epicznej, do epopei, znalazł Mickiewicz u najsławniejszego wówczas z krytyków i estetyków francuskich, La Harpe'a [1]). I w samym wyborze tematu, możnaby dopatrzeć wpływu La Harpe'a, znajdujemy tam bowiem — bezpośrednio po owej teoryi o wprowadzeniu świętych chrześcijańskich jako machiny do epopei — ustęp, w którym La Harpe zaleca poemat na temat odkrycia Nowego świata, jako taki, który otwiera szerokie pole wyobraźni [2]). Zresztą bohaterska

[1]) Mówiąc o Henryadzie Woltera, że machina epiczna słabo jest w niej zbudowana, La Harpe powiada: »Sans doute un sujet moderne n'admettait pas les fables de l'antiquité; mais notre religion est très susceptible d'une éspece du merveilleux, que Voltaire lui-même a jugé praticable... L'intervention des substances célestes, celle des hèros et des saints qui ne sont plus, les bons et les mauvais anges, ces puissances intellectuelles ennemies ou protectrices des habitants du monde physique, et cette puissance première, dont elles ne sont que les instruments, l'Etre éternel, qui voit et conduit tout, voila ce qui doit composer la machine épique (Lycée ou Cours de litterature par I. F. La Harpe 1800. T. XI, str. 66 i 67). Pomiędzy recenzyą a La Harpem ta tylko różnica, że Mickiewicz nie przypuszcza, aby »Istota przedwieczna« sama nadawała się do zmysłowego przedstawienia w poezyi, jako cudowna machina.

[2]) Quelques personnes ont pensé, que ces fictions ne pouvaient pas s'accorder avec la gravité d'un sujet historique et récent. Je crois cette opinion outrée; j'accorderai seulement, que *la*

postać Kolumba i bez zalecenia francuskiego estetyka mogła silnie przemawiać do wyobraźni i uczucia młodego poety, któremu już »spać nie dawał tryumf Milcyada«. Jak głęboko w jego duszy tkwiła cześć dla wielkiego Genueńczyka, świadczą o tem najlepiej »Księgi Pielgrzymstwa«, gdzie Kolumb nazwany jest »ostatnim rycerzem krzyżowym w Europie« i ostatnim, »który przedsięwziął wyprawę dla imienia Bożego, a nie dla siebie«.

Druga część poematu, jeżeli miała co naśladować, to chyba *Georgiki* Wirgiliusza. Jaki miał być stosunek między temi dwiema częściami pod względem wagi — nie wiemy, w każdym razie węzeł pomiędzy niemi był nader watły i całość — gdyby była kiedykolwiek napisaną — grzeszyłaby mocno przeciw zasadzie jedności, o której sam młody poeta powiedział w przytoczonej recenzyi, że bez niej »ani drama, ani epopeja żadnego interesu mieć nie będą«.

Recenzya Mickiewicza była składem pojęć, wyrobionych na ławie uniwersyteckiej pod przewodnictwem Grodka i Borowskiego. Przekonać

---

distance des temps et des lieux, la différence de religion, permettaient au poëte plus ou moins en ce genre. La conquête du Nouveau-Monde, inconnu pendant une longue suite des siècles, ivrirait par exemple un champs plus étendu et plus libre aux tions de toutes éspèces: l'ignorance absolue de ce qui était, étenit la sphère du possible. Tamże str. 68.

się o tem można, porównywając *Uwagi nad Jagiellonidą* z *Uwagami nad poezyą i wymową* Borowskiego. I zarzuty czynione autorowi *Jagiellonidy* po części słuszne, ale często zbyt drobiazgowe, trącące ciasnotą ówczesnych pojęć szkolnych, musiały być do pewnego stopnia echem uwag, które Mickiewicz słyszał z ust swego surowego mistrza przy odczytywaniu mu swoich utworów. Słowem, był on jeszcze w tej fazie, w której poglądom jego na życie i poezyą brakło zupełnie samodzielności, a do której wybornie może się zastosować to, co w kilka lat potem pisał poeta w wierszu do Lelewela:

Skoro zaczniem przezierać, że nie dosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze,
I szkła swojej roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzej i więcej głęboko,
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalazku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.
. . . . . .
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie:
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo niem nauczyciel poił ucho twoje,
Zawżdy część własnej duszy mieszając w napoje.

W dziesięć lat potem żartował sobie Mickiewicz ze swojej recenzyi, tak pisząc o niej w przedmowie do petersburskiego wydania poezyj: »Przed kilkunastu laty, gdym był studentem, drukowałem także w *Pamiętniku Warszawskim* tchnąc

klasycznością recenzyą, przytaczałem obficie list do Pizonów i kurs Laharpa, co dotąd w onej kapitule (recenzentów warszawskich) uchodzi za niepospolitą erudycyą i dostateczną na urząd krytyka kwalifikacyą«.

Recenzya *Jagiellonidy* wywołała odpowiedź, drukowaną także w *Pamiętniku Warszawskim* w lipcowym zeszycie 1819 r. Autor odpowiedzi, zapewne sąsiad i przyjaciel autora *Jagiellonidy*, wziął nadzwyczaj gorąco do serca zarzuty Mickiewicza i żarliwie bronił Tomaszewskiego, przeciwstawiając sądowi nieznanego krytyka »zasłużone pochwały«, otrzymane przez Tomaszewskiego od uniwersytetu wileńskiego, który go mianował swoim członkiem honorowym (1818). Obrońca, jakkolwiek walczył o honor mniej niż miernego utworu, szczęśliwie jednak niekiedy zbijał zarzuty i twierdzenia krytyka, a w końcu taką w tego ostatniego ugodził uwagą: »Łatwiej jest krytykować i ganić, niż pisać, zbyt ostrą krytyką literatura krajowa się nie wzmoże; komu los nie dał złota lub srebra, choćby się znał doskonale na ich cenie i próbie, ani sam nie będzie bogatym, ani drugich takimi nie uczyni«. Było to jakby wyzwanie, rzucone Mickiewiczowi. Czyż mógł wiedzieć gorliwy obrońca *Jagiellonidy*, z jakim uśmiechem potomstwo czytać będzie kiedyś tę jego uwagę!

W tych samych czasach napisał Mickiewicz

dwie powiastki prozą p. t. *Żywila* i *Karylla*. W pierwszej naśladował wiernie, ale nie bardzo szczęśliwie starą polszczyznę, w drugiej zbliżał się pod względem stylu do powiastek Floriana, które znał, jak to wiemy z uwag nad *Jagiellonidą*. Obie drukowane były w *Tygodniku Wileńskim* z r. 1819 (luty i maj) bez imienia autora, i dopiero niedawno ogłoszone zostały przez p. Władysława Mickiewicza, jako utwory ojca. Ponieważ to są utwory bardzo słabe (szczególnie *Karylla*), podniosły się więc głosy powątpiewające o tem, aby *Żywila* i *Karylla* mogły były wyjść z pod pióra Mickiewicza. Jednakże powątpiewanie to o tyle tylko może być uzasadnionem, o ile się odnosi do *Karylli*, bo *Żywila* jest niewątpliwie utworem naszego poety. Świadczą o tem nietylko pewne szczegóły powiastki i duch jej, pokrewny innym utworom poety, ale świadczy o tem wyraźnie pewien ustęp listu Franciszka Malewskiego do sióstr, z Odessy 1824. W liście tym Malewski, prosząc o przysłanie rozmaitych wierszy Mickiewicza, prosi także i o *Żywilę*. »Była w *Tygodniku* kiedyś powieść *Żywila*, proszę o *Tygodnik* albo o przepisanie [1]).

Żywila jest księżniczką nowogródzką, córką księcia Koryata, który skazał ją na śmierć za to, że podczas jego nieobecności »rozmiłowała się

[1]) Korr. III 12.

skrycie Litwina Poraja«, i nie chciała potem wyznać ojcu imienia kochanka. Już był naznaczony dzień stracenia, kiedy Litwin Poraj, dzielny wojownik, chcąc uratować kochankę, uchodzi do ruskiego kniazia Iwana, wiodącego wówczas wojnę z Koryatem, na czele wojsk nieprzyjacielskich uderza na Nowogródek, zdobywa go i uwalnia z więzienia Żywilę. Ta z początku na widok Poraja zemdlała, ale gdy potem otwarła »wdzięczne oce« i dowiedziała się, jakim sposobem kochanek ją uwolnił, wyrwała miecz z pochwy jego i przeszyła nim pierś kochanka, a zagrzawszy Nowogrodzian do walki, wypędziła nieprzyjaciela z miasta.

Nazwisko bohatera tej powiastki pożyczone jest od nazwy herbu Mickiewiczów (Poraj). Miejscem działania jest rodzinne miasto poety. Wreszcie sama postać Żywili jest niejako pierwszym zarysem tego ideału mężnej niewiasty, gotowej poświęcić osobiste szczęście i życie dla dobra i czci narodu, tego ideału, który rozwijając się i kształcąc w duszy poety wcielał się potem w postaci córki Tuhana w balladzie *Świteź*, Grażyny, w końcu rozpłynął się w Aldonie.

Co do *Karylli*, nie wiem skąd p. Władysław Mickiewicz zaczerpnął wiadomość, że jest ona tworem jego ojca, pewne zaś alluzye do stosunku poety z Marylą, jakie w tej powiastce należć można, są nadto słabe, aby na nich mo-

żna coś pewnego budować. Za autorstwem Mickiewicza przemawia wyraźniej tylko nazwa bohaterki, przypominająca brzmieniem swojem imię Karyny, które poeta pierwotnie chciał nadać Grażynie, a także imię Karusi z ballady p. t. »Romantyczność, z którą też Karylla ma i pewne wewnętrzne pokrewieństwo.

Karylla jest także Litwinką, ale skrojoną na wzór romansów pasterskich, które jeszcze wówczas nie wyszły były z mody. Jest to pasterka z nad brzegów Nary, »nędzna gwałtownej miłości ofiara«. Pokochała ona ubogiego pasterza Sario... Umierający jej ojciec zimną już dłonią połączył ręce kochanków, ale bracia jej byli przeciwni temu małżeństwu i podstępnie zwabiwszy Saria na polowanie, zabili go i zagrzebali w lesie. Sario zjawił się jej we śnie i wskazał miejsce, w którem ciało jego zostało zagrzebane. Karylla, odgrzebawszy kochanka, »okropnem obłąkaniem uniesiona« ucięła mu głowę i w wazonie ukryła, a zasypawszy ją ziemią posadziła nad nią młody krzak róży. I tę pociechę bracia jej wydarli, poczem nieszczęsna kochanka zakończyła »krótkie, aż nadto nieszczęśliwe życie« [1]).

[1]) Treść *Karylli* zaczerpniętą została z trzydziestej piątej nowelli *Dekamerona* Boccaccia, w opracowaniu zaś widać wpły powiastki Floriana *Galatée*. Porówn. A. Zipper »*Przypisywa Mickiewiczowi Karylla i źródło jej* (Ateneum 1887) i *Parę si o... Karylli* A. Sienickiego. Pam. Tow. im. Mick. r. 1888.

Miłość, która w tak płomiennych barwach miała niebawem zajaśnieć w poezyi Mickiewicza, wylewa się tu chłodną i ckliwą retoryką. Oto np. jak śpiewa smutna Karylla po stracie swego kochanka:

Smutek i sroga rozpacz przywala mię społem,
Okropność dla mnie wdziękiem, a łzy mym żywiołem i t. d.

Jeżeli tedy *Karylla* jest utworem Mickiewicza, i jeżeli w postaci bohaterki ukrywa się istotnie postać Maryli, to w każdym razie pisząc tę powiastkę, Mickiewicz nie doznawał jeszcze owej głębokiej miłości dla kochanki, która nim potem owładnęła.

Silił się on tu na wyrażenie uczuć, których nie znał, a raczej które znał tylko z książek. Dusza jego drzemała jeszcze, karmiąc się wpływami otaczającej sfery. Fantazya poety czuła popęd twórczy, ale nie znajdowała materyału ani zewnątrz siebie, bo poeta nie znał świata, ani wewnątrz, bo nie doznał jeszcze silniejszych uczuć. Ale niebawem dwa silne uczucia miały zakołatać do jego piersi, i wraz z prądami nowej poezyi wstrząsnąć elektrycznie całem jego jestestwem i rozbudzić drzemiący geniusz, który niemal w jednej chwili z poziomu prób retorycznych wspaniałym lotem wzniósł się do najwyższych uczytów natchnienia. Dwa te uczucia — to miłość koleżeńska i miłość kobiety. Ich dzieje należą do dalszych części tego studyum.

III.

FILARETYZM I ROMANTYZM

1818—1821.

I.

Grono przyjaciół Mickiewicza. — Zawiązanie się towarzystwa Filomatów, ich cele i ustawy. — Wiersz Mickiewicza: »Już się z pogodnych niebios i t. d.«.— Zan i jego teorya promionkowa. — Promieniści i Filareci.

Jak długo przyszłym wiekom świecić będzie sława Mickiewicza, tak długo blask jej nie przestanie złocić imion czterech najpierwszych i najbliższych przyjaciół jego: Zana, Czeczota, Malewskiego i Jeżowskiego. A nie będzie ten zaszczyt jakiemś niezasłużonem, przypadkowem szczęściem, ale i owszem najsłuszniejszą zapłatą za to ciepło braterskich serc, które dusza naszego poety chłonęła w siebie, stając się dzięki jemu zdolną najszlachetniejszych natchnień.

Wszyscy byli prawie w jednym wieku, z wyjątkiem Jeżowskiego, który był starszy od reszty przyjaciół. Większa niż w wieku zachodziła różnica pomiędzy przyjaciółmi w obranych przez ich zawodach. Jeżowski studyował filozofią i klasyczną filologią, Czeczot i Malewski byli z za-

wodu prawnikami, Zan uprawiał nauki przyrodnicze i matematyczne; gdyby jeszcze był medyk między nimi, wszystkie wydziały znalazłyby swoich przedstawicieli w tem szczupłem gronie. Ta rozmaitość zajęć naukowych przy ciągłej łączności kolegów i wzajemnem udzielaniu sobie nabywanej wiedzy, wywierała szczęśliwy wpływ na młodych przyjaciół, pozwalając ich umysłom wyrabiać sobie wszechstronny pogląd naukowy na świat i jego sprawy.

Ale większą od zajęć naukowych była w tem gronie rozmaitość temperamentów, usposobień, charakterów. Każdy niemal z pięciu młodzieńców był odrębnym typem, wszyscy razem wybornie się uzupełniali i tworzyli dobraną harmonią. Najstarszy, Józef Jeżowski (rodem z Ukrainy, z okolic Humania) celował spokojem, chłodnym sądem, ścisłą logicznością myśli i wyrażenia. Zawsze poważny, zimny, blady, mówił spokojnie, nie unosząc się nigdy. Często zadumany, lubił samotność i nie wdawał się w żwawe sprzeczki, rozprawy i żarty, które stanowiły jakoby zdawkową monetę przy wymianie zdań w gronie młodzieży. Surowy dla siebie, powiada Ignacy Domejko, od którego głównie czerpię tę charakterystykę, był pobłażającym dla innych; w filozofii trzymał się Kanta, ale przekonań swoich nikomu nie narzucał.

Wręcz odmiennem usposobieniem odznacza

się Jan Czeczot, kolega Mickiewicza ze szkół nowogrodzkich. Żywy, tkliwy, wątłej organizacyi, łatwo się dawał powodować chwilowemu uczuciu i łatwo przechodził z oburzenia w rozczulenie, z wesołości we frasobliwość i odwrotnie. Była to dusza śpiewna, czuła, wylana dla drugich, ale zbytek wrażliwości nie pozwalał jej nigdy utrzymać się w równowadze, to też dobry, zacny Czeczot aż do końca życia nie znalazł wewnętrznego spokoju. Gotowy do wszelkich usług i poświęceń dla drugich, lubił roztaczać opiekę nad kolegami, szczególnie młodszymi i nadawać im kierunek moralny, ale im kogo bardziej kochał, tem bardziej wymagający był względem niego, tem bardziej raziły go w osobie kochanej najmniejsze nawet usterki. Z tego powodu gderał często na tych, których najbardziej kochał, a próbki tego zrzędzenia znajdujemy w korespondencyi Mickiewicza. Wnosił on pierwiastek ludowy do grona przyjaciół Adama. Pobożność jego miała w sobie coś sielskiego, kochał lud, lubował się jego pieśniami, które potem zbierał i wydawał, sam tworzył pieśni na wzór ludowych i umiał im nadać naiwność i wonność poezyi ludowej.

Jak Czeczot odróżniał się niezwykłą uczuciowością i ludowością, tak znowu Franciszka Malewskiego cechowała światowość i praktyczność. Syn wczesnego rektora, Szymona Malewskiego, mło-

dzieniec gładki i przystojny, polityk, jak go nazywa Domejko, bywając w wyższych towarzystwach nabrał poloru, a zawsze pełen dobrego humoru, który ożywiał jego twarz przyjemną, był miłym towarzyszem. Był też lubownikiem i znawcą sztuk pięknych, a w domu jego, otwartym dla kolegów, grono naszych przyjaciół znajdowało obok szkoły towarzyskiego życia i prawdziwe zadowolenie estetyczne, bo z dwóch sióstr Franciszka młodsza, Zofia, z kapryśną naturą, pięknością i dowcipem łączyła niepospolity talent muzyczny, pięknie grała i śpiewała. Jej to wdzięki podbiły serce Czeczota, który wzdychał do niej platonicznie.

Tomasz Zan miał wyjątkową naturę, jaka się rzadko ludziom w darze od niebios dostaje. Była to dusza dziwnie harmonijna i pogodna. Łączył on w sobie i kojarzył w doskonałej harmonii wszystkie niemal przymioty swoich przyjaciół: spokój i rozwagę Jeżowskiego, uczuciowość Czeczota, wesołość i towarzyskość Malewskiego. Z twarzy jego promieniała owa serdeczność i dobra wola, które mu serca wszystkich odrazu podbijały, a świadczyły wymownie o szlachetności, pogodzie i czystości jego duszy. Odyniec w swoich *Wspomnieniach z przeszłości* opowiada, że kiedy w r. 1820 przedstawiano go po raz pierwszy Zanowi, jeszcze jako ucznia szkół bo ruńskich, Arcy (taki miał przydomek Zan w gro

nie młodzieży) wyciągnął ku niemu rękę z takim uśmiechem i spojrzeniem, że Odyniec pewnoby ją pocałował, jak księdza prefekta, gdyby się spektatorów nie wstydził.

Pamiętniki Zana z owych czasów, gdyby się kiedykolwiek znalazły, byłyby nieocenionym skarbem, nietylko dlatego, że przyniosłyby zapewne dużo nieznanych szczegółów z pierwszych lat pobytu Mickiewicza w Wilnie, że wtajemniczyłyby lepiej niż wszelkie inne świadectwa w początkowe dzieje tajemnych związków młodzieży wileńskiej, ale może najbardziej dlatego, że odsłoniłyby nam w całej pełni dzieje rozwoju tej męskiej, bohaterskiej, a tak dziewiczej i poetycznej zarazem duszy.

Ojciec Zana, niezamożny, obarczony liczną rodziną, znajdował podporę w »rozumniejszym i dostojniejszym« od siebie bracie, księdzu kanoniku Zanie, proboszczu w Połoneczce, który to właśnie opiekując się Tomaszem, polecił go był znajomemu sobie Kontrymowi. Matkę swoją, którą wcześnie utracił, nazywa Tomasz w jednym z listów »niezapomnianą«; ona to prawdopodobnie pierwsza rzuciła weń te nasiona szlachetnych uczuć, które przy zdrowej i silnej organizacyi fizycznej tak harmonijnie się w nim rozwinęły. Z krótkiego opisu młodości Zana, podanego przez żyjącą do dziś jego żonę, wiemy, że przez dłuższy czas w dzieciństwie przebywał w domu ro-

dziców matki, Dylewskich, gdzie »otaczały go codziennie wzory cichej i czynnej pobożności, wspólne modlitwy, śpiewania święte i odmawiania różańca«. Już w szkołach w Mołodecznie ćwiczył się w roli, którą miał później odegrać w Wilnie, bo już tam był przewodnikiem w zabawach i poważnych zajęciach nie tylko dla swych młodszych braci, ale i dla wszystkich wogóle kolegów szkolnych [1]). Do dalszego rozwoju umysłowego młodzieńca przyczynić się musiał niemało Kontrym, który jak wiemy, lubił utrzymywać stosunki z młodzieżą i budzić ją do pracy, a u którego Zan z początku mieszkał, jako korepetytor jego synowca. Od Kontryma, t. j. za jego poleceniem otrzymywał różne korepetycye, wreszcie został nauczycielem matematyki i fizyki w pensyonacie panieńskiem pani Dejbel, jednym z najznakomitszych wówczas zakładów wychowawczych żeńskich w Wilnie. Sława jego nauczycielska tak prędko się rozeszła, że zewsząd wzywano go do dawania lekcyi. Zan nie mogąc nastarczyć licznym wezwaniom, polecał na swoje miejsce potrzebujących kolegów. Później kiedy zamieszkał osobno, oddawano mu zupełnie pod jego kierunek i opiekę niewiele młodszych od niego uczniów, jak to uczynił pan

[1]) Żywot i korespondencye Tomasza Zana. Kraków 186 str. VIII—IX.

Jan ze Swisłoczy (Chodźko), który zostawszy potem wizytatorem szkół okręgu wileńskiego, mianował Tomasza swoim sekretarzem.

Mickiewicz oskrzydlał całe to grono swoich przyjaciół genialną fantazyą, jakiej brakło tamtym. Był on jakby kapłanem tego grona, ślącym w imieniu jego wonne kadzidła ku niebu, to też oprócz przyjaźni odbierał jakby kapłańską cześć od swoich przyjaciół i od wszystkiej młodzieży, która się około tego grona później zgrupowała. »On pisał pieśni dla nas, powiada Domejko, jego tylko pieśni śpiewano, a temi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha między młodzieżą« [1]).

Nie trzeba jednak sobie wyobrażać, że to kapłaństwo czyniło go ciągle skupionym w duchu, milczącym i goniącym za samotnością. Właśnie w gronie przyjaciół swoich, szczególnie kiedy znajdował się w towarzystwie Zana, Czeczota i Malewskiego, ożywiał się, był wesół i »dziwnie przyjemny«.

Początkowe dzieje przyjaźni tego grona mniej są znane od następnych jej kolei. Jak się poznał Mickiewicz z Zanem, to już wiemy; z Czeczotem znał się jeszcze ze szkół nowogrodzkich. Przez tych dwóch prawdopodobnie poznał się z Malewskim i Jeżowskim. Mickiewicz, Zan i Malew-

i w pierwszych latach studenckich mieszkali

[1]) Filareci i Filomaci, str. 3.

pod jednym dachem w murach świętojańskich: Mickiewicz u swego stryja, Zan u Kontryma, Malewski w mieszkaniu swego ojca rektora. Mieszkając tak blisko siebie, mogli się tem częściej odwiedzać, tem lepiej poznawać i cenić, tem prędzej zawiązać przyjaźń. Na zgromadzeniach koleżeńskich, w których i inni koledzy brali udział, rozprawiano o chemii, algebrze, pandektach, Homerze i Horacyuszu; jednem słowem o tem wszystkiem, czem z katedry zajmowano ich uwagę, prócz tego odczytywano głośne swoje wiersze, bo nietylko Mickiewicz w tem gronie pisywał wiersze, ale także Zan i Czeczot. Musiano tam rozmawiać także i o innych rzeczach, o tem, co zajmowało wówczas wszystkie umysły w Wilnie, o towarzystwie Szubrawców i ich reformatorskich dążeniach, a stąd o potrzebie doskonalenia siebie i wywierania wpływu moralnego na kolegów, co wiedli próżniacze, bezcelowe życie. Wreszcie wśród takich rozmów, zarysował się przed młodymi przyjaciołmi i ów cel najwyższy, do którego dążyli potem — odrodzenie moralne narodu przez szerzenie oświaty i krzewienie miłości kraju i braterstwa w sercach młodzieży i urodziła się myśl zawiązania tajemnego towarzystwa Filomatów.

Towarzystwo młodzieży uniwersyteckiej pc tem nazwiskiem istniało, jak wiemy, w czasac kiedy Lelewel był studentem, ale nie było t

jemnem, i owszem pragnęło zapewne jak największego rozgłosu, gdy ozdabiało się największymi luminarzami nauki. Dlaczego nowe towarzystwo Filomatów tak głęboką otoczyło się tajemnicą? Przyczyny tego mogły być wielorakie. Naprzód różniło się nowe towarzystwo filomatyczne od dawnego w celu i zadaniu swojem. Dawne chciało tylko naśladować poważne towarzystwa uczone, chodziło tam tylko o wzajemne udzielanie sobie prac naukowych; nowe obok wzajemnego doskonalenia się w wiedzy miało na celu wzajemne doskonalenie się pod względem moralnym i wpływ moralny na kolegów. Otóż do skutecznego wywierania tego wpływu mogła się wydawać potrzebną tajemnica, któraby osłaniała uorganizowane źródło jego od żartów i szyderstw inaczej myślących kolegów. Powtóre starszyzna u iwersytecka była, jak się zdaje, niechętną dla dawnych Filomatów, wychodząc z tego przekonania, że młodzież nie powinna się bawić w uczonych; nowi zatem Filomaci mogli się i dla siebie podobnej obawiać niechęci. Czy i wobec rządu w pierwszej chwili zawiązania się towarzystwa wydawała się potrzebną tajemnica? na to nie umiem odpowiedzieć. Prawda, że najwyższym celem, ku któremu dążali Filomaci, było odrodzenie moralne społeczeństwa polskiego, a to jak się rzekło przez erzenie oświaty, miłości dla narodu i brater-

stwa w kołach młodzieży, ale z drugiej strony należy pamiętać, że jeszcze wówczas nie był widocznym ów zwrot w wewnętrznej polityce rządowej, który tak prędko potem miał się objawić, a tak dla Filomatów, jak dla Szubrawców, masonów i innych podobnych stowarzyszeń okazał się nieprzychylnym. Zresztą Filomaci, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo z tej strony, wyraźnie zastrzegli w pierwszym artykule swoich ustaw, że się nie będą zajmować polityką [1]).

Zawiązanie się towarzystwa Filomatów łączą zwykle z ruchem młodzieży, który się objawił w całej Europie, szczególnie w Niemczech i we Włoszech, w początkach ponapoleońskiej reakcyi. Zdaje mi się jednak, że jest tu tylko przypadkowa jednoczesność, i że wewnętrznej, przyczynowej łączności nie było. Czemże były n. p. w Niemczech ówczesne tajemne związki młodzieży? Były one owocem zawiedzionych nadziei, które rozbudziła w Niemczech zwycięska wojna ze straszliwym wrogiem, mianym dotąd za niezwyciężonego, były protestem przeciwko reakcyi, która zamiast spodziewanej wolności, zalegała czarną chmurą horyzont tych nadziei. Mogłoż być takiem samem źródło filomatycznego związku? Prawda, nadzieje Polaków były także zawiedzione, ale ten, który je zawiódł, siedzi

[1]) Ign. Domejko. Filareci i Filomaci, str. 7.

samotnym więźniem na skale św. Heleny, nie było więc przeciw komu protestować, od kongresu zaś wiedeńskiego czyż można się było naprawdę wielkich rzeczy spodziewać? Zresztą i z zawodem tym wogóle łatwo się pogodzono, wyjąwszy tych, co olśnieni gloryą napoleońską, po jej zniknięciu czuli się otoczonymi nieprzebitą nocą, ale takich można było znaleźć między starszymi, nie między ówczesną młodzieżą uniwersytecką. Nadzieje wszystkich zwracały się na cesarza Aleksandra I, którego łączyła ścisła, niczem jeszcze niezakłócona przyjaźń z księciem Czartoryskim; wielbiono jego dobre chęci dla Polaków, i bardzo się wiele jeszcze po nich spodziewano. Reakcya, jak już powiedziałem, jeszcze się była nie objawiła, chociaż była tak bliską!

Sądzę zatem, że nie w stosunkach politycznych chwili należy szukać źródła Filomatów; nie ma też śladu, aby obce jakieś zagraniczne stowarzyszenia mogły służyć za wzór dla nich. Znajdzie się bez wątpienia wiele wspólnych rysów pomiędzy Filomatami, Filaretami i Promienistymi z jednej strony a studenckiemi stowarzyszeniami niemieckiemi z pierwszej ćwierci tego wieku, a nawet i z dawniejszymi, jak n. p. kienek narodowy i religijny, puryzm obyczajowy, ograniczona ufność we własne siły i t. p., wspólność ta jednak niekoniecznie ma być dowodem

bezpośredniego oddziaływania niemieckich stowarzyszeń na związki wileńskie. Jeden tylko szczegół zdaje się wskazywać wyraźnie na bezpośrednie oddziaływanie: oto hasła, powtarzające się w piosnce, którą śpiewano na pierwszej majówce Promienistych: »ojczyzna, nauka, cnota« są jakby wyjętemi z »Bundesmatrikel«, którą Karol Ludwik Sand ułożył dla niemieckiego burszenszaftu, gdzie one tylko ustawione są inaczej (Tugend, Wissenschaft, Vaterland [1]). Gdybyśmy wreszcie przypuścili istnienie wpływu bezpośredniego, to nie widzimy drogi, którąby on mógł dosięgnąć ówczesnej młodzieży wileńskiej. Ze wszystkich ówczesnych profesorów wileńskich jeden tylko Onacewicz mógłby był przeszczepić na grunt litewski idee i formy stowarzyszeń niemieckich i to nie burszenszaftów, ale dawniejszego od nich *Tugendbundu*, który kwitł w Królewcu w czasach, kiedy Onacewicz był tam studentem, a którego nazwa znaczy prawie to samo, co związek Filaretów; — ale w żadnem wspomnieniu z czasów filareckich nie możemy się doczytać, aby Onacewicz w ściślejszych zostawał stosunkach z młodzieżą i jakikolwiek wpływ wywierał na nią. Grunt dla założenia towarzystwa przygotowany był po części przez masonów wi-

[1]) J. Scherr. Deutsche Kultur und Sittengeschichte 187; str. 532.

leńskich, po części przez Szubrawców. Do klubu tych ostatnich, jak wiemy, droga dla młodzieży wyjątkowo tylko była otwartą, działając więc pobudzająco na młodzież uniwersytecką, nie mógł on pochłonąć w sobie zbudzonego w niej ruchu. Ale jeżeli łatwo zrozumieć, w jaki sposób przygotowany był grunt pod założenie towarzystwa, trudniej odgadnąć, skąd ziarno na ten grunt padło, skąd przyszło natchnienie, które ten a nie inny cel wytknęło stowarzyszonym.

Wiem dobrze, jak droga przypuszczeń jest pełną zmierzchu, wśród którego łatwo zbłądzić i daleko odjechać od prawdy, nie mogę jednak pominąć tu przypuszczenia, które zrodziło się we mnie przy rozważaniu, skąd przyszło natchnienie młodym przyjaciołom Mickiewicza do utworzenia związku, co tak wielki wpływ wywarł na młodzież ówczesną i tak się ściśle skojarzył z poezyą naszego poety.

Wiemy jak bliski stosunek łączył Kontryma z głównym organizatorem Filomatów, Zanem, i jakim Kontrym był agitatorem, jak budził do pracy i oświaty młodzież, do której umiał się naginać. Kościuszkowski żołnierz w rozmowach swoich z przyszłem gronem Filomatów musiał nieraz mówić o politycznym upadku narodu i o wewnętrznych przyczynach jego. Słowa jego padały na rolę bujną i ciepłą i były zapewne tem ziarnem, z którego zaczęły kiełkować szlachetne

pragnienia w sercach młodzieży. Nadeszła nareszcie okoliczność, która była deszczem wiosennym dla tego ziarna. Dnia 15 października 1817 roku umarł w Solurze Kościuszko, a w kilka tygodni potem rozpoczęły się w Wilnie żałobne obchody na cześć tego bohatera, obchody, w których, jak wiemy, całe miasto, wszystkie stany i wyznania brały gorący udział. Ta wspaniała manifestacya ducha narodowego, o której Lelewel pisał »przykładu takiego nie było na świecie, w Polsce poraz pierwszy się jawi«, jeżeli nawet Lelewela, w Medach i Persach zagrzebanego, tak silnie elektryzowała, jakże potężnie musiała oddziałać na serca przyjaciół naszego poety i jego własne? Byłże to przypadkowy zbieg wydarzeń, że właśnie w tym czasie zawiązuje się towarzystwo Filomatów? Nie, wolę raczej przypuścić, że to śmierć Kościuszki, która takie echo żalu i czci zbudziła w sercach Litwinów, natchnęła młodych przyjaciół gorącą chęcią połączenia słabych sił dla wysokiego celu odrodzenia narodu, celu, którego szlachetne usiłowania bohatera na innej drodze dopiąć nie mogły.

Wprawdzie Ignacy Zdanowicz w Pamiętniku o Filomatach i Filaretach, spisanym z ust Kazimierza Piaseckiego świadka i uczestnika tych związków[1]), podaje dzień 1go października 181-

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot Adama Mickiewicza. T. I, str. 3

roku, jako datę założenia filomatycznego związku, a zatem według tej daty zawiązanie się Filomatów wyprzedziłoby o parę miesięcy żałobne objawy czci dla Kościuszki w Wilnie i przypuszczenie moje przynajmniej w części byłoby mylne. Jednakże daty tej nie można przyjąć za pewną, już choćby dla tego, że w Pamiętniku jest wiele innych dat błędnych [1]). Ważnem jest świadectwo samego Mickiewicza, złożone przed komisyą śledczą 1824 r.: »Początek Towarzystwa naznaczyć można około końca roku 1817, lubo porządniejszy jego układ nieprędko nastąpił« [2]), ale w słowach »około końca roku« można widzieć i to i owo: i potwierdzenie daty podanej przez Zdanowicza i jej przesunięcie na czas nieco późniejszy. Zresztą, gdyby nawet uznać datę 1 października za prawdziwą, to nasuwa się jeszcze następujące przypuszczenie. Być może, że pierwszą pobudką do zawiązania Towarzystwa Filo-

---

[1]) Tak n. p. na stronie 8 Pamiętnika czytamy: »Liczniejszą ona (młodzież) była w uniwersytecie niż kiedy, i w chwili gdy Jan Śniadecki (1816 r.) po ośmioletniem urzędowaniu składał rektorstwo w ręce... Lobenweina, rachowano już w uniwersytecie około tysiąca studentów«. W tym ustępie są aż dwie błędne cyfry: Śniadecki składał rektorstwo nie 1816 ale 1815 r., liczba studentów w owym czasie wynosiła nie około tysiąca, ale prawie ołowę mniej. Na str. 18 data ukazu cesarskiego także mylnie ana, i t. p.

[2]) Wł. Mickiewicz. Żywot A. Mickiewicza. T. I, XXXV.

matów była tradycya o towarzystwie, które przed kilku laty istniało w Wilnie pod takąż nazwą; być może, że i nowe towarzystwo z początku miało tak jak dawne, wyłącznie naukę na celu; ale następnie pod wpływem wrażeń, jakich dostarczyły uroczystości Kościuszkowskie, rozszerzyło zakres pierwotnego zadania, do hasła nauki dodało hasło cnoty (t. j. czystości obyczajów i braterstwa) i hasło miłości ojczyzny. Zresztą, że ostateczny program towarzystwa nie odrazu dojrzał, świadczy o tem wiersz Mickiewicza »Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna«, który jest właśnie poetycznym programem Filomatów a nosi wyraźną datę 14 września 1818 r. Z wiersza tego widać, że towarzystwo niedawno musiało być zawiązanem, skoro poeta odzywa się tu do przyjaciół swoich: »Wy, *przyszła* towarzystwa podporo i chlubo«.

Zawiązując się w towarzystwo, pięciu młodych przyjaciół wezwało do uczestnictwa w niem dwóch innych jeszcze kolegów: Łozińskiego, zwanego w gronie kolegów Szerokiem z powodu szerokiej twarzy i barczystości, i Onufrego Pietraszkiewicza, *vulgo* Nufra. Dwaj ci nowi przyjaciele ustępowali pod względem inteligencyi i zapewne pod względem wykształcenia pięciu innym, ale wnosili z sobą serca niemniej gorące od innych. Łoziński, rodem z Wołynia, wychowaniec krzemienieckiej szkoły miał w sobie na

mniej ze wszystkich marzycielskiego pierwiastku. »Przekładał, powiada o nim Domejko, nad zbyteczne uniesienia dobry byt, niezależność: nie oddawał się żadnej gałęzi nauk, ale był dobrze obeznany tak z literaturą, jakoteż z naukami przyrodniczemi i matematyką... Zawsze w dobrym humorze, umiał skarbić przyjaciół i miał przewagę między młodzieżą«. Onufry Pietraszkiewicz był jeszcze rubaszniejszym od Łozińskiego a przytem najruchliwszym i najzapaleńszym z całego grona. On był roboczą siłą towarzystwą, dźwigał na sobie całą materyalną pracę jego, pełniąc funkcye sekretarza, archiwisty, skarbnika i mistrza ceremonii przy małych ucztach koleżeńskich, których urządzaniem zajmował się. »Jedynym jego żywiołem i warunkiem bytu była narodowość, dobro kraju, przeszłość i przyszłość Polski. On tylko jeden nosił wąs zawiesisty na pamiątkę Sobieskich, Pułaskich i lubił śpiewać: »Ozdobo twarzy pokrętne wąsy« [1]).

Prezesem towarzystwa był Jeżowski; z wieku mu i z poważnego usposobienia ten urząd się należał. Ustawy były krótkie. Opłata wnoszona przez członków nie przenosiła dwóch złotych na miesiąc. »Na posiedzeniach czytano literackie prace i naukowe rozprawy, w których przedeszystkiem przestrzegano czystości języka, a przed-

[1]) Filareci i Filomaci, str. 5.

miotem ustnych narad miało być wyłącznie obmyślanie środków dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niej narodowego ducha, tak, aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziej cnotę i uczciwość obywatelską, niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami towarzystwa zalecano przedewszystkiem szczerość i wzajemną pomoc«. Posiedzenia odbywały się co dwa tygodnie, a w razie potrzeby częściej, ale zawsze w tajemnicy. W przybieraniu nowych członków, zachowywano wielką ostrożność. »Wyznaczano osobnych komisarzy dla śledzenia i poznawania kandydatów i nie pierwej wyjawiano nawet już wybranym na członków byt towarzystwa, aż się zupełnie przekonano, że nowo wybrany zgadzał się całkiem na zasady przyjęte w organizacyi tego towarzystwa. Pospolicie używano do tego następującej filuteryi: dwóch czy trzech członków wyznaczonych do poznania kandydata, proponowało mu założenie towarzystwa, układało z nim statuta i całą organizacyą, odpowiednią tej, jaka była przyjętą u Filomatów, i kiedy cała ta robota udana, której on sądził się być współautorem, była ukończona, wprowadzano go na posiedzenie, oświadczając, że t- czego chciał, już egzystuje od dawnego czasu

Tak nam opowiada organizacyą towarzystv

niedawno zmarły Filomata, Ignacy Domejko, który wprawdzie nie należał do pierwszych założycieli towarzystwa, niebawem jednak został do niego przyjęty. Mickiewicz we wspomnianych już zeznaniach przed komisyą śledczą kładł główny nacisk na zajęcia naukowe Filomatów. Dowiadujemy się stamtąd, że on sam czytał na posiedzeniach koleżeńskich swoje rozprawy estetyczne: *O piękności* i *O górności*, Józef Jeżowski *O tragikach greckich* i *O oryginalności w pismach*, Franciszek Malewski tłómaczenie jakiegoś poematu Boileau. Ale i w tych zeznaniach nie było stanowczego wypierania się narodowego kierunku, i Mickiewicz odpowiadając na pytanie: »czy się zawierała (w czytanych mowach) próżność myśli waszych o szczęściu zgasłej już ojczyzny«, przyznawał, iż miano zamiar wydawać dziełka elementarne dla poprawienia metody nauczania w niektórych gałęziach nauk, i że starano się »o zachowanie w czystości mowy ojczystej i obyczajów narodowych przez poznawanie i wypracowanie dziejów ojczystych i kształcenie poezyi narodowej, do czego wszystkiego ogłoszenie naówczas Królestwa Polskiego zachęcający dawało popęd« [1]).

Z powodu nadzwyczajnej ostrożności, jaką y rozszerzeniu towarzystwa zachowywano,

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot A. Mick. T. I, XXXVI.

w przeciągu dwóch pierwszych lat jego istnienia przyjęto oprócz Domejki zaledwie sześciu nowych członków. Byli to mianowicie: Jan Sobolewski, jeden z tych, któremu poświęconą jest trzecia część *Dziadów*, wcześnie zmarły na wygnaniu; Józef Kowalewski, sławny potem filolog, »najulubieńszy uczeń Grodka, pracowity, cichy, lubiony od młodzieży«; Maryan Piasecki [1]), adwokat; matematyk Budrewicz, »kochany oryginał«, od którego imienia pochodzi nazwa ballady *Trzech Budrysów;* ksiądz Chlewiński, sprawujący służbę parafialną przy kościele świętojańskim a potem proboszcz w Nowogrodzkiem; mniej znany od innych Kozakiewicz i podobno jakiś Białostoczanin, którego nazwiska Domejko nie pamięta, wie tylko, że jeszcze przed 1830 rokiem umarł na Syberyi, jako wygnaniec.

Jaką rolę odegrał Mickiewicz w organizowaniu i rozszerzaniu towarzystwa? Głównym organizatorem nie był, to pewna, rolę tę wszyscy zgodnie przyznają Zanowi. Nie miał też jak inni jego współtowarzysze zdolności agitatorskich, łatwości zawiązywania stosunków, której mu zawsze brakło. Nie brał nawet udziału w pisaniu ustaw; »ale się radzono go w rzeczach kierunku, zasad i celów, i słuchano go, bo jego sokole oko

---

[1]) Mickiewicz w cytowanem zeznaniu nie wszystkich wymieni a zamiast Maryana podaje Kazimierza Piaseckiego.

widziało dobrze i daleko«. Pragnienia, chęci, zamiary i plany kolegów, przechodząc przez duszę młodego poety, nabierały jasności i górności, i krystalizowały się w poezyi, która z kolei namaszczała i krzepiła usiłowania kolegów.

Odzwierciedleniem pierwszego zawiązku Filomatów, ich zasad i planów, jest wspomniany już wiersz Mickiewicza: »Już się z pogodnych niebios etc.« (14 września 1818). Wiersz ten, w którym młody poeta jeszcze się nie zdołał wyplątać z ciężkiej klasycznej formy, wymownie świadczy, że już wtedy młodzi związkowi zdawali sobie sprawę z doniosłości swoich zamiarów. Z emfazą porównywa Mickiewicz przedsięwzięcie towarzyszy do wyprawy Argonautów, a wzywając do naśladowania świetnego przykładu bohaterów greckich, tak o tem przedsięwzięciu się odzywa:

Gdy nowe tworzym gmachy na nowej posadzie,
Gdy nasz trud również wielki, cel równie szlachetny...

a nieco niżej:

Lecz gdy ku wielkim sprawom pole się odkrywa i t. d.

Że to nie była tylko zwykła retoryczna przesada, zdają się poświadczać dwa dalsze wiersze:

Oby kiedyś świat cały zgodnie wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.

Tak więc nietylko odrodzenie własnego narodu, ale i odrodzenie całego świata miało spocząć na młodych barkach. Prócz zasad i celów wyraziły się w tym wierszu nawet sposoby działania: owa ostrożność w przyjmowaniu nowych członków, o której była mowa, znajduje tu obszerne uzasadnienie:

Ale z takich początków wniósłby chyba tępy,
Że trzeba wszystkim wolne robić do nas wstępy;
Bo niedługo postoi gmach wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głazy.
I nam jeśli nie miło pracę podjąć marną,
Sprawmy, niechaj się tylko godni do nas garną.
Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły.

Albowiem

choć liczne pragnących stawią się orszaki,
Niejedna wszystkich żądza, zamiar niejednaki;
A gdy chytrej obłudy zdejmiemy z nich płaszcze,
Nie pod jednem się runem wilcze znajdą paszcze.
Ten się mądrością rządzi, ślepą dumą drugi,
Co w licznych towarzyszach chce mieć liczne sługi,
A niech się im wykrętne nadadzą manowce,
Srodzy wraz z przyjaciela będą prześladowce.
Inny, by krótką chętkę lub ciekawość sycić,
Za najtrudniejsze sprawy nie waha się chwycić,
Ale jak go dziecinna uwiodła łakotka,
Dziecinna zrazi trudność, którą pierwszą spotka.

Naturalnie, przemawia tu głos raczej cudzeg niż własnego poety doświadczenią. W ogó

chłód wieje z tego wiersza, z pod ciężkiej szaty retorycznej nigdzie tu jeszcze nie strzela szczery blask zapału. Mickiewicz i potem używał czasem klasycznej formy wiersza n. p. w *Warcabach*, w wierszu *Do Lelewela*, ale w tych utworach wybierał on ją sobie, jako najstosowniejszą, i panował nad nią; tutaj zaś był jeszcze jej niewolnikiem.

Działanie na zewnątrz, na kolegów, rozpoczęło się zaraz, ale nadzwyczaj powoli i ostrożnie. Wiemy jak butną i próżniaczą była po większej części ówczesna młodzież uniwersytecka: zbyt natarczywe działanie mogłoby ją tylko zniechęcić i może w śmiech podać reformatorów. Działano więc z początku na pojedyńczych kolegów, na swoich znajomych, nie występując jeszcze z projektami ustaw; propagandę w obranym kierunku prowadzono w koleżeńskich pogadankach. Najlepiej to umiał robić Tomasz Zan i najliczniejsze miał grono znajomych. Mieszkał on już wówczas, w r. 1818/19, nie u Kontryma, ale we własnem mieszkaniu, w domu Kukiewicza, i miał przy sobie oprócz dwóch braci, Ignacego i Stefana, innych jeszcze uczniów, oddanych sobie w opiekę. Dlatego mieszkanie jego było obszerne i dlatego dużo się zwykle gromadziło niem kolegów. Dobry humor, uprzejmość, zerość Zana zjednywały mu łatwo serca tych

kolegów i torowały słowom jego drogę do ich przekonania.

To co się podawało tutaj młodzieży dorywczo, w ustnej pogadance, w rok czy półtora roku potem, ułożone zostało systematycznie w prawidła (Piętnaście prawideł dla młodzi należącej do zgromadzenia przyjaciół pożytecznej zabawy). Z tych prawideł możemy powziąć dokładniejsze wyobrażenie o zasadach, któremi Zan i inni Filomaci byli przejęci i które starali się wpajać w swoich kolegów w owych pogadankach. Dlatego przytoczę tu ważniejsze ustępy z tego regulaminu moralnego:

2. »Chcesz posiadać naukę? Popracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości. Gdy zaś poznasz, czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć, i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia twego umysłu«.

3. »Staraj się nabywać nauki z gruntownością stosowną do sił twoich i powołania. W tym zamiarze ułóż sobie plan doskonalenia się twojego, abyś wiedział, gdzie jest początek, gdzie środek, gdzie granice twojej nauki. Bez takiego planu nie nadasz pracy twojej porządku, tak nieuchronnie w całem życiu potrzebnego, b porządku nie nabędziesz w nauce gruntownośc

a bez tej bądź przekonany, że nauka twoja może stać się szkodliwą«.

4. »Nie nazywaj nauką wiadomości usłyszanych z ust obcych albo wyczytanych z książki, lecz staraj się nadto sam nad wszystkiem, co widzisz, słyszysz, pojmujesz, ciekawie i rozumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabyte wiadomości przerabiały się w istotny pożytek i własność twego umysłu...«

5. »Nie uwielbiaj rodzaju twojej nauki lub powołania nad inne rodzaje powołania i nauki, ponieważ każda w sobie uważana jest równie użyteczną, potrzebną i godną człowieka...«

6. »Im skromniejszym coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, zdaniach, opiniach, tem większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody...«

7. »Chcesz być cnotliwym? Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, abyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca«.

11. »Troskliwość o samego siebie zakładaj tem, ażebyś wszelkiemi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał czerstwość

i zdrowie, chroniąc się stale gnuśności i rozpusty«.

Naturalnie, że to co tu wyrażone było w katechizmowy sposób, w pogadankach wolne było zupełnie od kaznodziejskiego tonu. Mistrzem Zana w propagandzie szlachetnych pojęć był autor *Tristrama Shandy,* Wawrzyniec Stern, którego sposób pisania, żartobliwy i czuły zarazem, Zan bardzo lubił, i który, jak się zdaje, wielki wpływ wywierał na młodą duszę jego. Od niego to, od Sterna, mianowicie z pamiętników tego oryginalnego pisarza, przejął Zan formę swoich »rozdziałków«, które pisywał jeszcze na wygnaniu, a że w nich musiał nieźle naśladować mistrza, można wnioskować z tego, że Mickiewicz w jednym ze swoich listów pisanych z Kowna, nazywa go Wice-Sternem. Te rozdziałki u Sterna, są to krótkie pogadanki treści moralnej lub psychologicznej, oparte przeważnie na własnych autora spostrzeżeniach i wspomnieniach [1]) a pisane tonem, który już wyżej scharakteryzowałem. Takiemi też były zapewne i rozdziałki Zana. Czytywał on je kolegom i prawdopodobnie zarówno w nich jak w ustnych pogadankach rozwijał swoją dobrze znaną z nazwiska teoryą »promionków«. Teorya ta była oryginalnym pomysłem Zana, a ponieważ

[1]) Tytuły ich są n. p. takie: »Mój wuj Tobiasz«, »Ja«, »O melancholii«, »O dowcipie«, »Obmowa«, »Duma«, i t. d.

silnie oddziałała na życie ówczesnej młodzieży i na kierunek uczuć Mickiewicza, należy jej się tutaj szczególna uwaga.

Zan był zaciętym wrogiem rozpusty, która tak łatwo otwiera bramy swoje młodzieży uniwersyteckiej. Domejko powiada, że »nie mógł znieść najmniejszego słowa w młodych ludziach, któreby zakrawało na nieobyczajność, zepsucie i zmysłowość, a nie cierpiał rozpustnych. Utrzymywał, że pierwszym krokiem do nieuczciwości, upodlenia i zdrady jest niepowściągnienie grubych skłonności, obżarstwo i rozpusta, które zarażają otaczającą atmosferę swędem i zgnilizną: to też dowodził, że muzyką i poezyą, czystością obyczajów i miłością można uratować z upadku najbardziej zepsutych ludzi«. Nawet potem, w Orenburgu, choć przestał być patryarchą młodzieży, pisał przecież o sobie: »Wszeteczności zawsze jestem groźnym prześladowcą, kupiłem kij żelazny z młotkiem dla jej poskramiania« [1]). Za to za najwyższe szczęście poczytywał miłość czystą idealną, wolną od fermentu zmysłowości. Im doskonalszemi były osoby, które wzajemnie się kochając, obcowały z sobą, tem żywszą była rozkosz, jaką ta miłość sprawiała. Rozkosz ta polegała na wzajemnem patrzeniu na siebie, na wzajemnem wysyłaniu ku sobie *promionków*, pro-

) Korespondencya Adama Mickiewicza III, 85.

mieni, które grając w oku, świadczyły o duszy, były przędzą z jej przymiotów usnutą. Każdy przymiot podług Zana wyraża się w oku osobnym promionkiem, trzema zaś najpiękniejszymi promionkami duszy ludzkiej są: piękność, czułość, niewinność. Te otaczają duszę ludzką jakby aureolą, a gdy się jedna taka aureola z drugą podobną do siebie zetknie, wówczas wytwarza się nad temi dwiema duszami jakby tęcza, która i świat cały dla dwojga istot miłośnie ku sobie patrzących opromienia i dusze ich powołuje ku niebu, ku źródłu wiecznej harmonii [1]).

---

[1]) Odyniec. Wspomnienia z przeszłości opowiadane Deoty mie, str. 102, 103. Tomasz Zan w zeznaniach swoich przed komisyą, wyznaczoną przez księcia kuratora w r. 1822 dla zbadania związku Promienistych, tak objaśnia teoryą swoją i znaczenie wyrazu »promienisty«. »Przypuszczałem, że miłość jest skutkiem atrakcyi powszechnej, modyfikowanej siłami właściwemi istotom organicznym, a w szczególności ludziom, że moc tych sił utrzymywała się przez czystość i niewinność duszy i ciała; że się te siły rozprzestrzeniały w pewną około istoty delikatną atmosferę; te siły wyobrażałem naprzód przez wyraz *płyn delikatniutki*, a potem przez wyraz *promionki*. Dla tego też towarzysze moi często przez żart nazywali mnie *płyniasty*, a potem, kiedy się im nowym wyrazem tłomaczyłem, *promionkowicz*, *promienisty*. Wyraz ten w zaciszu domowem i z rozpraw prywatnych utworzony powoli używany do do oznaczenia tego, co jest *dobre*, co jest *piękne*, rozszedł się między akademikami... Nie cierpiałem kolegów złego prowadzenia wyrzucałem na oczy ich mniej przystojne lub mniej chwalebne po stępki; stąd też jedni mię przez gniew, drudzy ironię, inni w szcze rym duchu zwali *promienisty*, *bardzo promienisty*, *arcy-promie*

Tak promionkowo i platonicznie kochał się Zan w pannie Felicyi Micewiczównie [1]) i pisywał do niej wiersze, pomiędzy innemi ów tryolet:

Wróć, Feli, spokojność moję,
Bo nie wiem, co będzie ze mną;
Kocham, trwożę się i boję,
Wróć Feli spokojność moję.
Albo zakryj krasę twoję,
Albo kochaj, bądź wzajemną;
Wróć Feli spokojność moję,
Bo nie wiem, co będzie ze mną.

Feli stała się Beatryczą Zana i uwiecznioną została w pieśni Filaretów, ale sama panna podobno nie wiedziała o uczuciu, które wzbudziła. Miłość ta zresztą tak harmonijna, tak idealnie spokojna nie czyniła Zana ślepym na przymioty i wdzięki innych panien, licznych swoich uczennic, w których również upatrywał rozmaite promionki i do których także pisywał wiersze.

Niebawem koledzy Zana zaczęli naśladować przykład jego, zaczęli obierać sobie Laury i Beatrycze, często zaledwie z widzenia znane, i słali ku nim platoniczne westchnienia. Najwyższą roz-

---

nisty, nadto promienisty. I przeciwnie, wolniejszego życia młodzieńców częstokroć zwali: on *nie bardzo promienisty, nie promienisty, wszeteczny*«. (Promieniści, Filareci i Zorzanie, dokumenty sądowe... wydał Z. Wasilewski. Archiwum do dziejów literatury oświaty T. IX, str. 154 i 155).

[1]) Domejko nazywa ją Felicyą Przeciszewską.

koszą było przechadzać się pod oknami bogdanki, marzyć i mówić o niej i upatrywać w jej oczach promienie wszelkich doskonałości. Ta to promionkowa, marzycielska miłość otaczała dziwną czystością serca młodzieży i strzegła je od brudnego kielicha rozpusty.

Ale nietylko miłość idealna polegała podług teoryi Zana na promionkowaniu; i przyjaźń prawdziwa między mężczyznami była również wzajemnem takiem wysyłaniem promieni duszy ku sobie. Bywało dużo rozpraw na ten temat w gronie znajomych Zana, a o nim samym mówili koledzy, »że nietylko z oczu, ale z czoła Tomasza, ilekroć był otoczony swemi kochanemi dziećmi, wychodziły promienie, które przenikały duszę każdego, co był sposobny do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, ilekroć napotykały na zimne lub nieczyste serce«. Kolegów Zana, opromienionych jego przyjaźnią, zwano promienistymi, a nazwa ta; stała się potem nazwą całego stowarzyszenia młodzieży [1]).

Nadeszła wiosna 1820 r. [2]). Znaczną już była

---

[1]) Domejko Ignacy. Filareci i Filomaci, str. 12.

[2]) W którym roku odbywały się majówki promieniste? W tym względzie panuje niezgodność między licznemi świadectwami, zawartemi w różnych wspomnieniach i dokumentach z owych cz sów. Karol Kaczkowski (Wspomnienia I. 91), Jundziłł (Sobar Obrazki litewskie 69) i Józef Chodźko w zeznaniach składany

liczba kolegów, z którą Filomaci, szczególnie za pośrednictwem Zana, zawiązali ściślejsze stosunki. Tę młodzież, a także i innych kolegów, których chciano przyciągnąć do siebie i bliżej poznać, zaprosili Filomaci na koleżeńską, wspólnym kosztem urządzoną majówkę. Jest na południowowschodniej stronie Wilna, niedaleko brzegów Wilenki, piękna górzysta miejscowość Popławy; tam miała się odbyć majówka. Oznaczonego dnia, ledwie słońce się ukazało na pogodnem niebie, zaczęli wychodzić z miasta na owę majówkę studenci. Szli małymi oddziałami po 20 do 30 i różnemi drogami, ażeby gromadnem wyjściem nie zwracać na siebie uwagi policyi. Wyszedłszy z miasta, śpiewali wesołe pieśni, zbierali kwiaty i zrywali gałązki świeżo rozpuszczonych krzewów, a tymczasem na Popławach na wzgórzu czekały na nich wiadra z mlekiem,

przed komisyą śledczą pod przewodnictwem Nowosilcowa (Proces Filaretów w Wilnie, Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce T. VI str. 301) zawiązanie się Promienistych i ich majówki odnoszą do r. 1819. Ignacy Domejko (Filareci i Filomaci str. 12) nie ufa swej pamięci i powiada: »było to w 1819 czy 1820 roku«. Ale zeznania Mickiewicza, Tomasza Zana i Teodora Łozińskiego, złożone przed komisyą śledczą przez księcia kuratora mianowaną w r. 1822 (Promieniści, Filareci i Zorzanie wyd. Z. Wasilewski, Kraków 1896 str. 13, 15 i 17) zgodnie świadczą, że majówki promieniste zaczęły się w maju 1820. Na tych świadectwach, jako na najważniejszych i najbliższych owym majówkom, opieram datę w tekście podaną.

biały chleb i świeże ciasta. Widok pięknej okolicy i budzącej się przyrody, wonny powiew majowego poranka i pogodny błękit już same przez się zdolne były ożywić i rozochocić serca młodzieży, cóż dopiero, gdy zjawił się jej patryarcha, Zan, gdy otoczywszy go kołem młodzieńcy zaczęli śpiewać chórem rozmaite pieśni, zastosowane do czasu i okoliczności, i gdy potem nastąpiła swobodna, hałaśliwa, ale serdeczna pogadauka, wśród której ten i ów z kolegów wydobywał z zanadrza swój wiersz, aby go odczytać kolegom i jeszcze większy wywołać w nich zapał.

Znamy niektóre pieśni, na tych majówkach śpiewane. Jedna z nich napisana przez Mickiewicza, streszczała w sobie uczucia i dążenia, któremi Filomaci starali się natchnąć kolegów:

Hej radością oczy błysną,
I wieniec czoło okrasi,
I wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi.

Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłonę;
Otwórzmy myśli i chęci,
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,

Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale kto jest w naszem gronie,
Pomnij na przysięgę swoją,
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota!

Młodzież wracała z majówki upojona miłemi wrażeniami, których doznała, a przedewszystkiem upojona uczuciem braterskiej, koleżeńskiej miłości, którą Filomaci bez wielkiego trudu zdołali w niej rozniecić. Mickiewicz, który już od jesieni 1819 r. był nauczycielem w Kownie, nie był uczestnikiem pierwszych majówek, nie mógł też być i przy organizowaniu się gron filareckich z początkiem nowego roku szkolnego. Ale choć oddalony, myślą i sercem żył z kolegami, miewał zapewne dokładne relacye o życiu filareckiem, a kiedy zjeżdżał do Wilna, czy to na święta Bożego Narodzenia, czy na Wielkanoc, czy podczas wakacyj letnich, z rozkoszą uczuwał w koło siebie ciepłą falę filareckiego życia, i rozkoszne wywiózłszy wrażenia, snuł z nich potem w samotności Kowieńskiej swoje śpiewy lareckie. Tylko w ten sposób można zrozumieć enezę *Ody do młodości.*

Pierwsza ta majówka obudzila nadzwyczajny

ruch w młodzieży. »Wiązali się jedni z drugimi, powiada Domejko, ponawiali wieczorne przechadzki za miasto i na nich śpiewano pieśni narodowe«.

Tomasz Zan starał się tym majówkom i ich uczestnikom Promienistym wytknąć stały cel i nadać stałą organizacyą, i tak pisał o nich w swoim Raporcie do Rządu Towarzystwa Filomatycznego: »Przedmiotem tego związku są zabawy, składające się z ćwiczeń ciała, z czytania własnych robótek w jakimkolwiek rodzaju lub deklamowania miejsc piękniejszych z autorów polskich. Zabawy te zowią się majówkami, których trzy w maju odbyto. Wstęp każdemu młodzieńcowi do związku wolny, sposób przyjmowania łatwy. Każdy przychodzący, mając sobie wyłożony cel Promienistych, cel zabawy, przyjemny i pożyteczny, ustnie obiecywał znajomość i przyjaźń, wspólną pomoc każdemu w naukach i potrzebach, wypełnianie obowiązków stanu, nabywanie cnót, które młodzieńca w oczach wszystkich czynią szacownym i miłym; po obietnicy imię swoje zapisywał w sexternie i już miał prawo mówić otwarcie i szczerze, i słuchać przestróg«[1]). Przewodnikiem zabaw z przydomkiem »Arcy« i z »władzą najwyższą nietylko na ma-

[1]) Pamiętnik Ignacego Zdanowicza, a także Wł. Mickiewicza Żywot Ad. Mick. I. Dodatek IV.

jówce, lecz i za majówką« był Tomasz Zan. On mianował urzędników towarzystwa i naznaczał dni posiedzeń. Mieli Promieniści podług tego raportu Zana swoją kancelaryą, którą zawiadywał sekretarz Filomatów Pietraszkiewicz; »on dzieje spisywał i wyznaczał podkanclerzym przedmioty majówki do opisywania«. Mieli marszałka wielkiego, który przestrzegał porządku posiedzeń i ogłaszał wyroki (Teodor Łoziński), marszałka nadwornego, do którego należało kupować dla wszystkich mleko i masło (Bukiewicz Michał) i podskarbiego, który zbierał pieniądze od członków i rozrządzał nimi (Kazimierz Piasecki). Pomiędzy szambelanami do roznoszenia życzeń Arcego, znajdujemy Ignacego Domejkę. Towarzystwo dzieliło się na grona zwane województwami. Było ich sześć; a zapewne w związku z nazwą Promienistych miały one nazwy kolorów: zielone, różowe, granatowe, amarantowe, błękitne, białe. Każde grono miało swoich urzędników.

Z całego raportu widać, że zabawa na majówkach — zabawa szlachetna i umoralniająca — była głównem, jeżeli nie jedynem zajęciem Towarzystwa Promienistych. Prawdopodobnie już od początku majówek mieli Filomaci zamiar nie poprzestać na tych zabawach i założyć towarzywo, któreby miało poważniejszy charakter i gdzie· pracy naukowej nie pochłaniała zabawa. Okoliczności przyśpieszyły wykonanie tego zamiaru.

Ażeby gromadzenia się młodzieży na majówkach źle nie tłómaczono, trzeba było uzyskać sankcyę władzy uniwersyteckiej. W tym celu przewodnicy Promienistych, na majówce odbytej dnia 17 maja 1820 r., ułożyli znane nam już prawidła, które streszczały kierunek moralny tak Promienistych, jak i późniejszych Filaretów i przedłożyli je rektorowi uniwersytetu (Malewskiemu) do potwierdzenia. Wobec uniwersytetu jednak uważano za stosowne wystąpić nie z nazwą »Promienistych«, która była czysto koleżeńską i wymagała komentarzy, ale z taką. któraby sama przez się wyrażała skromne zadanie towarzystwa, a mianowicie z nazwą »Towarzystwa przyjaciół pożytecznej zabawy«.

Rektor potwierdził prawidła »w nadziei dobrych skutków zachęcenia do pilniejszego i ściślejszego zachowania obowiązków ucznia uniwersytetu«. I w istocie dobre skutki tych zabaw bardzo się prędko okazały. Już w raporcie Zana czytamy, że wskutek majówek promienistych uczniowie »zaczęli pilniej chodzić na lekcye i skromnie się na nich znajdować, do kościoła uczęszczać, uczyć się, egzamina zdawać, inszem okiem na kolegów swoich zważać«. Ale majówki te nabrały wielkiego rozgłosu w mieście, zaczęli brać w nich udział i tacy, co uczniami uniwersytetu nie byli i to było powodem, że rektor lękając się, aby stąd jakieś kłopoty dla uniwer-

sytetu nie wynikły, już po trzeciej majówce, jeszcze przed wakacyami 1820, cofnął swoje zezwolenie, a po wakacyach przy wpisywaniu się do album każdemu z osobna zabraniał należenia do tej zabawy [1]). Wprawdzie majówki podobne do Promienistych z r. 1820 odbywały się i w roku następnym, ale już były czemś zakazanem i nieuprawnionem, zarówno jak i towarzystwo Promienistych.

Otóż ów zakaz, a raczej cofnięcie zezwolenia ze strony władzy uniwersyteckiej na majówki promieniste pobudził Zana i towarzyszy do zawiązania tajemnego towarzystwa, któremu za radą Jeżowskiego dano nazwę Filaretów. Projekt towarzystwa powstał jeszcze przed wakacyami, ale zawiązanie się nastąpiło dopiero z początkiem nowego roku szkolnego. Oto jak cele i organizacyą towarzystwa przedstawia Ignacy Domejko, jeden z Filomatów, a więc ukrytych organizatorów związku.

»Spostrzegli Filomaci, powiada Domejko, że nie było czasu ociągać się i należało utworzyć towarzystwo od razu liczniejsze, z zastosowaniem do jego organizacyi zasad, które z doświadczenia okazały się najbezpieczniejszemi, a zarazem

---

[1]) Zeznania Tomasza Zana przed komisyą śledczą 1822 r. rchiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce T. IV. str. 56. Proces Filaretów w Wilnie. Kraków, 1889, str. 137.

najkorzystniejszemi dla nas. By zaś nie osłabić siebie, a zachować jedność i pewien niezachwiany cel raz przyjęty, postanowiliśmy zachować Towarzystwo Filomatyczne tak jak było, tajemne, i nie przyjmować do siebie chyba kogo, coby z zupełną szczerością i pewnością przyłączył się do naszej familii; ale odtąd Filomaci postanowili szczególnie kierować czynnościami liczniejszego towarzystwa, dla którego potrzeba było natychmiast ułożyć ustawy, i dać mu nazwisko, coby nie trąciło klubem lub konspiracyą, albo gotowaniem się do jakich niewczesnych, rewolucyjnych ruchów. Jeżowski zaproponował nazwać to nowe towarzystwo Filaretami«.

»W pierwszym zaraz artykule ustaw zastrzeżono, że Filareci nie będą zajmować się polityką, a głównym ich celem będzie oświata, nauka, wzajemne braterstwo i miłość ojczyzny. Towarzystwo dzieliło się na grona czyli oddziały stosownie do gałęzi nauk, jakim się oddawali jego członkowie i utworzono grona: prawników, literatów, lekarzy, matematyków i naturalistów. Każde grono miało swego prezesa, sekretarza i skarbnika, a całe towarzystwo głównego prezesa i sekretarza; wszystkie wybory odbywały się otwarcie i większością głosów. Żadnych sekretów ni hierarchicznych wymysłów, żadnych znaków, ni ceremonii, mistrzów i sędziów. Ustawy były krótkie i jasne, przyrzekano tylko przed nienależącymi do towarzystw

nie wyjawiać jego bytu, tak dla uniknienia nieprzyjemności ze strony władz rządowych i uniwersyteckich, jako też dla dobra samych Filaretów, aby nie szukali chluby z dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom, zachowując między sobą zgodę, braterstwo i obyczajność. Każdy, kto mógł, płacił filareckiego podatku złoty na miesiąc, a pieniądze obracano na książki, utrzymanie czytelni i niezbędne potrzeby«.

»Na posiedzeniach czytano prace w przedmiotach, które odpowiadały gałęzi nauk należącej do grona i toczyły się rozprawy w przedmiotach naukowych i literackich. Członkowie nietylko ćwiczyli się w sztuce pisania, ale też nabywali daru rozprawiania ustnie z umiarkowaniem i jasno w przedmiotach częstokroć zawiłych; przestrzegając wzajemnie przepisów dobrego wychowania, czystości języka i poprawności stylu.

»Że zaś nie mieliśmy salonów na liczne zebrania, i ostrożność nakazywała unikać gromadnych schadzek, mianowano i wysyłano na posiedzeniach z każdego grona delegatów na posiedzenia innych gron, a ci delegaci byli obowiązani zdawać sprawę, każdy przed swojem ronem, z czynności grona, do którego byli poani. Mogli jednak Filareci, którzy mieli czas ochotę, iść na posiedzenia wszystkich gron bez

wyjątku, nawet nie będąc delegatami do nich, mogli nawet zabierać głos na nich, ale nie mieli prawa mięszania się do wyboru urzędników w gronach, do których nie należeli«.

»Z największą łatwością, bez oporu, i ze zgodą powszechną, zawiązało się w jednym tygodniu kilka gron Filaretów, wybranych po największej części między Promienistymi, co wzięli byli udział w ostatniej majówce. Kto ich wybrał, kto ich zebrał i urządził, nie pytano się: była to sprawa filomacka, dobrze ułożona i tak doprowadzona do skutku, że każdy z Filaretów, a znalazło się ich do stu na pierwszych posiedzeniach, sądził, że był założycielem towarzystwa. Było jednak wypadkiem bardzo naturalnym, że na prezesów i sekretarzy pierwszych gron, wybrali Filareci samych prawie Filomatów, jako promotorów, o których towarzystwie nie wiedzieli, ani się jego bytu domyślali. A chociaż Filomaci kierowali czynnościami Filaretów i na swoich tajnych posiedzeniach naradzali się odtąd głównie nad utrzymaniem między nimi zgody, porządku i uchronieniem ich od zejścia z obranej drogi, starali się jednak, jak mogli, badać ich ducha, zadosyć czynić ich chęciom i dążeniom, nie przeciwić się ich słusznym wymaganiom.

»Zbierały się tedy grona Filaretów co pięć ście dni, niektóre co miesiąc, dla czytania swo prac literackich i naukowych; żyli z sobą w b

szych stosunkach niż z nienależącymi do towarzystwa, pomagali sobie wzajemnie tak w utrzymaniu się jak i w nauce; szukali jedni drugich w wolnych od pracy godzinach, na zabawie i przechadzkach, na których może lepiej objawiały się duch i życie towarzystwa niż na posiedzeniach« [1]).

Wierność obrazu, przedstawionego tu przez Domejkę, potwierdziły rozmaite dokumenta urzędowe, odnoszące się do sprawy Filaretów, a ogłoszone w VI i IX tomie *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce.* Związek Filaretów nie był towarzystwem politycznem, ani tem mniej spiskiem; jeżeli się otaczał tajemnicą, to główna przyczyna tkwiła w tem, że rząd uniwersytecki obawiał się zatwierdzać nawet tak niewinnych związków młodzieży, jakim było Towarzystwo pożytecznej zabawy, czyli Promieniści. Tylko Jankowski, ulegając »refleksyom« dawanym mu przez komisyą śledczą w r. 1823 [2]), i chcąc w ten spo-

---

[1]) Filareci i Filomaci str. 15.

[2]) Jankowski tak pisał w zeznaniu swojem 22 paźdz. 1823: »Trzymiesięczna rekollekcyjna rzeczy i położenia mojego rozwaga, *co chwila nawijające się zbawienne wasze refleksye*, wasze chęci naprowadzenia obłąkanego przestępcy na drogę prawdy, ... ystko to zbiegło się razem, aby więcej jeszcze utrapić tylą już ęczeniami skołatany mój umysł i serce«. Podpisując zeznanie owskiego, członkowie komisyi śledczej, taki dodali komen-: »Takowe wyznanie Jan Jankowski uczynił w obecności na-

sób zwalić z siebie przynajmniej część odpowiedzialności za swoje pisma, pełne frazesów patryotycznych, starał się nadać Filaretom barwę polityczną. Niewątpliwie Filareci mieli przed sobą cel patryotyczny, ale tym celem było uszlachetnienie młodzieży, na której spoczywała przyszłość narodu, zwrócenie jej ku wyższym celom, ku nauce, rozbudzenie miłości do rzeczy ojczystych, jednem słowem odrodzenie moralne narodu.

Dla uzupełnienia obrazu, przedstawionego przez Domejkę, potrzeba dodać, że gron filareckich było siedm, które, podobnie jak grona Promienistych, brały nazwy od kolorów. Uczniowie wydziału fizyczno-matematycznego, jako najliczniejsi, dzielili się aż na trzy grona: *zielone, amarantowe i różowe.* Oddział prawników tworzył z początku jedno tylko grono *białe;* gdy liczba jego członków wzrosła, utworzyło się drugie grono prawników z nazwą *liliowego.* Grono literackie zwało się *błękitne* a medyczne *granatowe.*

Przez dwa pierwsze lata istnienia Filaretów od 1820 do 1822 swobodnie rozwijała się filarecka praca naukowa. Uorganizowano odczyty prywatne dla Filomatów: Kowalewski uczył języka łacińskiego i literatury starożytnej, Józef Chodźko fortyfikacyi, Malewski prawa rzymskiego, Jeżow-

---

szej po nieodstępnych dawanych jemu przez nas *reflexyach* Archiwum IX. 166—169.

ski historyi i filozofii, Domejko gotował się do otwarcia kursu geografii fizycznej według nowej metody, i do tych odczytów sprowadzono wiele książek niemieckich i angielskich.

Zbawienny wpływ tych zgromadzeń na życie i sposób myślenia młodzieży uniwersyteckiej bardzo prędko dał się uczuć. Wiemy już, co Zan w cytowanym tylko co raporcie swoim pisał o kolegach, jak korzystnej dostrzegał zmiany w ich zachowaniu się, pilności i stosunkach koleżeńskich. Karol Kaczkowski potwierdza słowa Zana, mówiąc, że przerzedzone poprzednio ławki zwolna zapełniać się poczynały, zamiast roztargnionych i roztrzepanych słuchaczów większa część notowała każde słowo wypowiedziane z katedry, i w ogóle pilność i obyczajność młodzieży tak widocznie wzrastała, że to wszystkich uwagę zwróciło.

Jednakże nie wszyscy profesorowie jednakowo zapatrywali się na ten ruch młodzieży. »Jedni, powiada Kaczkowski, jak Frank, Śniadeccy, cieszyli się z tego objawu życia w młodzieży, aprobowali jego kierunek, choć otwarcie wypowiedzieć tego nie chcieli. Inni, jak zacny Stanisław Jundziłł i w ogóle cała kategorya starych weteranów, pełnych zasług ale pedantów i zwolenników raz przyjętej rutyny, nie mogli pojąć, jak młodzież bez ich opieki i kierownictwa sama sobie radzić może i upatrywali w tem pewne

uchybienie dla siebie, lekceważenie tyloletniej ich pracy i wyraźny dowód nieufności. Niechęć ich dla towarzystwa, choć tajona, bo nic mu zarzucić nie mogli, przebijała jednak we wszystkiem, a najwięcej w drobnostkach codziennych stosunków, i coraz bardziej Promienistych [1]) od nich odstręczała. Byli też i tacy, co trwożliwie spoglądali na to, co się dzieje, raz dlatego, że im się wydawało, iż skupieni w naukowym celu akademicy rozciągną z czasem pewną kontrolę nad wykładami i zechcą sami sobie zapełniać rażące u niektórych braki; to znowu, że się lękali, aby stąd nie wyniknęły posądzenia o tajemne spiski w uniwersytecie i wszystkie przykre tego konsekwencye« [2]).

I między młodzieżą uniwersytecką mieli stowarzyszeni niechętnych. Mianowicie ta jej część, która zbyt ugrzęzła w życiu hulaszczem i próżniaczem, aby ją idealne cele Promienistych i Filaretów mogły ku sobie pociągnąć, drwiła sobie z idealności i wstrzemięźliwości stowarzyszonych i nazywała ich mnichami. Ci nie mogąc jej wciągnąć do swego koła, a czując swoją wyższość, stronili od niej, odosabniali się, i to zapewne było poczęści powodem, że oskarżano Filaretów o »duch korpusowy«. Głównym oskarżycielem jest ks.

[1]) Kaczkowski nazywa tu Filaretów dawniejszą ich nazwą.

[2]) Karol Kaczkowski. Wspomnienia. Lwów 1876. I. str. 9 i 100.

Jundziłł. Zarzuca on Filaretom, że »skwapliwi w poniżaniu wzrastających zdolności wszystkiej, niezagarnionej jeszcze do ich związku młodzieży, sławili przed publicznością i wyższemi władzami zdatność, usposobienie, talenta miernych, a nawet niedołężnych towarzyszów swoich i na wszystkie zyskowne, już w mieście, już na prowincyach posady gorliwie zalecali«. Być może, że przyjaźń zaślepiała ich niekiedy w sądzeniu o zdolnościach kolegów — bo i trudnoż wymagać trzeźwej bezstronności od młodzieży — ale przyszłość dowiodła, że najwybitniejsze zdolności z pomiędzy ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej znajdowały się w gronie Filaretów. Inne zarzuty szanownego, ale zrzędnego starca, jak n. p. zarzut »odrażliwej szorstkości« względem przełożonych, są tak błahe, że nie warto ich rozbierać. Sam Jundziłł zresztą zbija poniekąd swój zarzut »korpusowego ducha«, gdy mówiąc o urządzeniach Filaretów powiada: »Pieniądze, pozostałe od potrzeb, obracane były na wsparcie ubogich uczniów, nie należących nawet do towarzystwa, byleby ci byli znani z dobrych swych postępków i pilnego przykładania się do nauk« [1]).

Do jakich czynów ofiarności zdolną była przyjaźń koleżeńska między stowarzyszonymi, szczególnie jeżeli myśl obywatelska jej przyświecała,

[1]) Sobarri. Obrazki litewskie. Poznań 1874, str. 86 i 87.

da nam wyobrażenie przykład, jaki ze swego życia przytacza Karol Kaczkowski. Był on, jak wiemy, na koszcie rządowym i ukończywszy doktoryzacyą, gotował się już jechać, jako lekarz rządowy, tam, dokąd mu wskażą, »ku granicom Persyi, czy ku Chinom, czy też pod biegun północny«, kiedy pewnego razu, wchodząc do swego mieszkania, zastaje tam grono kolegów, czekających na niego, z których jeden, Maryan Piasecki, wręcza mu jakiś pakiet od rektora. Kaczkowski rozrywa kopertę i znajduje w niej uwiadomienie, że minister oświecenia, stosownie do jego prośby, przyjmuje złożone przezeń pieniądze w sumie rs. 900, jako zwrot kosztów rządowych, i uwalnia go od wszelkich obowiązków rządowej służby. Zdziwienie Kaczkowskiego było ogromne: podobnej prośby nie pisał, pieniędzy wcale nie składał, skądże więc to uwolnienie? Wnet wśród braterskich uścisków dowiedział się, że było ono dziełem Piaseckiego i innych kolegów, którzy chcieli zachować jego zdolności i naukę dla swoich stron, dla swego kraju, i złożywszy oszczędności swoje, po większej części z guwernerki zebrane, w tajemnicy przed nim wykupili go od obowiązku służby rządowej, która go gdzieś daleko zanieść mogła [1]).

Dwa lata już istniało towarzystwo Filaretów

[1]) Kaczkowski. Wspomnienia I. 150—155.

i liczyło wielu członków z różnych wydziałów, kiedy reakcyjne prądy nadały nowy kierunek wewnętrznej polityce rządowej, a śledzenie tajemnych politycznych związków młodzieży na uniwersytetach niemieckich zaczęło zwracać uwagę rządu rosyjskiego na młodzież uczącą się polską. Przewidując niebezpieczeństwo, jakieby grozić mogło uniwersytetowi wileńskiemu, gdyby się wśród jego uczniów jakie tajemne stowarzyszenia zawiązały, kurator okręgu wileńskiego, książę Adam Czartoryski już w listopadzie 1821 zalecał sekretnem pismem rektorowi Malewskiemu nadzwyczajną czujność w tym względzie. »Cieszę się ja tą nadzieją, pisał, że zacna młodzież całego wileńskiego wydziału, a tem bardziej w uniwersytecie i wyższych szkołach, zamiłowana w pracy pożytecznej... daleka jest od nierozważnych podszeptów i urojeń. Wiem także, że szkoły wileńskiego wydziału zalecały się zawsze karnością i uszanowaniem dla władzy. A choć pochlebiam sobie, że w tym chwalebnym zawodzie zawsze zostają, gdy jednak w podobnych okolicznościach wszelkiego urzędu jest walnym obowiązkiem przewidywać i zabiegać złemu najwcześniej, poczytałem i moim przestrzedz WMPana co prędzej i do największej go zniewolić czujności, :czególniej nad uczniami szkół wyższych« [1]).

[1]) Proces Filaretów w Wilnie. Kraków 1889, str. 58.

W kilka miesięcy potem, gdy przyjechał do Wilna (1822) dla zbadania stanu uniwersytetu, i gdy mu doniesiono, iż istniał wśród młodzieży wileńskiej związek Promienistych (o czem powszechnie w mieście wiedziano), kurator mianował komisyą, złożoną z profesorów: Bojanusa, ks. Kłągiewicza i Łobojki, i polecił jej zbadać, jakiem było to stowarzyszenie i czy dotychczas istnieje. Komisya pociągała do śledztwa Zana, Łozińskiego i Mickiewicza, który wówczas w Wilnie przez cały rok bawił, i dowiedziała się od nich, że Towarzystwo Promienistych oddawna już nie istnieje, co było prawdą; do Filaretów zaś nie dotarła. Ale Filareci od tego czasu jeszcze głębszą musieli otoczyć się tajemnicą, a ruch zbudzony w młodzieży, im bardziej taić się musiał, tem silniej zagrzewał jej serca i rozpalał wyobraźnie.

II.

Serce Mickiewicza przed poznaniem Maryli. — Tuhanowicze i okolica. — Pierwszy przyjazd Mickiewicza do Tuhanowicz. — Maryla i jej otoczenie. — Wawrzyniec Puttkamer. — Jakim się Mickiewicz wydał Maryli. — Pierwsza faza jego miłości dla niej.

Zanim przystąpię do rozpatrzenia utworów Mickiewicza, w których się odzwierciedliło życie świata filareckiego, potrzeba nam poznać inne wypadki z jego życia, współczesne tworzeniu się koleńskich związków, zbadać inne wpływy, które się złożyły na przebudzenie w nim geniuszu poetyckiego. Wpływy te działały współcześnie, nie można ich odosabniać przy roztrząsaniu utworów poety. Przedewszystkiem musimy poznać stosunek poety z Marylą i zwrot jego pojęć ku romantyzmowi.

Wielkie to szczęście dla potomności, która nie poprzestaje na posiadaniu dzieł poety, ale e je zgłębić i do najskrytszych tajników uczuć ıyśli przelanych przez poetę na papier, szuka ːza w jego życiu — wielkie to szczęście dla

potomności, że jednym z przyjaciół poety, zbliska obeznanym z dziejami jego młodości, był człowiek, który obok żywej pamięci, zamiłowania w poezyi i uwielbienia dla mistrza, posiadał nadzwyczajną łatwość pióra i zdolność odwzorowywania dawno minionych wrażeń z całą ich pierwotną świeżością. Każdy się zapewne już domyślił, że mówię tu o Odyńcu. Gdyby nie był nawet sam poetą i znakomitym tłómaczem, jego pamiętnikowe utwory rozsiane po różnych pismach i książkach wyznaczyłyby mu poważne stanowisko w naszej literaturze. Bez niego biografia Mickiewicza byłaby tylko szkieletem.

Wprawdzie dramat miłosny pomiędzy Mickiewiczem a Marylą nie odgrywał się przed oczami Odyńca, wprawdzie Mickiewicz w rozmowach późniejszych z Odyńcem nie lubił dotykać długo niezabliźnionej rany serca i nie wspominał o Maryli, ale Odyniec znał dobrze główne osoby dramatu w ostatnim jego akcie i dał nam doskonałą charakterystykę, a przytem od innych dawniejszych przyjaciół Mickiewicza, wtajemniczonych w tę miłość, zachwycił niektórych ciekawych szczegółów do początkowej historyi tego miłosnego stosunku.

Mickiewicz, poznając Marylę, miał rok dwudziesty. Czy serce jego zabiło już silniej kiedkolwiek przedtem na widok pięknej niewieścpostaci? Serca poetów wcześnie się zwykle otwi

rają dla uczuć miłosnych, zdaje się jednak, że serce Mickiewicza było jeszcze w chwili poznania Maryli zupełnie dziewicze [1]). Myśl jego wprawdzie zwracała się w stronę przyszłej wybranej, ale ta przyszła wybrana nie stawała przed nim wcieloną. W pierwszym roku po przyjeździe do Wilna, przechadzając się raz samotnie po pięknym cmentarzu wileńskim, Rosie, bujnymi drzewami ocienionym, stanął przed nagrobkiem, na którym wyryte było nazwisko: Laskarys. Nie wiedział zapewne młodzieniec o istnieniu rodziny tego nazwiska na Litwie; to też zdziwienie jego było wielkie, gdy z mchów i traw litewskich wyjrzało ku niemu imię tak głośne w dziejach Bizancyum. Wyobraźnia jego, która zawsze okazywała skłonność do mistycyzmu, uderzona tem imieniem, chciała upatrzeć w niem jakiś prognostyk i cóż upatrzyła? Oto, że przeznaczona dlań żona będzie się nazywała Laskarys [2]). Z tego

[1]) W późniejszych czasach (1846) Mickiewicz opowiadał Aleksandrowi Chodźce, że zanim poznał Marylę podobała mu się jakaś wiejska szlachcianeczka Józia, która wyszła potem za jego krewnego Felicyana. »Śliczna, świeże usta, białe zęby. W domu ich, małym zaścianku, samo życie i radość«. Ale sam poeta dodawał, że w jego uczuciu dla Józi nie było nic namiętnego, lubił tylko siedzieć przy niej, tyle z niej wionęło świeżości i życia. Wł. Mickiewicz. Żywot A. Mickiewicza. T. I, str. 40, 41.

[2]) W kilka lat później poznał Mickiewicz pannę Florę Lasrys, córkę tej, której grób na Rosie tak go zadziwił, i bał się

bił zapewne »promionki« z jej oczu na świat strzelające.

Na wakacye następnego 1818 roku wybierał się również Zan do Wereszczaków i namawiał Mickiewicza, aby z nim tam na kilka dni pojechał. Michała Wereszczakę znał Mickiewicz zapewne jeszcze ze szkół nowogrodzkich, ciekawy był też poznać tyle wielbioną Marylę i piękną okolicę tuhanowicką i dał się namówić przyjacielowi.

Powiat nowogródzki, jak jest obfity w puszcze i lasy od strony północno-wschodniej, tak ma znów malowniczą i urozmaiconą powierzchnię w stronie południowej, t. j. w tej, gdzie leżą Tuhanowicze. Domejko, który jako cioteczny brat Maryli znał dobrze jej rodzinę i miejscowość, w której mieszkała, taki nam daje obraz tych okolic i tuhanowickiego dworu. »Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom, Mirowi, otwierają się we wszystkich kierunkach wzgórza i zwolna podnoszące się i zniżające zasiewne pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzozowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie zielone łąki, wygony, sianożęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsie i zaścianki... Od każdej wsi spuszczają się ku sianożęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowemi drzewami ocienione, a nad

wsią górują uprawne poletki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzysz kościółek na wzgórzu, karczmę, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzaną drogę. W tej też części nowogródzkiego powiatu często napotykasz przy gościńcach ślady dawnych kurhanów, szczątki szańców i przekopów darniną porosłe: nieme świadki starych, niespokojnych wieków«.

»W takich to pięknych okolicach leży dwór tuhanowiecki, szeroko zabudowany, z murowaną, górującą nad nim oficyną i kościołem. Ogromny sad lipowy i z owocowych drzew, mnóstwo zabudowań gospodarczych i dla czeladzi, służących i oficyalistów, nadają temu dworowi charakter rezydencyi naszej zamożnej szlachty. O parę mil od dworu poczynają się rozkoszne knieje do polowania, dobrze strzeżone bory, a w jednym z nich przy drodze z Nowogródka do Płużyn, folwarku należącego do Tuhanowicz, jest jezioro Świteź, opasane odwiecznemi sosnami i jodłami, porosłe na brzegach ajerem i trzciną, a czyste jak zwierciadło w przestrzeni« [1]).

Przez taką to okolicę jechali młodzi przyjaciele, zdążając do Tuhanowicz. Było to w sobotę. Już wieczór zapadał, kiedy zajechali przed ganek

---

[1]) *O młodości Mickiewicza.* List Ignacego Domejki do Bohdana Zaleskiego. Przegląd Lwowski, 1882. T. T. IV.

tuhanowickiego dworu. We dworze pusto, gospodarstwo wyszli na przechadzkę około zboża. Pan Tomasz tymczasem chciał pokazać nowemu gościowi dom i swój dawny pokoik, w którym mieszkał za pierwszą bytnością. Był to więc wtedy pokój gościnny, pokój męski. Tymczasem teraz wchodząc do tego pokoju, cóż zastają? »Na poręczach dwóch krzeseł, ustawionych w pośrodku, leżała deska do prasowania; na niej stos kołnierzyków i chusteczek damskich i prasująca się właśnie szeroka różowa szarfa; wyprasowana zaś już i wyświeżona na niedzielę biała sukienka wisiała u drzwi na zawiasie. W pokoiku nie było nikogo, bo właśnie prasująca dziewczyna poszła była po nową duszę do żelazka. Łatwo pojąć (tak mówi Odyniec), jakie wrażenie ten widok sprawić musiał na młodych poetach: i p. Tomasz, który mi to opowiadał, utrzymuje nie żartem, że Adam nim obaczył Marylę, którą wracającą z przechadzki na pół drogi wkrótce spotkali, już się naprzód w jej sukience zakochał!« [1]).

Te słowa Odyńca, który i za młodu i później był niestrudzonym wielbicielem płci pięknej, wymagają komentarza. Łatwo się zgodzić, że świeża, biała sukienka i szeroka szarfa różowa przyjemnie rozjaśnić mogą pokój, ale trudniej n

[1]) Listy z podróży. I, 358, 359.

seryo przypuścić, aby ten widok sam przez się mógł nastroić jakiekolwiek serce do miłości, a szczególnie serce młodzieńca, co »dotąd gardził istotami powszedniej natury« i »nie cierpiał rzeczy ziemskich nudnego obrotu«. Nie przeczę jednakże, że ten widok mógł wywrzeć niezwykłe wrażenie na Mickiewiczu, że go nader przyjemnie uderzył, ale dlaczego? Oto uwaga jego zwróconą już była w stronę tej, którą miał niebawem poznać, a o której tyle pięknych rzeczy słyszał od przyjaciela. Wyobraźnia jego pracowała już zapewne nad przystrojeniem jej po swojemu we wdzięki, gdy wtem uderzył jego oczy jej strój rzeczywisty, powszedni, ziemski, a tak wdzięczny. Strój ten zdawał się przyświadczać słowom przyjaciela i budził większą chęć poznania niezwykłej ziemianki. Poznanie, jak wiemy, zaraz nastąpiło.

Jakąż w rzeczywistości była Maryla? Odyniec poznał ją wprawdzie dopiero w czasach ukazania się na świat *Dziadów*, kiedy już była zamężną, ale jej charakterystyka, podana nam przez niego, tchnie taką prawdą i wiernością, tak doskonale zgadza się z idealnem jej wyobrażeniem w poezyi Adama, tak wybornie streszcza istotę jej ducha i obraz jej zewnętrznej postaci, że pozwoli nam ~ła odgadnąć, jaką była taż sama Maryla pięć t przed ukazaniem się *Dziadów*, kiedy młody, eśmiały i nieznany jeszcze poeta spotkał ją

wracającą z pola i ozłoconą blaskiem zachodzącego słońca.

Czując wagę swego świadectwa, z pewną uroczystością przystępuje Odyniec do skreślenia tej charakterystyki i tak ją zaczyna: »Otóż ja, jako świadek naoczny, powiadam: że nie znałem drugiej osoby, coby się tak kwalifikowała, jak ona, na przedmiot poetycznego kochania, i to zwłaszcza ze strony poety-studenta i adepta promionkowej teoryi miłości. Nie mogła ona nazwać się piękną we właściwem tego słowa znaczeniu; ale miała ten wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny urok piękności. Kibić kształtna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spojrzenie wyraziste i czułe, uśmiech naiwny i figlarny zarazem — wierny obraz umysłowego i uczuciowego nastroju jej ducha. Oczytana, egzaltowana, marząca więcej niż myśląca, nigdy ona nie wyszła sama w sobie na jasno z tęczowej mgły swej wyobraźni; ale sama mgła właśnie sprawiała, że też i dla oczu patrzących nie wydała się nigdy zwyczajną, pospolitą istotą, i dość było spojrzeć przez pryzmat miłości, aby w niej dojrzeć nie ziemskie, Ossyanowsko-obłoczne zjawisko«[1]). Domejko, który również nie nazywa jej piękną »w znaczeniu, jakie do tego wyrazu pospolici ludzie przywiązują«, szcze-

[1]) Wspomnienia z przeszłości. Warszawa, 1884, str. 256.

gólny także upatrywał urok w jej wyrazie twarzy, a mianowicie w ustach i spojrzeniu, a chwaląc jej słodycz i prostotę w obejściu, przyznaje jej staranne, nowsze wychowanie, znajomość muzyki, języków, jako też literatury ojczystej, włoskiej i francuskiej.

Ta mgła marzycielska, która otaczała duszę Maryli, a tak czarowała Adama, odpowiadając nastrojowi jego duszy, nie była sztucznym sentymentalizmem, w jaki się często drapują młode panienki świeżo po ukończeniu pensyi, a czasem i potem, ale powstała z naturalnego jej usposobienia. Gdyby inaczej było, pogodny wzrok Zana prędkoby dostrzegł fałszu, a i na samego Adama czar niedługoby działał. Jednakże do rozmarzenia Maryli wiele przyczyniły się wchodzące wówczas w modę sentymentalne romanse, z Wertherem Goethego na czele i Waleryą pani Krüdener, słabą i śmieszną nawet kopią pierwszego, ale w swoim czasie głośną i wielbioną. Że Maryla należała do wielbicielek tego ostatniego romansu, mamy na to wyraźną wskazówkę we fragmentach, które miały, jak się zdaje, wejść w skład pierwszej części *Dziadów*. Dziewczyną, występującą w jednym z tych fragmentów z książką pani Krüdener w ręku, jest nie kto inny, tylko Maryla. Kreśli tam ona obraz swej duszy, który pełnie odpowiada charakterystyce danej nam ez Odyńca. Jest to marzycielka, »zamieszkała

wśród cieniów zmyślonego świata«, która »codzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń, wraca do samotności, do książek i marzeń«, i wzdycha do duszy bliźniej, coby ją pojąć i godnie ukochać umiała.

W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczyźnie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie,
Każdy promień, głos każdy z podobnym spojony,
Harmonią ogłasza przez farby i tony;
Pyłek błądzący śród istot ogromu,
Padnie w końcu na serce bliźniego atomu:
A tylko serce czułe, z dozgonną tęsknotą,
W rodzinie tworów jedno ma zostać sierotą? —
Stwórca mi dał to serce. Choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie:
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi wzlata.

Wprawdzie Mickiewicz podsuwa tu Maryli własną teoryą, własne marzenia, musiała być ona jednak zdolną tych marzeń, kiedy je wkłada w jej usta. Łatwo też odgadnąć, że i teorya promionkowa Zana nie pozostała bez wpływu na Marylę.

Otoczenie rodzinne Maryli nosiło na sobie piętno staroszlacheckiej sfery i wolne było od marzycielskiego nastroju. Rodzina Wereszczaków należała do starych litewsko-ruskich rodów i zajmowała poważne stanowisko w powiecie: ojcie Maryli był marszałkiem, stryj, który miał a

jedenastu synów, podkomorzym nowogrodzkim. Stary marszałek Wereszczaka, który już wówczas nie żył, wodził niegdyś rej na sejmikach i zjazdach, prowadził dom otwarty dla braci szlachty, i umierając, zostawił żonie i dzieciom nadszarpniętą fortunę. Po jego śmierci aż do pełnoletności synów, Michała i Józefa, rządziła majątkiem matka Maryli. Była to kobieta łagodna, bogobojna, dobroczynna, ale zbyt lubiąca towarzystwo, aby się mogła zdobyć na zaprowadzenie oszczędności, jakich wymagało majątkowe położenie rodziny. To też, jak świadczy jej siostrzeniec, »pani Wereszczakowa i jej synowie utrzymywali dwór na dawnej stopie: gości huk, służba wystawna, marszałek dworu, lokaje, stangrety, strzelcy, dojeżdżacze, kosztowne konie; a lada okazya, sejmik, imieniny, fest w kościółku czy w sąsiedniej parafii — to zaprosiny, zjazdy, kielich długi prapradziadów i kochajmy się!«

Starszy z dwóch braci, pan Michał, był, jak się zdaje, trochę dziwakiem. Nie mięszał się do sejmików, nie zajmował się gospodarstwem, ale kochał się w staroświeckich zbrojach, które miał zawieszone na ścianach w zajmowanej przez się oficynie i w swoich tureckich ogierach, którym z rozkoszą przypatrywał się, gdy je oprowadzano o dziedzińcu, ale których nigdy nie używał do jazdy. Znał herbarze na pamięć, lubił rozmawiać o starożytnych rodzinach polskich, ale to mu nie

przeszkadzało zajść do chaty lub przysiąść się na wóz wieśniaka, i z całem zadowoleniem rozmawiać z nim o przedmiotach, dostępnych jego pojęciu. Była w nim mięszanina dumy rodowej i demokratycznego instynktu i ten ostatni zapewne był łącznikiem pomiędzy nim a Zanem.

Młodszy brat, pan Józef, nie odznaczał się jakimiś oryginalnymi gustami i oryginalnem usposobieniem. Zajmował się gospodarstwem, bawił się myślistwem, jeździł na sejmiki i utrzymywał stosunki z bracią szlachtą, która go potem na urząd marszałka wyniosła. Miał jednak przy tem wszystkiem zamiłowanie w literaturze ojczystej i francuskiej; szukał też »pięknych towarzystw i dobrego tonu«.

Maryla w chwili poznania Mickiewicza była już zaręczoną, i sądzę, że okoliczność ta, która później stosunek Adama do Maryli uczyniła tak podobnym do stosunku pomiędzy Werterem a Lottą, że okoliczność ta od pierwszej chwili poznania nie mało dodawała uroku Maryli w oczach poety. Czyniła ją ona dla niego jeszcze bardziej niedosiężną i wywyższała niejako piedestał, na którym ją los postawił, »wynosząc między jasne rody«.

Narzeczonym Maryli był Wawrzyniec Puttkamer. O życiu jego, stosunkach rodzinnych nawet o charakterze mamy dokładne wiadomości, dzięki biografii napisanej przez syna a tak:

wspomnieniom Odyńca i Balińskiego [1]). Wawrzyniec był członkiem zamożnej rodziny wyznania ewangelickiego, która pochodziła z Pomorza. Ojciec jego był szambelanem, a dziad generałem wojsk polskich. Ten ostatni po śmierci matki Wawrzyńca zajmował się przy pomocy starej niańki Gryndzowej wychowaniem swego wnuka. W r. 1810 szesnastoletni Wawrzyniec (urodził się 1794) ukończywszy szkoły w Słucku pojechał na uniwersytet wileński, a w r. 1812 mając już stopień kandydata filozofii, zaciągnął się pod chorągwie Napoleona, naprzód do pułku gwardyi Konopki, który się składał z kwiatu litewskiej młodzieży, potem do lekkiej jazdy cesarskiej pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. Z tym pułkiem odbył całą kampanię 1812 r. i nieszczęśliwą rejteradę. W powrocie z pod Moskwy zajechał do domu i tu zapadł na jakąś ciężką gorączkę, choroba ta jednak nie zdołała go nadługo zatrzymać wdali od grzmotu dział, co się przeniosłszy ze wschodu Europy zaczynał rozlegać na zachodzie. Zaraz po wyzdrowieniu puścił się do księstwa warszawskiego »za bledniejącą gwiazdą Napoleona« i z wielkim trudem i niebezpieczeństwem przeprawił się wśród patroli kozackich

[1]) Biografia napisana przez syna, jest dotąd, o ile mi wiadonie wydana. Na jej podstawie głównie napisał Karol Estreiżyciorys Puttkamera: W. Puttkamer. Lwów, 1880.

przez Niemen. Było to w zimie; panowały straszliwe mrozy. Młodemu jeźdzcowi ręce i nogi krzepły tak, że musiał zsiąść z konia i biegł koło niego. Ale długo tak trwać nie mogło; już czuł, że siły słabną, i że śmierć mroźna zagląda mu w oczy. Szczęściem przejeżdżający tą drogą w wygodnej budzie inspektor jazdy cesarskiej ulitował się nad młodym wojakiem i wziął go z sobą do Warszawy, gdzie Wawrzyniec połączył się ze swoim pułkiem. Z nim odbył kampanią 1813 r. i był w bitwach pod Bautzen, Lützen i pod Lipskiem. Nad Renem wzięty do niewoli przez Prusaków, zostawał w niej aż do upadku Napoleona, a gdy pułki polskie miały wejść w skład wojska nowego królestwa kongresowego, Wawrzyniec uzyskawszy amnestyą prosił o dymisyą i otrzymał ją ze stopniem porucznika. Powróciwszy do rodziny, osiadł we wsi Unichowie, którą mu ojciec wydzielił, a która leżała w sąsiedztwie Tuhanowicz.

Wysoki, krzepki, dorodny młodzieniec, który złożył dowody wytrwałości i męstwa, wiele widział i wiele przeszedł i umiał to przyjemnie opowiadać; który posiadał dziwnie spokojny charakter i słodki humor i którego serce i wyobraźnia łatwo się otwierały dla wszystkiego co piękne i szlachetne, młodzieniec przytem majętny i z domu który gdyby chciał, mógłby mitry hrabiowskie używać — młodzieniec taki mógł się łatwo po

dobać pannom. Nic też dziwnego, że się podobał Maryli, w której domu, jako sąsiad bywał. Ale czy był ową duszą bliźnią, do której dziewczyna z *Dziadów* wzdycha? Nie, marzycielem Puttkamer nie był, choć miał serce gorące; był to umysł praktyczny, jasny, spokojny. Kochał jednakże Marylę szczerze, jak kwiatek wonny, świecący rosą uczuć i marzeń, i umiał się z tym kwiatkiem tak delikatnie obchodzić, że rosy tej z niego nie strząsał i niczem sobie ani narzeczonej, ani żony potem nie zrażał.

Jakimże się Mickiewicz wydał Maryli przy jej narzeczonym? Młodzik jeszcze, o rok ledwie starszy od niej, o cztery lata młodszy od pana Lorenca (tak nazywała Maryla Puttkamera), nie tak pokaźnej jak tamten postawy, który mało widział na świecie, mało znał świata i nie doznał silniejszych wrażeń w życiu, ubogi, nieśmiały, nie mógł niczem olśniewać w pierwszej chwili. Ale od Zana dowiedziała się zapewne niebawem Maryla, że jego przyjaciel większym jest od niego poetą, najwięcej obiecującym ze wszystkich młodych kapłanów Apollina. Była to dla Maryli, jak łatwo zrozumiemy znając jej charakter, rekomendacya wielkiego znaczenia. Przytem zachowanie się młodego poety, w którem się kromność łączyła z godnością, tem lepiej usposabiało dla niego, a kiedy uważniej spojrzała Maryla w ciemne, marzące oczy Adama, odkryła

w nich, przeczuła raczej, głębie uczucia i fantazyi, które się w nich taiły, a które wraz z nazwiskiem poety otoczyły w jej oczach młodzieńca niezwykłym urokiem. Adam wydał się jej bez wątpienia o wiele poetyczniejszym od pana Lorenca, daleko zdolniejszym do odegrania roli Gustawa z romansu pani Krüdener, to jest do tego, aby umrzeć z miłości dla kochanki. Nie daremnie dziewczyna z *Dziadów* zazdrości bohaterce pani Krüdener:

> Waleryo! Ty przecie z pomiędzy ziemianek
> Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,
> O którym inna próżno całe życie marzy,
> Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy.

Na podstawie tego, co już wiemy o dworze Wereszczaków, a także na podstawie skazówek rozrzuconych czy to w poezyi Adama, czy po różnych listach i wspomnieniach, możnaby w części przynajmniej odtworzyć życie naszych przyjaciół w tym domu, ich zabawy i rozrywki. Ponieważ panna była wykształcona i oczytana, a młodzi przyjaciele byli studentami i poetami, musiała tu więc, przynajmniej w ich szczuplejszem gronie, kwitnąć rozmowa o poezyi, o literaturze, o sztuce, przygłuszana gwarnem życiem nawpół szlacheckiego, nawpół pańskiego dworu.

Być może także, że tu się kształciła teoryj promionkowa Zana. Odbywano przechadzki w pol

wycieczki nocne na jeziora, używano przejażdżki konnej, (wiemy przynajmniej, że Maryla będąc zamężną, lubiła jazdę konną) robiono myśliwskie wyprawy, z których Adam nie wracał zapewne tryumfatorem (błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy, i t. d.). W domu, prócz innych rozrywek, grywano w warcaby. Byłaż to ulubiona gra Maryli? Nie wiem, to pewna, że nieraz grywał z nią w tę grę Mickiewicz, a wrażenia swoje, jakich przy tej grze doznawał, w tych oto wierszach wypowiedział:

O, ty! dla której tajne me zapały,
Której imię pomyśleć staję się za śmiały:
Tobie spokojność moją gdym przegrał w warcaby,
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby! —
Nie dziw, żem toczył zawsze mniej szczęśliwe boje:
Tyś patrzyła w warcaby, ja w oblicze twoje;
I wiecznie chcąc je widzieć i tracąc na wieki,
Najdroższego oblicza będąc niedaleki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem w oku.
Alem się nadaremnym nie zdradził zapałem;
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem;
Bo los wynosząc ciebie między jasne rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody!

Najbardziej jednak Maryla musiała czarować dama przy fortepianie. Wiadomo powszechnie, kim miłośnikiem muzyki był Adam, i że ją wyżej stawiał od poezyi i innych sztuk pięknych,

Maryla zaś zapewne grała i śpiewała nieźle i głos miała przyjemny, skoro Gustaw woła w *Dziadach* w uniesieniu:

Gdyby przytem jej głosek i dźwięk fortepianu!

Wolno się domyślać, że marzycielskie usposobienie Maryli najpiękniej wyrażało się w śpiewie i w muzyce, zdolnej właśnie odwzorować najmniej jasne uczucia, najbardziej mgliste marzenia. Dlatego to przedewszystkiem musiał być tak czarującym dla Adama śpiew Maryli. Maryla miała nawet zdolności kompozytorskie. Czeczot, który wzorem Niemcewicza napisał śpiewy historyczne o sławnych Polkach (rękopis do dziś niewydany znajduje się u p. Wł. Mickiewicza) i chciał mieć do nich muzykę, zwracał się do Maryli z prośbą o dorobienie muzyki do niektórych (Radziwiłłówna, Rzepiclła, Aldona [1]). Nie wiemy, czy ją dorobiła, ale wiemy z listów samej Maryli, pisanych niedługo po wyjściu zamąż, że komponowała inne utwory, starała się przelać w nie swoje uczucia i odwzajemnić się niejako Mickiewiczowi za jego poezyą, ku niej zwróconą [2]).

Jak się rozwijała i jak rosła miłość Adama dla Maryli? Do pełnego przedstawienia rozwoju tego uczucia, brak mi dostatecznych wskazówek.

---

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot A. Mick. T. I, str. XX.

[2]) Tamże, str. 75.

To pewna, że nie od razu rozpaliła ona jego serce do tego żaru, jaki płonie w *Dziadach*, nie od razu »umarł w nim Godfred i Jan Trzeci«, nie od razu »przestał go budzić ze snu tryumf Milcyada«, nie od razu stała się Maryla »wszystkich spraw jego chęci, myśli panią«, jakby to można było wnioskować z *Dziadów*. Rad jestem, że znajduję tu sposobność powiedzieć, iż nie można brać tego poematu we wszystkich szczegółach za pamiętnik miłości poety. Prawdziwemi, rzeczywistemi są uczucia, które się wulkanicznie przelały w ten poemat, ale w ich rozmiarach, kolei, czasie, dekoracyi, w tysiącznych szczegółach ich przedstawienia, prawda i poetyczne zmyślenie tak ściśle są z sobą skojarzone, że chcąc korzystać z jakiejś biograficznej wskazówki, zawartej w tym pamiętniku uczuć poety, potrzeba się koniecznie przekonać przedtem o jej zgodności z innemi świadectwami. Tak n. p. możnaby wnioskować z *Dziadów*, że Mickiewicz poznał Marylę, będąc jeszcze uczniem szkół nowogródzkich. (Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci; Tam gdy ją przy chorągwi proroka ujrzałem i t. d.) a tymczasem, jak już wiemy, poznanie to nastąpiło dopiero w czasach wileńskich Mickiewicza.

Że obraz Maryli nie od razu pochłonął wszyste uczucia, myśli i chęci Adama, najlepszym »wodem tego jest filarecka jego poezya, o której

niebawem będzie mowa. W każdym razie z poznaniem Maryli znalazł nasz poeta nowy a wdzięczny przedmiot dla swej muzy, albo raczej znalazł model żywy, podług którego mógł wcielać i kształtować rozmaite ideały poetyczne, jakie się w fantazyi jego niejasno jeszcze rysowały.

Jeżeli Karyla jest utworem Mickiewicza, to w niej poraz pierwszy służyła Maryla za taki model poecie. Mówiłem już o tej powiastce, o jej wartości estetycznej, o tem, jak słabe zawiera w sobie wskazówki autorstwa Mickiewicza: tu miejsce wymienić te wskazówki. Karylla podobnie jak Wereszczakówna jest majętna, jej kochanek Sario ubogi, jak Adam. Jak ręka Maryli nie była wolną, gdy ją poznał Mickiewicz, tak i ręka Karylli była przez braci przyrzeczona niejakiemu Kledowi. Oto i wszystko. Co się tyczy niechęci i tajonej złości, jaką bracia Karylli żywią dla Saria, co w tej powiastce jest główną sprężyną intrygi, to z tego, co wiemy o rodzinnem otoczeniu Maryli, trudno wnioskować, o ile coś analogicznego mogło zachodzić w Tuhanowiczach. Domejko powiada, że Adam był powszechnie kochany przez całą rodzinę Wereszczaków, szczególnie lubiła go pani Marszałkowa i Michał, ale Domejko nigdy nie widział Adama w Tuhanowiczach, bo wówczas właśnie, zostając na opie u stryja, był od tych stron oddalony. Że b tam — zapewne później, kiedy się miłość po

wyraźnie objawiła — niechętni dla niego i że między nimi musieli być bardzo bliscy Maryli, świadczy o tem kilka strof z *Upiora:*

Ktoś inny myślał, że — obrażam ciebie,
Uwłaczam jego rodowitej dumie —
Przecież ulegał grzeczności potrzebie,
Udawał, że nie rozumie.

Lecz i jam dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem,
Mówiłem gwałtem — a gdy odpowiadał,
Udałem, że nie rozumiem.

Ale kto nie mógł darować mi grzechu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,
Niechętne lica gwałci do uśmiechu,
I litość kłamie oczyma;

Takiemu tylko nigdym nie przebaczył! —
Wszakże skargami nigdym ust nie zmazał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał.

W każdym razie w pierwszych dwóch latach po poznaniu się poety z Marylą, miłość jego bujała na skrzydłach jakiejś nieokreślonej nadziei. Przedział wprawdzie pomiędzy ubogim studentem a dziedziczką Tuhanowicz był wielki, nieręci i przeszkód do zwalczenia wiele, ale młody ieta mógł się pocieszać nadzieją, że silna miść wzajemna największe trudności zdoła poko-

nać i obalić. A w Maryli widział Mickiewicz ową duszę bliźnią, przez Boga umyślnie dlań stworzoną, połowę jabłka rajskiego, odciętą przed wiekami i szukającą swej drugiej połowy.

Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Podstawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkiem, to samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.

Prawda, nie składała Maryla przysiąg, nie robiła obietnic, nie wabiła uśmiechem, nawet dwuznacznem słówkiem nie dawała mu nadziei.

Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?

Ale czyż potrzeba słów, uśmiechów, przysiąg i obietnic, ażeby zrozumieć duszę bliźnią? Wszak najpiękniej, podług teoryi Zana, najwymowniej, najbezpośredniej przemawia dusza promieniami świecącymi w oczach, a sięgającymi wprost do serca drugiej istoty!

Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy:
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.
Całą istnością połączeni ścisło,
Spojrzawszy tylko na twarzy źwierciadło,

Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika
I napowrót błyszczy w oku.

Ta wzajemność Maryli, o której poeta roił, byłaż złudzeniem czy rzeczywistością? Była potroszę i tem owem. Że go nie kochała tak, jak pragnął, jak marzył, dowiodła tego oddając rękę komu innemu, ale to pewna, że uczuć jego nie przyjmowała obojętnie, że i owszem wywołały one w jej sercu żywe echo. Poświadczają to Odyniec i Domejko, poświadczają to i późniejsze listy samej Maryli, z którymi w następnym spotkamy się okresie, ale i bez tych świadectw trudnoby przypuścić, aby poeta mógł tak daleko zajść w miłości, nie znajdując ku temu żadnej zachęty ze strony ukochanej. Była więc wzajemność może miarkowana, powściągana, wyrażająca się więcej we wzroku, w uścisku ręki, niż w słowach, ale była, a tego dość było dla poety, aby się dać kołysać z dnia na dzień słodkim choć nieokreślonym i niepewnym nadziejom i aby zachować zapał dla wysokich celów ogólnych, a także lekkość i swobodę humoru, jakie się w niejednym utworze jego z tej doby objawiają.

III.

Zwrot ku romantyzmowi. — Wpływ dzieła pani de Stael: »O Niemczech«. — Rozprawa Brodzińskiego »O klasyczności i romantyczności«. — Odpowiedź Śniadeckiego. — »Uwagi nad poezyą i wymową« Borowskiego. — Samodzielność Zana. — Pobudka do pisania ballad.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dzięki Filomatom zaczęło się w Wilnie rozwijać życie koleżeńskie i ciepłem swojem ogrzewać duszę Mickiewicza, i kiedy w sercu jego zaczęła się budzić, w pączku niejako jeszcze zawarta miłość dla Maryli — mniej więcej w tym samym czasie zaszła zmiana w jego pojęciach estetycznych ukazały się przed nim nowe wzory poezyi i pociągnęły go w nowy świat obrazów, uczuć i pojęć, obcy dotąd poezyi polskiej — w świat romantyczny.

W dotychczasowej poezyi polskiej uczucie i fantazya nie objawiały się samoistnie. Serc ludzkie nie spowiadało się swoim własnym językiem ze swoich cierpień, pragnień i zachwy

tów, jakiekolwiek one były, ale szukało dla ich wyrażenia utartych form retorycznych, które jedynie godnemi poezyi się wydawały. Tam gdzie wyjątkowo szczerze się wypowiadało, nie dosięgało nigdy wyższego stopnia siły: fala uczuć Kochanowskiego nie wspięła się nigdy wyżej nad łagodny smutek lub spokojną wdzięczność dla Stwórcy. Fantazya nie tworzyła nic samoistnie, ale obracała się wciąż w zamkniętem kole greckich mytów, pożyczając stamtąd gotowych, po tysiąc razy powtórzonych obrazów i porównań. Tylko te rodzaje poezyi, których rozsądek jest duszą, mianowicie bajki i satyry, nosiły piętno pewnej oryginalności.

Nowe wzory przybyły z Niemiec. Już od siedmdziesięciu lat, od czasów wystąpienia Klopstocka i Lessinga, którzy zrzucili jarzmo francuskiego pseudoklasycyzmu, przygniatające narodowego ducha niemieckiego, rozwijała się obok nas, miedzą tylko oddzielona, bogata i oryginalna literatura. Fantazya i uczucie, które w naszej poezyi i służącej nam za wzór wówczas francuskiej, skrępowane były niewolniczością form, tam używając pełnej swobody, stworzyły cały szereg utworów pełnych mocy, świeżości i oryginalności. Podczas gdy u nas myśl nie wybiegała nidy wyżej nad sferę zdrowego rozsądku, tam rzebiegała śmiało i samodzielnie wszystkie zaadki życia ludzkiego i wszechświata, a jakkol-

wiek w bujaniu swojem gubiła się czasem w obłokach, nadawała poezyi niemieckiej nieznaną nam dotąd głębokość.

A przecież ta świetna literatura, tak bliska nam geograficznie, przez tyle dziesiątków lat nie wywierała na naszą żadnego wpływu. Nie tylko nie korzystaliśmy z niej, ale nie wiedzieliśmy nawet o jej istnieniu. Przyczyny tego dobrze znane i łatwe do zrozumienia. Kiedy się w Niemczech rozpoczynał zwrot ku narodowej poezyi, my byliśmy pogrążeni jeszcze w obskurantyzmie i lenistwie umysłowem czasów saskich i poziom nasz umysłowy tak był niski, że z niego dojrzeć nawet nie mogliśmy tej wysokości, na której stał Lessing, cóż dopiero głos jego dosłyszeć i zrozumieć. Był to, rzecby można, za mądry dla nas nauczyciel, przeciwnie od tych, przeciw którym on kazał, mogliśmy się łatwiej nauczyć tego, czego przedewszystkiem nam brakło: porządku w myślach, czystości w języku, jasności w poglądach. To też mniej więcej około tego czasu kiedy w Niemczech rozpoczął się zwrot przeciw francuszczyźnie, my poszliśmy na naukę do Francuzów, a ponieważ tyle węzłów łączyło nas z Francyą, więc wpływ francuski utrwalił się na długo i przeżył nawet upadek Napoleona. Że zaś Francuzi w uwielbieniu własnej literatury, n chcieli nic wiedzieć o niemieckiej i pogardliw

ją traktowali, więc i my prawie nic o niej nie wiedzieliśmy i nie dopytywaliśmy się o nią.

Potrzeba było dopiero francuskiej rekomendacyi, abyśmy zwrócili uwagę na bogactwo sąsiedniej literatury. Tą rekomendacyą była książka pani de Staël »O Niemczech«. Napisana jasno, przystępnie, zajmująco, wybornie wtajemniczała ona w kierunek ducha niemieckiego, składała cześć głośną jego zaletom, odkrywała skarby literatury niemieckiej, a jakkolwiek przeznaczona głównie dla Francuzów, stała się i dla nas, ich satellitów w literaturze, nadzwyczaj ważnym drogoskazem. Ukazała się ona w r. 1813, a już w trzy lata potem zjawia się rozprawa polska napisana przez Jana Samuela Kaulfussa, rektora, liceum poznańskiego, a członka warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, której sam tytuł określa już kierunek: »Dla czego język i literatura niemiecka zdolniejszemi są do ukształcenia rozumu i serca, niż język i literatura francuska?« Począwszy od tegoż roku (1816), Pamiętnik warszawski zaczyna drukować przekłady ballad i innych poezyi Schillera (Nurek, Kassandra, Godność niewiast, Marzenia, Duma o dzwonie, wcale dobry w porównaniu z późniejszymi przekład J. Mieroszewskiego, Podział ziemi), wreszcie w roku 818 ukazuje się w tym Pamiętniku rozprawa rodzińskiego »O klasyczności i romantyczności«

i niejako zagaja długi spór klasyków polskich z romantykami.

Tym sposobem podniosła się zasłona, która zakrywała przed oczyma naszemi nowożytną literaturę niemiecką, tak obszerną i bogatą. Widok odsłonił się ogromny i zupełnie nowy, i dla tego trudno nam było od razu rozpatrzeć się w nim, rozpoznać jego szczegóły, zauważyć zachodzące pomiędzy częściami jego różnice. To, co Niemcy wytwarzali u siebie kolejno w przeciągu wielu dziesiątków lat, doszło nas w jednym czasie. Była to właśnie chwila największego wybujania romantyzmu w poezyi niemieckiej, i to dało pochop zwolennikom dawnego kierunku poezyi, że zasłyszawszy coś o tej wybujałości, a nie znając literatury niemieckiej, lub znając ją ledwie z brzegu, całą nowoczesną poezyą Niemców piętnowali, jako jednakowo wybujałą, jednakowo romantyczną.

Jeżeli starsi byli przerażeni nowym widokiem, w którym nie mieli ochoty rozpatrzeć się, dla młodszych, których pojęcia nie skrzepły i nie zesztywniały jeszcze w formach francuskiego klasycyzmu, których serca pełne były zapału i dla których każda nowość była ponętną — widok ten miał nieprzeparty urok. Zamiast nużącej monotonii klasycznej, znaleźli oni tutaj rozkoszną rozmaitość, zamiast niewolniczości form — swobodę fantazyi, zamiast nadętej retoryczności i ckli-

wej sielankowej czułości — szczery i gorący wylew uczucia.

Takim się romantyzm wydał i Mickiewiczowi. Jednakże i w młodych, i w Mickiewiczu, który już występował jako poeta klasyczny, to przeobrażenie pojęć nie mogło nastąpić w jednej chwili, już choćby dla tego, że ów widok ponętny, o którym mówiłem nie mógł się odsłonić od razu. Rozmaite wpływy przygotowały w nim to przeobrażenie.

Czy książkę pani de Staël, która napełniała wówczas swoją sławą Europę, czytał Mickiewicz, będąc jeszcze studentem? nie wiemy; prawdopodobnie jednak była mu wcześnie znana, przynajmniej z wyjątków umieszczanych w pismach wileńskich. Drobne te wyjątki, luźnie rzucone, może nie wywarły nań wielkiego wpływu, ale nie mogła nie wywołać w nim silnego wrażenia rozprawa Brodzińskiego »O klasyczności i romantyczności«. Trudno przypuścić, aby młody poeta, którego ta rozprawa tak żywo powinna była obchodzić, nie czytał jej prędko po jej ukazaniu się i aby kwestye w niej roztrząsane nie zmusiły go do zastanawiania się nad niemi.

Zadaniem tej rozprawy było rozwiązać pytanie, jaką drogę ma obrać współczesna poezya polska wobec nowych wzorów, jakie się przed nią ukazały: czy trzymać się dawnego toru klasycznego, czy puścić się nowym szlakiem roman-

tycznym. Określiwszy znaczenie klasyczności i romantyczności (tę ostatnią brał w najszerszem znaczeniu, jakie kiedykolwiek jej nadawano) i przedstawiwszy je w dziejowym rozwoju, wykazywał korzyści i niebezpieczeństwa każdej z tych dwóch dróg i nie zalecał żadnej z nich wyłącznie, ale radził obrać drogę pośrednią. »Nie bądźmy, jak Francuzi, pisał, niewolnikami przepisów, ażeby się coś naturze zostało; nie bądźmy jak Niemcy, zuchwałymi ich przestępcami, ażeby naturze służyły sztuka i prawa rozsądku. Poezya powinna być, jak kamień drogi, który mając wartość swoją wewnętrzną, przez polor i sztukę nabiera jej jeszcze i dla oka powabniejszym się staje. Wewnętrzne poezyi zalety, uczucia i wyobraźni, osobliwie zaś dążenia filozoficznego, widzimy w Niemcach; zewnętrzne, gustu i poloru mamy we Francuzach: powinnibyśmy obiedwie połączyć«. Ale łącząc zalety poezyi obcych narodów, poezya nasza nie ma być echem cudzoziemskiej, ale powinna być narodową, powinna snuć nić swoją z dziejów i wspomnień narodu. »Cudowne losy naszej krainy są wielkiem polem dla poezyi. Romantycznością naszą są nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła; smutne grody, w których nasi królowie przemieszkiwali, a do których murów teraz wieśniacy strzechy swoje przytykają; stolica, gdzie teraz na od dzielonej ziemi śpi tylu naszych rycerzy; mogił

przodków, które po niwach naszych wszędzie napotykamy« [1]).

Nie występował tedy Brodziński w tej rozprawie wyraźnie, jako apostoł romantyzmu, ostrzegał przed wyuzdaniem wyobraźni, do którego doprowadził romantyzm w Niemczech, długo rozwodził się nad tem, czego z romantyzmu brać nie powinniśmy, a przecież przez samo zestawienie dwóch kierunków: klasycznego francuskiego i romantycznego niemieckiego i wykazanie ich stron ujemnych i dodatnich zachwiewał mocno świątynią panującego smaku. Bo jeżeli francuska poezya miała tylko zalety zewnętrzne, a romantyczna niemiecka wewnętrzne, to jużci okazywało się z tego zestawienia, że Polacy daleko ważniejsze rzeczy mają do wzięcia z romantycznego kierunku, niż do zachowania z klasycznego. Wypowiada ten wniosek częściowo sam Brodziński, mianowicie tam, gdzie mówi o pieśniach ludu, jako o podstawie poezyi romantycznej i wogóle każdej prawdziwej. »Jeżeli jest powinnością poety w oświeconym wieku szanować gust powszechny, jeżeli pamiętać będzie, że przepisy sztuki nie są wymysłem, ale że je rozsądek z natury wyczerpał, że te równie przeto jak natura każdemu za wskazówkę służyć po-
inny; świętszym nierównie jest jego

[1]) Dzieła K. Brodzińskiego. Wilno. 1842. T. V, str. 126.

obowiązkiem, czerpać z pieśni ludu, jako z natury, charakter i obyczaje narodu«. Stamtąd czerpali Homer, Tasso i Szekspir, i »niezawodną jest rzeczą, że pieśni ludu są źródłem najpiękniejszej poezyi i że sztuka robiąca z nich całość, uwiecznia zarazem i charakter narodu i jego oświecenie... Na pieśniach ludu ugruntowała się poezya Greków, Anglików, do nich wrócili Niemcy«. A jeżeli niektórzy z tych ostatnich niesmacznie i przesadnie podrzeźniają zabobonom ludu, to Goethe, Schiller i Bürger dali przykład, jak można szczęśliwie z ludowych podań i pieśni korzystać.

Rozprawa Brodzińskiego tem większe mogła obudzać w Wilnie zajęcie, że tu właśnie wywołała odpowiedź, której autorem, jak wiadomo, był Jan Śniadecki [1]). Uczony ten, kierowany zresztą szlachetnemi pobudkami uchronienia młodzieży od niebezpieczeństwa, jakie podług niego groziło jej w odstępstwie od dawnych wzorów, zabrał się tu do sądzenia o rzeczach, których nie znał i na których się nie znał. Umysł logicznie tylko wykształcony cenił w poezyi jasność, gładkość, rozsądek, a dla ocenienia tego, co stanowi właściwą istotę poezyi, dla ocenienia siły uczucia i bogactwa fantazyi nie miał wcale zmysłu. To też w czambuł potępiał całą nową poezyą

[1]) Dziennik Wileński 1819 ze stycznia.

niemiecką, jako romantyczną, a romantycznem w jego pojęciu było wszystko to, co wykraczało przeciw prawidłom, »które dla Francuzów Boileau, dla Polaków Dmóchowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy«. Bez wątpienia ze stanowiska rozsądku można było wiele słusznych zarzutów zrobić temu kierunkowi romantycznemu, jaki zapanował w Niemczech na początku 19 wieku, ale Śniadecki stosował swoje zarzuty nie tylko do tego kierunku, ale do wszystkiego, cokolwiek się w nowożytnej poezyi różniło od pseudo-klasycyzmu francuskiego, i tak n. p. dramata Szekspira, któremu zresztą przyznawał geniusz, nazywał »rodzajem złym, i zamiarom sceny przeciwnym«, bo »gdzie jedno czucie osłabia i zaciera drugie, żadne wrażenie, ostać się długo nie może: i zdaje się, że autor, co jedną ręką napisał, to drugą maże«. Najmocniej występował przeciw czarom i duchom, których niezaprzeczenie do zbytku i do znudzenia wprowadzała ówczesna niemiecka, a potem za nią i nasza polska poezya, ale zarzuty swoje uzasadniał w sposób, dowodzący wielkiej płytkości w pojmowaniu poezyi. »Wprowadzają dziś na scenę schadzki czarownic, ich gusła i wieszczby, duchów chodzących i upiorów, rozmowy djabłów aniołów i t. d. Cóż tu w tem nowego i dowcipnego? wszystkie baby wiedzą dawno o tych nięknościach i mówią o nich ze śmiechem po-

gardy. Te niedołężności i brednie przywołane z wieków grubiaństwa, łatwowierności i zabobonu, mogąż bawić i uczyć w ośmnastym i dziewiętnastym wieku, nietylko ludzi dobrze wychowanych, ale nawet nieokrzesane pospólstwo?« W końcu uderzywszy przy okazyi na metafizykę niemiecką i mesmeryzm, który nie bez pewnej racyi kojarzył z romantyzmem, wzywał rodaków, aby trzymali się rozsądku, słuchali nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze, prawideł Bakona w naukach obserwacyi i doświadczenia, a uciekali od romantyczności »jako od szkoły zdrady i zarazy«.

Odpowiedź Śniadeckiego, niefortunna o ile była oceną poezyi romantycznej, wybornym zresztą stylem napisana, znalazła surową odprawę w *Pamiętniku Warszawskim* (sierpień 1819). Bezimienny jej autor, wyznając się zwolennikiem pośredniej drogi, wskazanej przez Brodzińskiego, gorąco bronił romantyzmu, godząc w uczonego astronoma argumentami, z jego własnej dziedziny czerpanemi. »Szukanie nowych dróg w naukach, sądzi autor być rzeczą dla nich szkodliwą. Godziłoż się z tak zuchwałym paradoksem wyjechać! Tyle innych zbijających ją dowodów ominąwszy, powiem tylko: że po dziś dzień jeszcze w naszem rozumieniu około ziemi obracałoby si słońce i inne ciała niebieskie, gdyby nie był szukał Kopernik nowej w astronomii drogi«. Wy

kazywał dalej ów bezimienny, że Śniadecki wydając wyrok potępiający literaturę romantyczną, nie znał jej wcale, i dowodził, jak mylne jest zdanie tych, którzy twierdzą, że jedno tylko nietrzymanie się prawideł stanowi różnicę romantyczności od klasyczności. Niektóre uwagi tej odprawy, jak n. p. ta, że »chcieć wyśmiewać romantyczność jest to chcieć wyśmiewać charakter narodowy« przeszły do rozprawy Mickiewicza »O romantyczności«, drukowanej na wstępie do pierwszego wydania jego poezyi.

Łatwo sobie wyobrazić, jak ta polemika musiała zajmować Mickiewicza i grono jego najbliższych przyjaciół, i jak wiele wpłynęła na zmianę ich pojęć. Oprócz tego dalszego wpływu, były inne bliższe. Czy znajomość niektórych arcydzieł Szekspira — które Mickiewicz miał sposobność poznać już w pierwszych latach studenckich na scenie wileńskiej — a które, jak wiemy, były okropnie przerobione i tłómaczone a licho przedstawiane, — czy ta znajomość wzięła jakikolwiek udział w przygotowaniu poety do zmiany kierunku w poezyi? nie śmiem w tym względzie nic przypuszczać. Zaznaczam tylko, że brytanomania, podług własnego świadectwa poety, nastąpiła w nim dopiero po germanomanii, to jest e dwa, trzy lata potem, i że dopiero wtedy ciął się on »z dykcyonarzem w ręku przez zekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba

przez uszko od igiełki«. Za to wydaje mi się uzasadnionem przypuszczenie, że już wykłady Borowskiego powoli, nieznacznie przygotowywały młodego poetę do zmiany wyobrażeń. Wprawdzie w rozmowach swoich z Odyńcem, w podróży do Włoch, powiedział Mickiewicz, że Borowskiemu zawdzięcza przedewszystkiem wyrobienie formy i języka, »bo co do treści i kierunku, on mu nowej drogi nie wskazał« [1]), ale słów tych nie można brać za zupełne wykluczenie wszelkiego wpływu Borowskiego na zmianę pojęć w naszym poecie. Bez wątpienia za mało miał Borowski fantazyi, inicyatywy i pewności siebie, aby mógł śmiało i wyraźnie jakiś nowy kierunek ukazać swoim uczniom i pociągnąć ich w tym kierunku, ale zato obdarzony był szlachetnym smakiem artystycznym, umiał godnie ocenić piękność w każdej poezyi, w jakiejkolwiek szacie stawała ona przed nim i otwierał na nią oczy swoich słuchaczy. Umiał się też poznać na bezduszności i konwencyonalności poezyi francuskiej, która kierowała smakiem ówczesnym i dostarczała wzorów naszym rymotwórcom i zapewne nie taił tego przed swymi uczniami.

Wspominałem już w pierwszej części tego studyum o rozprawie Borowskiego p. t. »Uwagi nad poezyą i wymową pod względem ich podo-

[1]) Listy z podróży I, 352—353.

bieństwa i różnicy«. Rozprawę tę, napisaną w celu otrzymania profesorskiego stopnia (do 1821 roku Borowski zajmował katedrę poezyi i wymowy jako adjunkt) drukował autor dopiero w 1820 r., to jest kiedy Mickiewicz przestał już być jego słuchaczem, ale poglądy w niej wyrażone nie mogły się jednego dnia urodzić w autorze i musiały przeświecać w wykładach jego przynajmniej w ostatnich paru latach przed wydrukowaniem rozprawy. Złożywszy należny hołd Grekom i Rzymianom i powiedziawszy, że stali się oni dla nas na zawsze nauczycielami poezyi i wymowy, ośmiela się Borowski w dalszym ciągu dodać, że »jeżeli nowoczesny talent nie dochodzi w osobnych dziełach greckiej prawdy, przyrodzenia, lekkości, klasycznego dokonania i czystej piękności, nie można mu wszakże zaprzeczyć wyższego stopnia filozofii, głębszej znajomości serca ludzkiego, szlachetniejszych poruszeń i całej rozmaitości przedmiotów, któremi się myśl człowieka przez ciąg tylu wieków w żywszym lub opieszalszym postępie nieprzerwanie wzbogacała«. Mówiąc o poezyi francuskiej wyraźnie powiada, że klasyczna szkoła smaku, która z powagą prawodawców opisała wyrazy szlachetne, nieszlachetne i gminne, podciągnęła pod nieodmienne przepisy tok mowy, nic nie zostawiła talentowi pisarza, jego woli i śmiałości, nader szkodliwy wpływ wywarła na poezyą. »Zbyt geome-

tryczny porządek myśli i wyobrażeń uwięził swobodne skrzydła imaginacyi, ograniczył bystrość natchnienia i zniósł panowanie myśli nad mową«. Boileau, główny prawodawca smaku »bez imaginacyi i śmiałości talentu, która dodaje śmiałości myślom, siły i prawdy uczuciom, która z językiem walczy, aż się doskonale wysłowi, mało ważył w poemacie żywość namiętności, moc i wysokość myśli, śmiałość obrazów, dobitność i piorun słowa«, to też w końcu samo piękne wysłowienie ogłoszone zostało za jedyny przymiot poezyi. O poezyi angielskiej i niemieckiej krótkie tu tylko znajdują się wzmianki, ale z nich widać, że Borowski stawił wyżej poezyą tych narodów od francuskiej, szczególnie zaś w ludowej poezyi angielskiej cenił prawdę, moc i głębokość uczucia.

Nic dziwnego, że człowiek dobrze znający i umiejący cenić literaturę europejską, porównywając ją z własną, widział ubóstwo tej ostatniej i brak samoistnego w niej ducha. W tym względzie daleko śmielej przemawia Borowski od Brodzińskiego. »Za rządów ostatnich Jagiellonów i pod panowaniem Stanisława Augusta dał się uczuć smak zdrowszy w narodzie, lubo go sumiennie narodowym nazwać nie można...« »W pierwszej i drugiej epoce, ogólnie mówiąc, więcej widać przyrodzonych sposobności, jak umiejętnego ich kształcenia, więcej zamiaru, jak skutku

więcej naśladowania, jak dzieł własnych...« »Zdania niekiedy powtarzane, że literatura nasza ma już dość i nadto poetów w porównaniu z prozatorami, nie zdają się na ścisłej prawdzie oparte, chybaby kto poezyą chciał nazywać całą ćmę nudnych rymów, któremi wiek Zygmunta i dzisiejszy jest zarzucony«. Nie ośmielał się wprawdzie Borowski występować przeciw uznanym i uwielbionym w poezyi wielkościom i uznawał »liryczną bujność i zapał Naruszewicza, świetny, wesoły dowcip Krasickiego, łatwość, wdzięk, czułość, niekiedy górność w pieśniach Kniaziewicza i Karpińskiego; słodycz i miękkość Szymanowskiego«, ale zaraz potem dodawał, że »jeżeli pragniemy szczycić się poezyą prawdziwie godną tego nazwiska, nie możemy rzec śmiało, że już nam dosyć na tem co mamy«.

Czuć w tych słowach pragnienie nowej poezyi, poezyi narodowej, ale źródeł jej nie wskazywał tak wyraźnie Borowski, jak to uczynił świeżo przedtem Brodziński w swojej rozprawie »O klasyczności i romantyczności«. W jednem tylko miejscu znajduje się słaba, niemniej przeto godna uwagi wskazówka w tym kierunku. Mówiąc o obrzędach pogańskich polskich i litewskich, Borowski przypuszcza, że obrzędom tym »warzyszyły pieśni i żałuje, że dotychczas czeają na zbieracza i rozeznawcę, a dalej tak mówi: »dybyśmy chcieli być troskliwszymi, niż do-

tąd, o ich wyszukanie, nie tylkobyśmy głębiej zdołali przeniknąć właściwy poetycki sposób myślenia i czucia przodków naszych, najwyraźniejszy zwyczajnie przed oświeceniem i pismem, lecz możeby się odkryły starożytne powieści, dumy religijne i historyczne podania, godne iść w porównanie z pięknemi balladami angielskiemi i poezyą trubadurów. Dotąd gdyśmy tego nie uczynili, wolimy się niedbale stosować do naszego wieku, w którym światło filozofii spędziło błogi urok poezyi i na wzór innych narodów usiłujemy śpiewać dla czystego rozsądku«.

Na podstawie przytoczonych ustępów wolno, sądzę, przypuszczać, że jeżeli Borowski nie wskazał Mickiewiczowi nowych dróg w poezyi, to przynajmniej usposobił go do wejścia na nie, chociażby tylko swoją krytyką francuskiego smaku.

I w gronie najbliższych przyjaciół Mickiewicza był człowiek, który podług własnych zwierzeń poety, przyczynił się wiele do skierowania jego muzy na nowe drogi, a to w ten sposób, że pobudził go do zastanawiania się nad brakiem szczerości i prawdy we współczesnem rymotwórstwie polskiem. Człowiekiem tym był Zan. Mieliśmy już dowody na to, że był obdarzony duchem inicyatywy i samodzielnością myśli, i ktoby chciał lepiej tę samodzielność poznać, nie przeczyta jego listy, pisywane w kilka lat

źniej z Orenburga, a zadziwi go tam głębokość poglądów Zana, widocznie własną pracą ducha, zdobytych. Otóż i w wierszach, które pisywał Zan, będąc studentem, i które na zebraniach koleżeńskich czytywał, objawiała się ta samodzielność jego ducha. Nie obierał on sobie tematów, które otwierały pole dla szumnych popisów retorycznych, ale czerpał je z codziennych stosunków, z powszedniej rzeczywistości, w której wbrew panującemu smakowi umiał dopatrzeć poezyi.

Mickiewicz z początku lekceważył te wiersze »nie widząc w nich ani sztuki, ani wypracowania; aż nakoniec razu jednego p. Tomasz napisał elegię na odjazd jednej ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok, w niedzielę i święta, spotykał się na obiadach w domu wspólnych przyjaciół, gdzie już zazwyczaj razem resztę dnia przepędzali. Treścią tej elegii było zwłaszcza wspomnienie wspólnych gier i zabaw towarzyskich, w tonie raczej wesołym niż tkliwym, ale jednak tak delikatnie wydającym rzewne i głębsze uczucie, że Mickiewicz, który, jak sam powiada, nie sądził, »aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi«, raz pierwszy rócił myśl i uwagę nietylko już »na szukanie awdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie«. A właśnie natenczas, chodząc już na wydział

filologiczny, uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku, więc i we wszystkich tych arcydziełach w obu tych językach zaczął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą i nieśmiertelność są winne. Homer i Göthe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami; elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni« [1]).

Hasło rzucone przez Brodzińskiego, że pieśni ludu są najbogatszem źródłem poezyi, stało się hasłem naszych młodych poetów. Rzucili się oni do pieśni i podań ludowych, jako do zaklętych skarbów poezyi narodowej. Tę rudę złotą potrzeba było przetopić i przelać w odpowiednią kunsztowną formę; taką formę podawała poezya romantyczna w balladzie. Ze wszystkich ballad najwcześniej musiały być znane naszym poetom ballady Szyllera, jeżeli nie skądinąd, to z *Pamiętnika Warszawskiego*, jednakże nie one pierwsze, jak świadczy Odyniec w swoich listach, miały pobudzić ich do chwycenia się tej formy. Zachęciła ich do tego naprzód sławna »*Lenora*« Bürgera, którą im w naśladowaniu rosyjskiem Żukowskiego p. t. *Ludmiła* wydeklamował pewnego razu znajomy ich, młody Czerniawski, syn pro

[1]) Listy z podróży I, 356.

fesora literatury rosyjskiej w uniwersytecie wileńskim. W istocie wobec tej ballady, pełnej grozy i tajemniczości, będącej niejako wcieleniem balladowego ducha, blademi, albo rozwlekłemi się wydają ballady Szyllera i łatwo zrozumieć, dlaczego ta ballada dopiero pobudziła młodzieńców do próbowania sił w tym rodzaju poezyi. Byli oni zachwyceni *Ludmiłą*, i zaraz nazajutrz na jej wzór napisał Zan balladę *Nerys* czy też *Nerynę*, a w parę dni potem drugą, p. t. *Świteź*.

Odtąd niemczyzna zaczęła iść w górę w gronie naszych młodych poetów, Göthe i Schiller stali się najulubieńszą lekturą Mickiewicza, i ten już w r. 1822 mógł pisać do Malewskiego, że ze wszystkich dzieł Göthego, tylko *Reinecke Fuchs* nie jest mu znany i to dlatego jedynie, że go nie miał skąd dostać. W porównaniu z nową poezyą, którą wciągał w siebie, rozpoczęty przezeń poemat heroi-komiczny p. t. *Kartofla*, wydał mu się zapewne robotą niedołężną, bez poetycznego ducha, zaniechał więc jej, aby zacząć tworzyć podług nowych wzorów. Że jednak ta twórczość przypada, jeżeli nie całkowicie to przynajmniej w znacznie większej części na czasy profesorskie Mickiewicza, musimy więc przed jej rozważaniem przypatrzyć się nowym warunkom życia, w jakich się znalazł Mickiewicz, zostawszy profesorem w Kownie.

IV.

Mickiewicz mianowany nauczycielem w Kownie. — Szkoła kowieńska i jej nauczyciele. — Samotność poety. — Dolina kowieńska. — Wycieczki do Wilna.

Nadeszła chwila dla młodego poety, kiedy swobodę życia uniwersyteckiego musiał zamienić na żmudną pracę nauczycielskiego zawodu. Z końcem roku szkolnego 1818/19, ukończył Mickiewicz czteroletni kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem kandydata filozofii i jako kandydat stanu nauczycielskiego, pozostający na koszcie rządowym, winien był przyjąć posadę nauczycielską, jaką się władzy szkolnej podobało mu wyznaczyć.

Najwyższą władzę szkolną w prowincyach litewsko-ruskich piastował książę Adam Czartoryski, kurator naukowego okręgu. Ale była to władza dozorująca, kierująca wychowaniem, pośrednicząca pomiędzy rządem petersburskim a kra-

jem; w toku spraw codziennych, jak n. p. w mianowaniu nauczycieli, tem mniej książę Adam mógł brać udziału, że zajęty różnorodnemi sprawami, tak publicznemi, jak domowemi, rzadko gościł w Wilnie i tylko zdaleka rozciągał opiekę nad poruczonym sobie okręgiem. Nominacye zatem nauczycielskie zależały głównie od rektora uniwersytetu, jako właściwego naczelnika władz szkolnych w okręgu i przydanego mu do pomocy komitetu szkolnego, który się składał z profesorów bliżej obeznanych tak z pedagogią, jak i ze stanem szkół ówczesnych. Rektorem od 1816 roku był, jak wiemy, Szymon Malewski, w skład zaś komitetu szkolnego w r. 1819 ze znanych nam osób wchodzili: Jędrzej Śniadecki, Jundziłł, Kazimierz Kontrym, Leon Borowski, wreszcie profesor August Becu, Budziłowicz, dyrektor szkół gubernii wileńskiej, i adjunkt uniwersytetu Żukowski.

Mickiewicza zamianowano nauczycielem literatury, historyi i prawa w powiatowej szkole kowieńskiej. Wiemy już, czem się różniły szkoły powiatowe od gimnazyów, świeckie od zakonnych. Szkoła kowieńska, do której wysyłano Mickiewicza, była powiatową świecką szkołą, utwotworzoną w r. 1807 na miejscu dawnej, utrzymynej przez Franciszkanów. Skład jej nauczycieli roku, poprzedzającym przybycie Mickiewicza Kowna, był następujący. Dozorcą t. j. dyre-

ktorem szkoły, był Szymon Ławrynowicz, doktor filozofii i radca nadworny. Fizyki, matematyki i języka francuskiego uczył Józef Nieławicki, magister filozofii; literatury, historyi i prawa Stanisław Dobrowolski, magister filozofii; gramatyki łacińsko polskiej i języka rosyjskiego Bartłomiej Abrahamowicz, kollegialny sekretarz; arytmetyki, geografii i moralności Ignacy Krukowski, magister filozofii. Zastępcą nauczyciela rysunków był Jakób Lenzi; kapelanem ks. Franciszek Sidorowicz, kanonik brzeski [1]).

W następnym 1819 roku, zawakowała posada dozorcy. Otrzymał ją dotychczasowy nauczyciel literatury historyi i prawa, Stanisław Dobrowolski, na jego zaś miejsce wysłano Mickiewicza do Kowna.

Przybywszy do Kowna, znalazł się Mickiewicz w zupełnie innej sferze i w zupełnie nowych warunkach życia. Wilno miało ruch i pozór prawie stołeczny; Kowno, za Jagiellonów i Wazów kwitnące, ważny niegdyś punkt handlowy między Niemcami a Litwą, w ośmnastym już wieku znacznie podupadło i na początku XIX-go aż do utworzenia gubernii kowieńskiej (1842) było cichem, nieznacznem miastem. W Wilnie otaczały go życzliwie uśmiechnięte twarze

[1]) Kalendarzyk polityczny na rok 1819 dla wydzialu uniwersytetu wileńskiego. W Wilnie, w drukarni Bazylianów.

kolegów, otaczał go i oblewał ów ruch gorący, jaki się świeżo zbudził w gronie młodzieży uniwersyteckiej — w Kownie uczuł się Adam zupełnie obcym i samotnym. Nikogo tu nie znał, a ci, z którymi miał naprzód zabrać znajomość, koledzy jego po służbie, mało zapewne podobni byli do tych, których miejsce mieli zastąpić, do kolegów wileńskich. Byli to ludzie znacznie starsi od Mickiewicza i zrośnięci z rutyną szkolną, bo prawie wszyscy od dziesięciu lat już uczyli w szkole kowieńskiej [1]).

Gdyby nawet prawdą było, że sława poetycka za pośrednictwem kolegów poprzedziła Mickiewicza, przybywającego do Kowna [2]), to i w takim razie wolno wątpić, czy nowi koledzy umieli się poznać na poezyi Adama. W spisie prenumeratorów na pierwsze dwa tomiki poezyj Adama, z kowieńskich kolegów jego znajduje się tylko nazwisko Nieławickiego; gdy tymczasem w drugiej powiatowej świeckiej szkole gubernii wileńskiej, mianowicie w Krożach, aż sześciu nauczyli złożyło przedpłatę na te poezye. Zdaje się zatem, że z nauczycieli kowieńskich jednego tylko Nieławickiego mogła poezya po-

---

[1]) Patrz kalendarzyk polityczny wileński na rok 1811.

[2]) Utrzymuje tak p. A. B. w korespondencyi z Wilna do *Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych* z r. 1859, Nr. 35.

ciągać ku Adamowi, i że pomiędzy nim tylko a Adamem mogła się z tego powodu wytworzyć jakaś ściślejsza łączność. Sam prefekt czyli dozorca Dobrowolski, o jakie lat trzydzieści starszy od Adama, jakkolwiek we dwadzieścia lat potem, już będąc emerytem, olśniony sławą dawnego swego kolegi, puścił się niebacznie na rymowanie pedagogiczno-moralnych rozpraw, »których pisaniem osładzał sobie tęsknotę starości i bezczynność emerytury« [1]), w czasach przebywania Adama w Kownie zwykł był żartować tylko z poezyi, i mawiał o niej, »że wiatr tylko zasiewa i zbiera«. Był to człowiek uczciwy, dobry, zostawił po sobie jak najlepszą pamięć; dla Adama, jak świadczy Odyniec i inni, z ojcowską był prawie życzliwością i bez wątpienia mógł się wiele przyczynić do osłodzenia poecie przykrych początków nauczycielskiego zawodu, ale nie był człowiekiem, któryby zrozumiał, co grało w sercu młodego poety, przed którym dusza Mickiewicza, w ogóle nieskora do wynurzeń, mogłaby się zwierzać ze swoich cierpień, nadziei i uniesień. Widział on w poecie, przynajmniej w początkach ich wzajemnego stosunku, tylko niepraktycznego, żyjącego fantazyą młodzieńca, niedoświadczonego pedagoga. Znaleźli się potem i w Kownie ludzie, którzy umieli odgadywać potrzeby duszy poet

[1]) Wspomnienia z przeszłości Odyńca, str. 230.

przeczuć geniusz jego, ale w początkach nie było nikogo takiego. Jego, któremu brzmiały jeszcze w uszach pożegnalne wołania kolegów, który czuł jeszcze niemal ciepło ich bratnich uścisków, objęła teraz cicha, chłodna, obojętna sfera.

Praca pedagogiczna, w której nigdy nie smakował Mickiewicz, jak później, tak i w początkach zawodu nauczycielskiego musiała być dla niego wielkim ciężarem. Wiemy, że w roku 1822/23 miał godzin szkolnych tygodniowo dwadzieścia; prawdopodobnie i w pierwszych latach nauczycielstwa niemniej ich mieć musiał. Ale jakkolwiek praca szkolna dużo mu czasu zabierała, dość jednak jeszcze zostawiała na samotne rozmyślania.

Cóż miał robić młody marzyciel z wolnemi od pracy godzinami, nie mając koło siebie ani jednej duszy, do którejby mógł przylgnąć i z którąby się mógł podzielić myślami. Szukał samotności i odgradzał się nią od otaczającej sfery, w której dla młodego, gorącego serca i rozmarzonej głowy wszystko było takie chłodne, poziome, bezduszne. To, co pisał później w wierszu *Do samotności*, wybornie da się zastosować do ówczesnego jego usposobienia:

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów;

Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami;
Igram z niemi jak z falami,
Aż ostygły, znużony złożę moje zwłoki
Choć na chwilę w sen głęboki.

Tyś mój żywioł: te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.

Samotność znajdował czy to w swojem mieszkaniu, w posępnych murach pojezuickiego klasztoru, gdzie się i szkoła mieściła, czy też na przechadzkach wśród pięknych okolic Kowna. Kowno leży na prawym brzegu Niemna, w tem miejscu, gdzie się Wilia z nim łączy. »Dolinę, gdzie się miasto rozciąga, skropioną przejrzystemi wodami dwóch najpiękniejszych rzek w Litwie, otaczają w półkole prawie, łańcuchy romantycznych gór, towarzyszących Niemnowi i Wilii. Strome ich pasma, okryte borami, świecą gdzieniegdzie łysym wierzchołkiem z pośród gałęzi sosnowych. Od południa Niemen płucząc prawym brzegiem mury miejskie, lewym obija się o również wysokie, lecz jasną zielonością dębiny lub krzakami czeremchy, berberysu i jarzębiny porosłe wzgórza«[1]).

Jeszcze więcej uroku nadawały tej pięknej okolicy w oczach młodego poety, co wchodził

[1]) Starożytna Polska M. Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego, Tom III, str. 396.

na drogę romantyczną, dalekie bohaterskie wspomnienia z czasów morderczych walk między Krzyżakami a Litwą. Sterczały jeszcze ruiny zamku kowieńskiego, który za czasów Gedymina, Olgierda i Witołda tyle razy wyrywany był sobie nawzajem przez Krzyżaków i Litwinów. Tutaj to Krzyżacy pod dowództwem Winrycha Kniprode, zdobywszy ten zamek w Wielką Sobotę, wśród ogni pożaru, na zwaliskach krwią zlanych i zasłanych trupami, śpiewali rezurekcyjną pieśń miłości i pokoju: »Chrystus zmartwychwstał!« Pod murami tego zamku rozkładał się Konrad Wallenrod, gdy pociągnięty przez Witołda szedł z mieczem przeciw Jagielle i tu wyprawiał ową sławną ucztę, która miała kosztować pięćset tysięcy srebrnych grzywien pruskich. Wiele innych historycznych wspomnień budziły te zwaliska, jednakże nie one były celem najulubieńszych przechadzek Mickiewicza. Z całej okolicy najbardziej go wabiła owa dolina, której sławę uwiecznił w poezyi i która odtąd nosi jego imię, dolina, o której Litawor mówi w *Grażynie:*

Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.

Odyniec, który zwiedzał tę okolicę w r. 1823,

powiada, że trudnoby wprawdzie zgodzić się z Litaworem, że jest to dolina najpiękniejsza w świecie, jednakże jako miejsce samotnej przechadzki mogła być w istocie rozkoszną. Był to wtedy »smug niezbyt szeroki, pomiędzy pasmem lekkich wzgórz z obu stron, porosły na pochyłościach gajem drzew liściastych, a przerżnięty w głębi strumieniem, który ocieniony po brzegach poziomemi krzakami wierzby czy łozy, płynął z szumem środkiem zielonej i kwiecistej łąki... Droga wąska szła dołem nad brzegiem strumienia, albo się nad nim wspinała na wzgórze, aby znowu zejść na dolinę. W połowie drogi ogromny kamień, ocieniony kilku drzewami, służył za miłe miejsce odpoczynku«. Był to zapewne ten sam kamień i te same drzewa, o których Wallenrod wspomina w rozmowie z Aldoną:

Kamień, pamiętasz, ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły —
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem...
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami...
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził...

Gdy z tych pięknych przechadzek wracał do swego mieszkania, i tu samotność go otaczał Czytał, marzył i pisał naprzemian; samotnoś jakkolwiek tęsknotą napawała mu serce, sprz

jała jego muzie, zachęcała do przelewania uczuć i myśli na papier. Mały obrazek takich chwil samotnych dał nam poeta w wierszu swoim: *Do przyjaciół*, który napisał, posyłając im balladę *To lubię*.

Bije raz, dwa, trzy — już północna pora!
Głuche w około zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztora,
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno — Nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze —
Ileż mi słodkich chwilek przypomina;
Precz — to już znikło na zawsze!

Teraz ja szczęścia szukam — ot w tej księdze.
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę: aż tylko po ścienie
Biega cień własnej postaci.

Ot, lepiej pióro wezmę i śród ciszy
Gdy się bez ładu myśl plącze,

Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem, czy skończę.

Młodemu poecie, który tylko cień własny miał za towarzysza, o ileż droższemi wydawały się z daleka postacie kochanki i braci! Jakże tęsknił do chwili, w którejby mógł oglądać, jeżeli nie kochankę, to przynajmniej kolegów, w których towarzystwie dusza jego, krzepnąca w chłodnej atmosferze szkolnych zatrudnień, mogłaby się ożywić, rozjaśnić i otworzyć. To też łatwo sobie wyobrazić, z jakiem upragnieniem czekał chwil takich i z jaką radością jechał do Wilna, jak tylko się nastręczała sposobność.

Kowno oddalone jest od Wilna o mil czternaście, a więc, przynajmniej dla jadących pocztą, tylko o jeden dzień drogi. Skoro więc nadchodziły jakieś święta z dłuższą przerwą nauki szkolnej lub wakacye letnie, Mickiewicz zjawiał się w Wilnie, a każdy jego przyjazd, powiada Domejko, był uroczystością dla kolegów. Urządzano na cześć jego w ściślejszem gronie przyjaciół uczty, na których bawiono się doskonale, często do białego rana. Pietraszkiewicz, urządzający owe uczty, zostawał w dobrych stosunkach z rządcą pałacu generała Paca, a ponieważ generał mieszkał stale w Warszawie, rządca jego pozwalał kolegom Pietraszkiewicza zgromadzać się w nać zwyczajnych razach w pokojach generała i ow uczty tam się najczęściej odbywały.

Z zestawienia różnych świadectw wnioskuję, że już na najbliższe święta Bożego Narodzenia (1819) przyjechał nasz poeta do Wilna [1]), i tu mu zaraz wyprawiono ucztę z podwójnego tytułu: jako drogiemu gościowi i jako solenizantowi, dzień Wigilii bowiem był zarazem dniem imienin i urodzin Adama. Mianowicie Domejko w swojem wspomnieniu o Filomatach i Filaretach powiada, że pamięta »jakby to dziś się stało«, że na jedne ze swoich imienin przywiózł Mickiewicz z Kowna pieśń swoję »Hej użyjmy żywota«. Otóż nie mogło to być w innym roku, jak 1819, bo już na wiosnę 1820 roku Odyniec, będąc na majówce Promienistych jeszcze jako uczeń szkół boruńskich, słyszał tę pieśń śpiewaną i właśnie przy tej sposobności po raz pierwszy obiły się o jego uszy imię i rosnąca w gronie kolegów sława Mickiewicza.

Domejko, któremu się ta pierwsza uczta, wyprawiona dla kowieńskiego gościa, tak silnie wraziła w pamięć, przechował nam niektóre z niej szczegóły. Wiemy od niego, że Zan witał solenizanta wierszem i również wierszem zdawał mu sprawę z czynności i życia Filomatów, a potem śpiewał swój tryolet, który już znamy: »Wróć Feli spokojność moję«. Czeczot ułożył dla Mi-

[1]) Przerwa w nauce szkolnej z powodu świąt Bożego Narodzenia trwała od 23 grudnia do Nowego Roku.

ckiewicza powinszowanie na wzór białoruskich ludowych pieśni, w białoruskiem narzeczu, i śpiewał ją na nutę ludową. Piosnka ta, pełna naiwnego wdzięku, brzmiała:

Ach sztoż my waszeci skażem,
Prastyje z siela dzieuczata,
Jakiejeż piaśnieczki zwiażem;
U nas myśl niebahata, u nas myśl niebahata.
Ale jak myślim, jak czujem,
Tak tabie zaśpiewajem,
Tak tabie pawinszujem;
Nieszczyrości nie znajem, nieszczyrości nie znajem.

Lisiczka żouty hrybok,
Slimaczkow nie baićca,
Nie toczyć jeja czerwiaczok,
On u lesie zdarou błyszczyćca, on u lesie zdarou błyszczyćca.

Konik po polu dureje,
On kopy wozić i hrajeć;
Saławiej charaszo pieje,
Samiczku k'sobie sklikajeć, samiczku k'sobie sklikajeć.

Budź jak lisiczka zdarowy,
Jak konik wiesieł pry trudzie;
Niech twaje pieśni i mowy
Jak saławja hołos budzie, jak saławja hołos budzie [1]).

---

[1]) Porówn. Domejki Wspomnienia o Filomatach i Filaretach z Żywotem i Korespondencyą Tomasza Zana. Kraków 1863, str. 82. Echo tej piosnki odzywa się w *Panu Tadeuszu:*

Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa: bo czerw' ich nie zjada
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.

Pan Onufry (Pietraszkiewicz), główny organizator uczty, nie będąc biegłym w rymach, uczcił solenizanta zastosowanym do okoliczności transparentem. Właściwa uczta składała się z herbaty i różnych do niej przekąsek i łakoci, ale zjawił się i węgrzyn, jakby wywołany przez Mickiewicza przywiezioną przezeń wtedy pieśnią:

Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas!

węgrzyn, rzadki gość na ucztach koleżeńskich, które zwykle, według świadectwa Odyńca, oprócz mleka i herbaty dopuszczały z innych napojów co najwyżej miód kowieński i butelkę porteru dla Mickiewicza, gdy ten był obecnym.

Następnego, 1820 roku, wybierał się również Mickiewicz na Boże Narodzenie do Wilna i to tak wcześnie, aby być na obchodzie imienin Zana, które przypadały 21 grudnia. Miały być one uroczyście obchodzone przez błękitne t. j. literackie grono Filaretów, które z rady samegoż Mickiewicza miało odegrać napisaną przed paru laty przez solenizanta studencką krotofilę p. t. »Gryczane pierożki«. Ale stan zdrowia i silne mrozy nie pozwoliły mu wówczas przyjechać i uroczystość odbyła się bez niego [1]). Podług Kaczkowego, miał on w tych czasach, t. j. przy końcu

[1]) Odyniec. Wspomnienia z przeszłości, 160.

1820 lub na początku 1821 roku dłuższy czas przebywać w Wilnie jakoby sprowadzony tam przez kolegów, niespokojnych o jego zdrowie [1]), jednakże wiadomość ta nie zgadza się ze świadectwem Odyńca, który od wakacyi 1820 roku był już studentem wileńskim i znając już ze sławy Mickiewicza, niecierpliwie czekał sposobności osobistego poznania jego. Otóż sposobności tej doczekał się Odyniec, jak sam świadczy, dopiero na Zielone Świątki 1821 r., w którym to czasie Mickiewicz zjechał na cały tydzień do Wilna.

»Na drugi dzień Zielonych Świątek, pisze Odyniec, gotowała się wielka filarecka feta. Wszyscy chcieli okazać dowód czci, miłości i wdzięczności dla tego, który wszystkich w jedność połączył (t. j. dla Zana). Za godło tego hołdu uchwalono pierścień złoty z napisem: »Przyjaźń zasłudze«, a wręczycielem jego w imieniu wszystkich miał być właśnie Mickiewicz, który na dzień ten zapowiedział swój przyjazd... W dniu tym o godzinie 9 tej rano wszystkie grona zebrały się w kościele św. Jana na mszę, którą celebrował ks. Lwowicz... O czwartej popołudniu wszyscy już mieli się zebrać w miejscu wskazanem za miastem. Miejsce to było za Markuciami w górach; podłużny, prostokątny śliczny

[1]) Kaczkowski, Wspomnienia. T. I, 98.

gaik brzozowy śród poła stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarośla służyły mu za bufet i miały podobieństwo koczowiska cyganów. W okrąg wielkiego ogniska, gdzie się nastawiały samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkiem i czarnych wysokich garnków z kwaśnem, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych również jak mleko z pobliskich wsi okolicznych. Wyznaczeni gospodarze, z tytułem stolników, zajmowali się wyłącznie materyalną częścią biesiady; atoli część jej duchowa była główną dla wszystkich. O czwartej, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu i tylko na Mickiewicza czekano. Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniej, nie mógł przyjechać pierwej, jak o czwartej. Malewski oczekiwał na poczcie, aby go prosto stamtąd przywieść na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie i mnie Czeczot kazał iść z sobą. Ujrzeliśmy wnet drążki pędzące czwałem i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu, na znak, że wiezie pożądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością; droga okrążała ją kołem. Drążki zatrzymały się u stóp pochyłości i obaj przybyli, bez drogi, wspinali się prosto pod górę, gdzieśmy stali,

czekając na nich. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma«.

Wdarłszy się na górę, Mickiewicz rzucił się w objęcia kolegów i długo ściskał się z Czeczotem i Zanem. Po przywitaniach nastąpiło wręczenie pierścienia. »Adam przemówił z natchnienia, ale prozą, wymieniając nie szereg zasług, ale naturę wpływu Zana na braci i spodziewane stąd na przyszłość owoce. Zaszczyt wyboru siebie na oddawcę pierścienia przypisał jedynie temu, iż wszystkim wiadomo o tem, jak on go szczerze i serdecznie kocha«. Poważne to przemówienie wywołało uroczysty nastrój: ale nie trwał on długo. Frejent i Kułakowski, rozweselający zwykle zgromadzenia koleżeńskie swojemi dowcipnemi jambami, i tym razem sprowadzili wnet nastrój uroczysty do tonu wesoło-żartobliwego. »Kułakowski wystąpił z wieńcem z liści dębowych i chcąc go niby włożyć na skronie jubilata, obyczajem trefnisia przy tryumfalnych niegdyś obchodach w Rzymie, w wesołym żartobliwym jambie wyliczył cały szereg wad jego: zbyteczną pobłażliwość i słabość dla drugich, niepoznanie wartości własnej i t. p. Ofiarował zaś wieniec w tym celu, aby jak Cezar łysinę, pokrył nim słuszny wstyd za nie. Jamb ten dał hasło wesołości ogólnej, manifestującej się w rć żny sposób, przy odgłosie choralnych pieśn i akompaniamencie fletu Frejenta, który w końcu

zagłuszyły słowiki, gdyśmy już w nocy przez lasy po księżycu wracali do miasta. Nie mam zda się potrzeby dodawać, mówi dalej Odyniec, że dla mnie — a i nietylko dla mnie, lecz i dla wszystkich młodszych błękitnych kolegów, którzy go dotąd tylko z poezyi znali — Adam był jakby słońcem biesiady, ku któremu grawitowali wszyscy« [1]).

O ileż posępniejszemi musiały się poecie wydawać klasztorne mury szkoły kowieńskiej, gdy wracał do nich, o ile głębszą samotność, która go tam otaczała po gwarnem życiu wileńskiem. A jednakże samotność ta, jak dla innych geniuszów, tak i dla Mickiewicza była pożyteczną towarzyszką. W niej skupiały się myśli, klarowały się uczucia, zaczerpnięte z wileńskiego ogniska; ona jak się zdaje wykołysała niemal wszystkie jego utwory pierwszej doby poetyckiej, to jest poezyą filarecką i ballady.

[1]) Odyniec. Wspomnienia z przeszłości 183—190. Według zeznań Jankowskiego obchodzono wtedy rocznicę elekcyi prezydenta Zana, a Mickiewicz ofiarowując pierścień stalowy przemawiał nie prozą, ale wierszem. Archiwum do dziejów literat. i oświaty IX, 180.

V.

Wpływ życia filareckiego na poetę. — Jego poezya filarecka: Hej radością oczy błysną«, »Hej użyjmy żywota«, »Toasty«, »Oda do młodości«. — Porównanie ducha filareckiego z szubrawskim.

Czasy filareckie były najważniejszym okresem w życiu Mickiewicza, nie dlatego, żeby on w tym okresie miał tworzyć największe arcydzieła, ale dlatego, że one nadały kierunek jego uczuciom i jego poezyi na całe życie. Filarecka poezya, nad którą mamy się teraz zastanowić, jest tylko jakby przegrywką do całej niemal działalności jego poetyckiej, do całego jego życia. W tej poezyi wpływ życia filareckiego najwidoczniejszy, najbezpośredniejszy, wytryska z niej ono gorącym, żywym strumieniem, ale nie zamyka się w niej bynajmniej. Czujemy wpływ jego we wszystkich niemal późniejszych utworach poetycznych Mickiewicza, w jego prelekcyach paryskich, w jego religijnych i politycz

nych pragnieniach, dążeniach i złudzeniach, w całem jego życiu skołatanem.

Bez tych wrażeń i uczuć, jakiemi duszę jego napoiło życie filareckie, Mickiewicz nie umiałby za milion cierpieć i kochać, nie mógłby zostać autorem *Konrada Wallenroda*, trzeciej części *Dziadów*, nawet *Pana Tadeusza*. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie zakosztowawszy życia filareckiego Mickiewicz nie byłby zdolny stworzyć epopei, podobnej treścią do *Pana Tadeusza* i równie znakomitej pod względem artystycznym; tylko to, że nie mógłby tchnąć w nią tego gorącego ducha miłości kraju, jaki ją ogrzewa, a który w szczególnych cechach swoich jest czysto filareckim. Ta miłość kraju niezaprawna tam jest goryczą stronniczych niechęci, niezabarwiona bengalskiem światłem chorobliwej, trawiącej się w sobie wyobraźni, jak u Słowackiego i Krasińskiego; ale świeci, grzeje słonecznie, obejmuje przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu, kojarząc je w imię tego, co jest w każdej z nich szlachetnem i dobrem, i jak słońce, które grzejąc i świecąc dla wszystkich, zdaje się nawoływać ludzi do zgody i miłości, tak i ona nawołuje do jedności i braterstwa, w którem się roztopić muszą i zniknąć wszystkie przesądy katowe, wszystkie uprzedzenia i nienawiści stronicze, jak mgły poziome w promieniach słońca.

Skądże zaczerpnął poeta tej słonecznej miło-

ści, jeżeli nie z filareckiego życia i nie ze stosunków, które po niem pozostały? Jużciż nie z otoczenia cudzoziemskiego, w którem zmuszony był potem przez długie lata pozostawać, ani z tej sfery, która bezpośrednio otaczała poetę wtedy, gdy pisał *Pana Tadeusza*, sfery, z której wynosił tylko »uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów«. Wrażenia dzieciństwa i młodości filareckiej złożyły się na tę budowę, ale gdy wrażeniom dzieciństwa zawdzięczał poeta świeżość barw i wyrazistość rysów, młodość filarecka tchnęła weń owę miłość narodu.

Mógłżeby poeta tak ukochać naród, jak ukochał, gdyby był w młodości innym żywiołem otoczony, gdyby nie miał takich kolegów, jak Zan i Czeczot, i gdyby nie był tak przez nich kochany? Jestem pewny, że nie. Poznał on w gronie otaczającej go młodzieży to, co było najszlachetniejsze i najpiękniejsze w narodzie, i dlatego tak mocno ukochał naród i tak głęboko uwierzył w jego przyszłość.

Do filareckiej poezyi, przez którą rozumiem utwory Mickiewicza, odnoszące się do stosunków koleżeńskich, oprócz wiersza: *Już się z pogodnych niebios*, którego ocenę dałem już wyżej, a który nietylko formą, ale i duchem stanowc: różni się od innych wierszy filareckich, nale: następujące utwory: *Hej radością oczy błysn*

Hej użyjmy żywota (pieśń zwana filarecką), *Oda do młodości* i *Cztery toasty*. Wszystkie cztery pieśni napisane były pomiędzy 1819 a 1822 r. i to w takim porządku chronologicznym, w jakim tu są wymienione. Pierwsza śpiewana na pierwszaj majówce Promienistych 6 maja 1820, napisana była zapewne, sądząc z formy, znacznie wcześniej. Drugą — podług wspomnień Domejki — napisał Mickiewicz w Kownie pod koniec 1819 i przywiózł z sobą do Wilna na Boże Narodzenie tego roku. Wiersz *Toasty* według daty umieszczonej w wydaniu zbiorowem 1844, pod okiem poety dokonanem, napisany był w Kownie 1822. Zapewne przed *Toastami* jeszcze powstała *Oda do młodości*. Do tego przypuszczenia skłania okoliczność, że Oda jest już cytowana w IVej części *Dziadów* i świadectwo samego Mickiewicza, że napisana była w Kownie przed pierwszem wydaniem poęzyi [1]).

Pieśń *Hej radością oczy błysną* nie była drukowana za życia poety. Po raz pierwszy ogłoszona przez Zdanowicza w »Pamiętniku o Filomatach i Filaretach« nie odrazu uznaną została powszechnie za utwór Mickiewicza i dopiero od r. 1885 zaczęto ją wciągać do zbiorowych wydań jego poezyj. Świadectwa Zana i Odyńca nie

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot Ad. Mickiewicza. T. I, str. 53.

pozostawiają wątpliwości, że jest ona utworem Mickiewicza [1]).

Pieśń ta stanowi jakby przejście od maniery klasycznej do tego swobodnego lotu poetyckiego, jakim się odznaczają późniejsze utwory filareckie. Uczucie w niej szczerze tętni, uczucie miłości koleżeńskiej i młodzieńczego zachwytu dla świętych haseł: »ojczyzna, nauka i cnota«, ale nie umie się ono jeszcze wyrażać samoistnie, w wyrażeniu jego jest coś z sielankowego tonu, z mlecznej muzy śpiewaka Justyny, którego liryzm Mickiewicz, jak wiadomo, wysoko cenił.

Zupełnie innym tonem odznacza się wiersz,

---

[1]) Autorstwu Mickiewicza zdaje się przeczyć zeznanie Józefa Chodźki, zawarte w procesie Filaretów. Józef Chodźko, który piastował jeden z wyższych urzędów filareckich i wychowywał się pod opieką Zana w Wilnie, tak pisze w swojem zeznaniu: »Śpiewano pospolicie na biesiadach imieninowych pieśń Tomasza Zana, ułożoną na pierwszą jeszcze majówkę, wystawującą korzyści ze wspólnego połączenia się wynikłe«. (Archiwum do dziejów literatury i oświaty VI, 313). Ale inne ważniejsze świadectwo stanowczo rozstrzyga kwestyę autorstwa na stronę Mickiewicza. Wdowa po Tomaszu Zanie posiada *Śpiewnik filarecki*, który razem z mężem ułożyła w r. 1855 i gdzie Zan własnoręcznie porobił objaśniające dodatki. Otóż w liście swoim do p. Juliana Horoszkiewicza, ogłoszonym w Pamiętniku Tow. im. Ad. Mickiewicza 1880 (140—142) podaje ona taki własnoręczny dopisek męża: »Hej radością oczy błysną« Adama Mickiewicza, podana do konkursu miłośnikom cnoty w Wilnie, muzyka Sukulskiego, ze śpiewów Franc-Maçońskich, tamże«.

zwany pieśnią Filaretów. Panuje w nim wesołość i żartobliwość, zabarwiająca zwykle, jak to wiemy, filareckie pogadanki, a nawet pewna hulaszczość, bardziej odpowiednia życiu tych, którzy Filaretów nazywali mnichami, niźli życiu samych Filaretów. Przypomnijmy sobie n. p. następujące strofy:

Hej użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz.
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega w koło;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas:
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemię, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Możnaby myśleć, że ludzie, którzy to śpiewali, całe noce trawili na hulankach, że »kwas Bacha« był ich zwyczajnym napojem, gdybyśmy kądinąd niewiedzieli, że tak nie było. Hula-

szczość w tym wierszu była tylko zapędem fantazyi, owocem swobody, jaką fantazya poety uczuwała, wydostawszy się na nowe drogi. Może był w tem trochę wpływ burszowskich pieśni niemieckich; podług przypisku umieszczonego w paryskiem wydaniu pism Mickiewicza z roku 1844, przejrzanem przez samego autora, pierwsza strofa jest naśladownictwem pewnej burszowskiej pieśni niemieckiej. Jest to pieśń zaczynająca się od słów »Geniesst den Reiz des Lebens« po dziś dzień śpiewana przez studentów niemieckich [1]).

Ale pod tym hulaszczym i żartobliwym tonem nurtują poważniejsze myśli i uczucia: tętni miłość kraju, potrzeba ścisłego powiązania nauki z życiem, i ten bujny zapał, ta nieskończona ufność w siłę młodych skrzydeł, rwących się ku szlachetnym celom, która natchnęła potem i *Odę do młodości.*

Oto strofy tętniące owemi uczuciami:

Po co tu obce mowy?
Polski pijemy miód:
Lepszy śpiew narodowy,
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił:

[1]) A. Zipper w Pamiętniku Tow. im. Ad. Mick. 1888 II 16 Melodyą jej, także wziętą z Niemiec, podał Chryzostom Ładz w tymże roczniku Pamiętnika 191—192.

Byś bawił się jak Greki
A jak Rzymianin bił.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stóp.

Dziś gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość.

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył.
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą:
Jedność większa od dwóch.

Dwuwiersz: »Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług podług sił« stał się przedmiotem wielu tłómaczeń i sporów. Jedni tłómaczyli go w ten sposób na prozę: »Jeżeli powziąłeś wielki i szlachetny zamiar, nie oglądaj się na brak sił, nie rachuj ich, znajdą się one same, wywołane elkością przedsięwzięcia« — i uważając go za ówne hasło naszej polityki narodowej ostatnich kilkudziesięciu, natchnionej poezyą roman-

tyczną, surowo wraz z tem hasłem potępiali cały romantyzm [1]). Inni biorąc w obronę romantyczną poezyę, zupełnie inaczej tłómaczyli to hasło: »Ktoś powziął wielki zamiar, ale nie ufa swym siłom, zaczyna więc naprzód od poznania i zgłębienia jego, aby mógł podnieść i zastosować siły swoje do jego wagi i miary«. To ostatnie tłómaczenie jest niemal dosłownie wzięte z Odyńca, który wyraźnie powiada: »Takie to a nie inne znaczenie przywiązywali do słów tej piosenki owi koledzy i przyjaciele autora, co ją kiedyś z nim razem śpiewali« [2]).

W istocie wyrażenie »mierz siłę na zamiary nie zamiar podług sił« jeżeli je wyrwiemy z całości, zdaje się nie mieć innego znaczenia, jak to, które mu nadaje Odyniec; ale jeżeli poszukamy dlań objaśnienia w otaczających je wierszach, to nabiera ono innego znaczenia. Jest tu przeciwstawienie martwej fizycznej siły żywej sile uczucia i apoteoza tej ostatniej. Zimny rachunek rozumowy, cyrkiel, miara i waga, dobre są tam, gdzie wchodzą w grę tylko »martwe bryły«. Siła uczucia nie da się zmierzyć rozumem; jest to potęga, która przy szczupłych środkach ma-

---

[1]) Mam tu głównie na myśli artykuł p. F. K. »Romantyzm i jego skutki«, umieszczony w Ateneum, w zeszycie kwietnym 1876.

[2]) Odpowiedź na artykuł p. F. K. Listy z podróży IV, .

teryalnych zdoła rozsadzić największe przeszkody, bo przy tej sile »jedność większa od dwóch«. A więc »mierz siłę na zamiary«, to znaczy: mniej zważaj na środki materyalne, niż przedewszystkiem na to, czy zamiar, ku któremu zwracasz swe siły, jest wielki i święty, i czy serce twoje jest nim do głębi przejęte.

Zdaje mi się, że z tych strof innej myśli wysnuć nie można. Różni się ona, jak widzimy, od tłómaczenia Odyńca, a zbliża się do tłómaczenia przeciwników romantyzmu. Jeśli ją też zestawimy z charakterem naszych nieszczęśliwych usiłowań politycznych w bieżącem stuleciu, to rzeczywiście okaże się jakby ich hasłem. Czy jednak można z tego powodu robić zarzut poecie i w ogóle romantycznemu kierunkowi, jak to czynią niektórzy przeciwnicy romantyzmu? Sądzę, że nie. Romantyzm był reakcyą przeciw wyłącznemu panowaniu rozumu. Jeżeli przywracając uczuciu należne prawa okazał się jednostronnym, zapędzał się za daleko, to postąpił tak tylko dlatego, że był reakcyą. Każdy nowy kierunek, przychodząc do panowania po walce z dawnym, wpada w tę jednostronność, którą walka wyrabia; potępić go jednak za to nie można. Co się tyczy w szczególności poezyi filakiej, to pisana przez młodego poetę dla młoh towarzyszy, była ona poezyą młodości, lbiła zapał, który ogarniał ich serca, rozsze-

rzał je i dawał im poczucie nadzwyczajnej siły, poczucie właściwe młodości. Wymagać od niej trzeźwego na życie poglądu, który daje doświadczenie, jest to tyle, co szukać dojrzałych owoców na kwitnącem drzewie. Zrobiła ona bardzo wiele dobrego: uszlachetniła serca, zwracając je ku wyższym celom, rozpaliła w nich niewygasłą miłość kraju, a jeżeli wniosła przecenianie sił własnych do polityki, to nie byłoż to raczej winą tych, do których należało tyle doświadczenia i powagi rzucić na drugą szalę, ażeby zapał młodzieńczy nie przeważył tam, gdzie chłodna rozwaga powinna przeważać?

Pieśń Filaretów wydrukowaną została po raz pierwszy p. t. *Anakreontyk* w warszawskim kwartalniku *Motyl* z r. 1828. Opuszczono tu dwie strofy »Mierzący świata drogi« i »Dziś gdy chce ruszać światy«. W »Kuryerze polskim« z r. 1830 (19 stycznia) ukazała się powtórnie w pełnej ilości zwrotek. Nazwisko autora nie było podane, a tytuł jej był taki: *Piosnka w czasie toastu na imieninach, improwizowana przez* . . . Do zbiorowych wydań weszła po raz pierwszy w paryskiem wydaniu 1844. Było to ostatnie zbiorowe wydanie pism poety za jego życia dokonane, i jak już wspomniałem, przez niego przejrzane. Otóż w tem wydaniu pieśń ta liczy tylko strof trzy naście; opuszczono jednę strofę, mianowicie t

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt,
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Wątpię, ażeby poeta miał jakąkolwiek przyczynę do umyślnego wypuszczenia tej strofy. Opuszczenie to było prawdopodobnie skutkiem tego, że poeta nie miał tej pieśni leżącej w tece, ale spisywał ją do druku z pamięci, przytem z pośpiechem, bo już druk czwartego, ostatniego tomu, był zupełnie ukończony, kiedy przyszło na myśl wydawcom i tę pieśń dołączyć. Być może zresztą, że ta strofa dorobiona była później, kiedy filaretyzm zaczął się okrywać tajemnicą; przynajmniej zdają się wskazywać na to dwa ostatnie jej wiersze. Bądź co bądź, pojawia się ona w następnych, pośmiertnych wydaniach pism Mickiewicza, ale umieszczona bynajmniej nie tam, gdzie należy. Gdyby taka omyłka zaszła tylko w jednem wydaniu, nicby to jeszcze nie było dziwnego, ale w istocie rzecz dziwna, że nikt potem nie zwracał na nią uwagi wydawców i że dopiero wydanie warszawskie z r. 1886 błąd ten naprawiło [1]). Żeby zrozumieć, dlaczego strofa ta

[1]) Fatum drukarskie nie przestało prześladować tej strofy i pom; w wydaniu lwowskiem 1893 opuszczono ją znowu, widocznie rzez niedopatrzenie.

powinna zajmować nie to miejsce, które tak długo zajmowała, przypatrzmy się budowie pieśni.

Zaczyna się ona od wstępu, który w dwóch pierwszych strofach jest pobudką do wesołości i używania chwili, w trzeciej potrąca o ton narodowy, jako zasadniczy w życiu filareckiem. Następuje część główna. Żeby zrozumieć jej układ, potrzeba przypomnieć sobie, dla kogo pisał tę pieśń Mickiewicz? Oto dla grona swoich najbliższych przyjaciół, z którymi miał spędzić wesoło pierwsze (od czasu wyjazdu do Kowna) święta Bożego Narodzenia. W tem gronie, jak wiemy, byli filologowie, prawnicy i słuchacze fizyczno-matematycznego wydziału. Poeta, chcąc sprawić uciechę swoim przyjaciołom, do każdego ich fachu przemawia osobno: naprzód do filologów, potem do prawników, potem do chemików, w końcu do matematyków. O medykach nie ma wzmianki, bo medyków nie było w tem gronie Zakończenie składa się z dwóch strof: w pierwszej powtarza się wesoło grzmiąca pobudka do używania chwili i nagle, ale zwrotem pełnym wdzięku, ton wesoły przechodzi w ostatniej strofie w minorowy, przez różowo płonące ognie chwili przegląda szary horyzont wieczności.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń:

To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń [1]).

Otóż wróćmy teraz do owej strofy opuszczonej w wydaniu 1844. Stosuje się ona widocznie do prawników, do adwokatów (»Wymowa wznieść nie zdoła dziś na wolności szczyt« i t. d.) i powinna być zatem umieszczona zaraz po strofie: »Ot tam siedzą prawnicy«. Tymczasem umieszczono ją między dwiema strofami, »Kto metal kwasi, pali« i »Ten się śród mędrców liczy«, które obie odnoszą się do chemików, i tym sposobem popsuto wiersz.

Wiersz *Toasty*, który także w warszawskim *Motylu* 1828 i to p. t. *Cztery toasty Franklina*, po raz pierwszy się ukazał, jest igraszką poetyczną, podobną trochę do Schillera *Punschlied (Vier Elemente innig gesellt* i t. d.) Jest to również płód natchniony filareckiem życiem. Przeprowadzoną jest tu analogia pomiędzy siłami ożywiającemi świat fizyczny a siłami ożywiającemi świat moralny. Światłu odpowiada rozum, nauka; ciepłu — uczucie; magnetyzmowi — pociąg wzajemny ludzi ku sobie, przez który

[1]) Skoro Towarzystwo Filaretów zawiązane zostało dopiero w 1820, a pieśń była już przywieziona do Wilna przed końcem 819, należałoby więc przypuszczać, że ostatnia strofa, w której st mowa o »filareckiej dłoni« została dorobiona później.

tu w szczególności rozumieć potrzeba filarecką przyjaźń.

Pełnych światła i zapału
Często silny wiatr rozniesie;
By ciało zbliżyć ku ciału,
Jest magnes. Wiwat magnesie!

Jeżeli ta przyjaźń braterska połączy dłonie wielu ludzi, wówczas w tem kole wytworzy się siła moralna, odpowiadająca elektryczności w świecie fizycznym.

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki
Przez magnesowaną styczność,
Wówczas z leidejskiej butelki
Palniem: Wiwat elektryczność!

W *Odzie do młodości* duch filarecki wyraził się najwspanialej i najuroczyściej. Nigdzie, w żadnej poezyi na świecie, młodość nie była odmalowana tak bujną, tak piękną i szlachetną, nigdzie nie była wyśpiewaną z takim ogniem, z taką siłą natchnienia, jak w tej odzie. Jeden Szyller może zdolny był podobnie czuć i śpiewać, ale i on w swych *Ideałach* zostawił tylko elegią, ale nie hymn na cześć młodości. Inny utwór Szyllera »An die Freude« zbliża się więcej do naszej ody, jest pełen wzniosłego zapału, ale znać, że to już utwór człowieka, który wiele przecierpiał, wiele doświadczył, poznał trudność

natychmiastową wcielania ideałów w życie i który powołuje miliony nie do pchnięcia bryły z posad świata, ale do mężnego trwania w cierpieniach[1]). U Mickiewicza jest to pierwszy pęd młodości jeszcze niczem nie zrażonej, a rwącej się do idealnych czynów, do uszczęśliwienia ludzkości. Ton ody Mickiewicza, od samego początku potężny, nie słabnie ani na chwilę, i owszem potężnieje niemal z każdym wierszem i z coraz większą siłą uderza o serca. Pieśń ta, to jak bujny potok, który już z czeluści skalnych wybucha szerokim słupem i grzmiącą kryształową kaskadą spada z niepowstrzymaną siłą po urwiskach. To też będzie ona wieczną, jak młodość, i jak długo w sercach młodzieży kwitnąć będą szlachetny zapał i szlachetne złudzenia, tak długo pieśń ta nie przestanie być idealnym obrazem uczuć i dążeń młodzieńczych.

Zapał młodości i doświadczenie starości stanowią wieczne przeciwieństwo. Młodzieniec wykarmiony wzniosłymi ideałami, które ukochał, pragnie je natychmiast w życie wcielić. Widzi on przeszkody, zna je z teoryi, ale czemże są one dla niego wobec sił, które czuje w sobie, wobec gorących strumieni uczucia, co jego serce przebiegają? Są tylko bodźcem do wytężenia sił

---

[1]) Porówn. odczyt Spasowicza o »Konradzie Wallenrodzie« w Pam. Tow. im. Ad. Mick. 1889, III, 126.

wszystkich, obietnicą tem większej sławy. Tymczasem doświadczenie przemawia do niego: szaleńcze, te przeszkody, które ci się z daleka wydają łatwym do zdobycia i obalenia murem, to od wieków napiętrzone skały, o które już tysiące dłoni podobnych twoim krwawiło się daremnie. Porzuć rojenia, pogódź się z życiem, które zastałeś a którego nie odmienisz; patrz na tych, których siwizna pokrywa: oni tak samo, jak ty, roili i tak samo zrywali się do lotu, póki nie zakosztowali cierpkich owoców doświadczenia. Dziś przekonali się, że pomiędzy teoryą a praktyką, między ideałem a życiem niezapełniona przepaść i spokojnie zrzekli się tego, czego osiągnąć nie mogli.

Oda Mickiewicza jest odpowiedzią młodości na ten głos rozumu i doświadczenia. Tak, zrzekliście się rojeń, ale wraz z niemi ulotnił się z was zapał i miłość ideałów; wystygli, umiecie czuć tylko to, co was samych dolega, pochyleni ku ziemi, umiecie dojrzeć tylko to, co was bezpośrednio otacza. Maż się dlatego młodość zrzekać swoich skrzydeł, swojego zapału?

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Z tej wysokości jakąż się wydaje ziemia wobec idealnych rojeń i pragnień młodzieńczych? To »obszar, zalany gnuśności odmętem«, po którem steruje samolubstwo »goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu«. Zamknięte w sobie, jak »płaz w skorupie«, samo celem dla siebie, gdy się o głaz wreszcie rozbije, znika, nie zostawiając po sobie ani żalu, ani pamięci. O ileż wyższą od tych samolubnych pełzaczy czuje się młodość, naturalnie młodość w rodzaju filareckiej:

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Wzbiwszy się wysoko nad ziemię i stamtąd ukazawszy ten obszar, na którym panuje egoizm i rządzi prawo walki o byt, poeta rzuca młodości piorunujące, niezrównanej potęgi wezwanie: kupiwszy siły, złączywszy ramiona, zestrzeliwszy myśli i uczucia w jedno ognisko, na nowe tory

pchnąć bryłę świata, wyrwać ludzkość z kajdan egoizmu, na miejsce prawa walki o byt zatknąć sztandar braterskiej miłości.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł śród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu.

Jest to istny szturm uczucia, w tonie tego ustępu doskonale się wyraża ów stan, w którym uczucie wyklucza albo raczej podbija wszelką rozwagę, a szał instynktem wiedziony staje się rozumnym, przynajmniej o tyle, o ile lunatyzm prowadzący człowieka bez szwanku nad przepaścią. Rozum okazał się bezsilnym w dziele przeobrażenia ludzkości, nie zdołał złamać wszystkich przeszkód do jej uszczęśliwienia, uczucie więc, główna siła młodości, niech złamie to, czego rozum nie złamał.

Zakończenie ody jest przepowiednią zwycięstwa. Jak Bożem »stań się« świat wyszedł z nocy

chaosu, tak ogniem miłości młodzieńczej ludzkość odnowi się

Wyjdzie z zamętu świat ducha
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Tej przepowiedni, o ile odnosiła się do najbliższej przyszłości filareckiego świata, rzeczywistość srogo zaprzeczyła. Ale czyż na marne poszły wszystkie ognie filareckiej młodości? Nie, przelały się one, jak wiemy w poezyą Mickiewicza, a ta stała się najsilniejszą twierdzą narodowości, kopalnią uczucia, zdolnego przez wieki ogrzewać naród, i kiedyś, mam nadzieję, rozszerzyć ciepło swoje i w szersze kręgi.

Oda do młodości nosi na sobie znamię chwili, w której romantyzm ogarnął swoim czarem młodych poetów i te skrzydła, których poeta żąda od młodości, aby mógł wzlecieć nad martwym światem w rajską dziedzinę ułudy, to są skrzydła romantycznej poezyi. Prąd filarecki i prąd romantyczny zlały się w jeden akord, a poczynająca się walka estetyczna pomiędzy starszem a młodszem pokoleniem, pomiędzy przedstawicielami uczucia, była jednym z bodźców do przeciwstawienia starych młodym. W tej strofie:

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy...

tak samo przegląda twarz Sniadeckiego Jana, jak w wierszu »Romantyczność«, gdzie jest mowa o starcu ze szkiełkiem w oku.

Mówiąc o Szubrawcach, powiedziałem o pewnej wierszowanej mowie Szydłowskiego, iż okazuje ona pewne pokrewieństwo z *Odą do młodości*. Znajduję teraz stosowną porę do uzasadnienia i rozjaśnienia tej myśli, rzuconej przedtem ogólnikowo, do czego się tem bardziej czuję obowiązanym, że myśl ta wywołała żywą protestacyą [1]). Pokrewieństwo to tkwi nie w polocie, nie w bogactwie fantazyi, co już i poprzednio zaznaczyłem, nie w apoteozie młodości i uczucia, która jaśnieje w odzie Mickiewicza, a której nie ma u Szydłowskiego, ale w tym duchu bojowym, ufnym w siebie i pewnym zwycięstwa, który ożywia oba te utwory, choć się niejednakowo wspaniale tu i tam wyraża. Ta ufność wypływa z poczucia siły, jaką obaj poeci czerpali ze swego otoczenia, z poczucia wyższości tej sfery, której główny organ poetycki stanowili, nad społeczeństwem, z którego się ta sfera wydzielała. Mickiewicz woła do Filaretów:

> Młodości, orla twych lotów potęga,
> Jako piorun twoje ramię.

---

[1]) Mam tu na myśli artykuł p. t. »Mniemane pokrewieństw wiersza Szydłowskiego z Odą do młodości«, umieszczony w *K ryerze Poznańskim* z r. 1883, Nr. 168.

Szydłowski porównywa szubrawstwo do opoki niezachwianej, o którą się rozbija marna wściekłość żywiołów. Mickiewicz przepowiada zwycięstwo:

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące,
Witaj jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!

U Szydłowskiego jest również przepowiednia zwycięstwa:

Powraca miła pogoda,
A opoka niezachwiana
Widzi, jak wprzód zbuntowana
Stopy jej całuje woda.

A i wróg, z którym toczy się walka, nad którym przepowiedziane zwycięstwo, jest ten sam w jednej i drugiej sferze, w jednej i drugiej odzie: jest nim egoizm. I jeżeli Mickiewicz woła do młodzieży: »W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele«, to i Szydłowski upomina, że nie dość myśleć o pożytku własnym

Ale udzielonych z nieba
Wszystkich zdolności potrzeba
Dla dobra współbraci użyć.

Tyle pokrewieństwa, czy podobieństwa między dwoma tymi utworami. Nie było ono by-

najmniej skutkiem naśladownictwa. Szydłowski nie mógł naśladować *Ody do młodości*, która dopiero w trzy lub cztery lata po jego mowie była napisaną; siła natchnienia zaś, jaka tryska z ody Mickiewicza, nie dopuszcza nawet myśli, aby ten ostatni mógł tu być naśladowcą Szydłowskiego. Pokrewieństwo pomiędzy dwoma tymi utworami wypływało z podobieństwa pomiędzy duchem szubrawskim a filareckim, tak samo jak i różnice w treści, kierunku tych utworów wypływały z różnicy, jaka zachodziła pomiędzy duchem Szubrawców a duchem Filaretów. Sądzę, że nie bez pożytku będzie zestawienie tych sfer i posłuży do tem lepszego zrozumienia filareckiego ducha i samejże *Ody do młodości*.

Szubrawcy byli jeszcze rycerzami ośmnastego wieku, rycerzami rozumu walczącego z przesądami i ciemnotą, reprezentowali ten kierunek, którego patryarchą we Francyi i całej Europie był Voltaire, a najznakomitszym przedstawicielem u nas w ośmnastym wieku Krasicki. Atoli pomiędzy literatami stanisławowskich czasów a Szubrawcami ważna zachodziła różnica na korzyść ostatnich. Tamci mieli przeważnie encyklopedyczne wykształcenie i blask swój zawdzięczali w znacznej części tej protekcyi, jaką ich dwór królewski otaczał; stąd wybitną ich cechą była pewna dworskość, skłonność do frazeologii i do pochlebstwa. Ci, to jest Szubrawcy, byli to po

większej części ludzie gruntownej nauki i tej tylko zawdzięczali i swoje stanowiska i swoje znaczenie; to też cechowała ich samodzielność, trzeźwość i śmiałość. Ale walka, którą prowadzili, była ta sama, to jest z tym samym nieprzyjacielem i tą samą bronią. Walczyli oni z pleśnią staro-szlachecką a orężem była satyra, tylko nie skrojona na wzór Horacyuszowskiej, ale pisana zwykle niewiązaną mową i przybierająca najrozmaitsze formy.

Że Szubrawcy wywarli niemały wpływ na Filaretów, że pomiędzy nimi istniała znaczna wspólność pojęć i sympatyi, to się nie da zaprzeczyć. Szubrawcom przedewszystkiem zawdzięczali Filareci swoje postępowe i liberalne poglądy w dziedzinie społecznej, które się i w poezyi Mickiewicza wyraźnie zarysowały. Za najlepszą wskazówkę łączności pomiędzy dwiema temi sferami może służyć to, że Kontrym, główny protektor młodzieży filareckiej, był zarazem jednym z najczynniejszych organizatorów szubrawstwa. Jan Chodźko, który powierzał swoich synów opiece Zana, był Szubrawcem, zarówno jak i Wawrzyniec Puttkamer, którego łączyły ścisłe stosunki przyjacielskie z Zanem i Czeczotem [1]). Na-

[1]) Puttkamer był tak gorliwym Szubrawcem, że mieszkając Bołciennikach umyślnie pocztą przyjeżdżał do Wilna na każde

reszcie w listach Maryli, adresowanych do Zana, ale przeznaczonych głównie dla Mickiewicza, jest bardzo ciekawy ustęp, z którego wnosić trzeba, że Tomasz Zan umieszczał swoje artykuły w *Brukowych Wiadomościach*. Oto co pisze Maryla: »Wielka była dla mnie surpryza, gdym znalazła rozdziałki Pana Tomasza, umieszczone w *Brukowinkach* (sic) (do których miałam zawsze awersyą), przestałam odtąd deklamować przeciw Szubrawcom i ich Brukowinkom« [1]).

Pomimo łączności, pomimo znacznej wspólności pojęć, między duchem szubrawskim a filareckim zachodziły zasadnicze różnice. Charakter działalności Szubrawców, jako towarzystwa, był, jak to już wcześnie zauważono, więcej krytyczny, niż organiczny. Przedstawiając społeczeństwu ujemne jego strony w śmiesznem świetle, Szubrawcy uczyli je poznawać swoje błędy, wstydzić się swoich przesądów i ciemnoty, czynili modnemi i popularnemi postępowe pojęcia, ale zadowoleni z poczucia swojej wyższości nad sferą staroszlachecką, rzadko wychodzili poza humorystyczną

---

posiedzenie Szubrawców. Tak świadczy syn jego. Rękopis. Bibl. Krak. nr. 3094 i Wawrzyniec Puttkamer przez Karola Estreichera. Lwów 1880, str. 12.

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot Ad. Mick. T. I, str. 92. Syn poe. przypuszcza nawet, że to były rozdziałki samego Mickiewicz ale zdaje mi się, że nie słusznie.

krytykę, która była dla nich zabawą i miłem przepędzeniem czasu. Użyźnić rolę, którą z chwastów oczyszczali, rozgrzać serca, rozbudzić w nich miłość dla ideałów, spotęgować uczucie narodowości, tego Szubrawcy nie byli zdolni dokonać, bo rozumem tylko działali na rozum, uczucia nie potrącając. Przeważał wśród nich kierunek, reprezentowany przez Śniadeckich w uniwersytecie, który hołdował w filozofii teoryi sensualistycznej Locke'a, a w poezyi klasycyzmowi. Stąd też w *Wiadomościach Brukowych* obok gęstych wyśmiewań się z jasnowidztwa, znajdujemy wycieczki przeciwko filozofii Kanta, Fichtego i Schellinga, przeciw romantyczno-sentymentalnemu wychowaniu, najwięcej przeciw sentymentalności kobiet. Przywykli wyszukiwać ujemne strony w objawach życia, doskonale podchwycili śmieszne strony tej sentymentalności, ale nie przeczuwali, że pod nią ukrywało się już pragnienie nowej poezyi któraby zastąpiła suche, rozsądne rymotwórstwo, poezyi, płynącej z serca i przemawiającej do serca.

Jak główną siłą Szubrawców był trzeźwy rozum, tak główną siłą Filaretów było uczucie, młodzieńczy zapał dla wysokich ideałów, zapał, który Filareci przelewali magnetycznie z serca w serce. Szubrawcy pokazywali brzydotę i śmieszność złego; Filareci uczyli kochać dobre. Szu-

brawcy łamali złe rozumem; Filareci chcieli siłą uczucia »złamać to, czego rozum nie złamie«. Pierwsi byli trzeźwi, spokojni, praktyczni; drudzy marzyciele, ale z apostolskim popędem do szerzenia miłości dla swoich ideałów. Pierwszych wiązało poczucie wyższości nad otaczającą sferą; drugich — miłość braterska, ów bratni łańcuch, którym chcieli »opasać ziemskie kolisko«.

Te były różnice między duchem szubrawskim i filareckim i one się też wyraziły oprócz innych różnic, wypływających z różnego stopnia talentu poetów, w dwóch odach, które porównywałem, a które były najwyższym poetyckim wyrazem jednego ducha.

Być może, że *Oda do młodości* była pieśnią konkursową, wiemy przynajmniej, że Filareci ogłaszali konkurs na napisanie pieśni, któraby wypowiadała ich cele i dążności [1]). Widocznie dawniejsze pieśni filareckie *(Hej radością oczy błysną,*

---

[1]) Proces Filaretów. Archiwum do dziejów literatury i oświaty VI, 313 W zeznaniach Jankowskiego przed komisyą śledczą (Archiwum T. IX) powiedziano: »Naznaczona była przez Łozińskiego Teodora nagroda dwa tomy dzieł Juliana Niemcewicza dla tego, ktoby najlepszą pieśń filarecką napisał. Na konkurs, że kilka ich przysłanych było (wiem), lecz przez kogo układane tego nie wiem. Wiem tylko, że członkowie do osądzenia wyznaczeni, mianowicie Czeczot, Kowalewski i Malinowski wszystkie odrzucili i komu nagrody nie przyznali«.

Hej użyjmy żywota) uważano za niedostateczne. Wiemy także z notatek Aleksandra Chodźki, że Odę posłał Mickiewicz z Kowna swoim przyjaciołom wileńskim i że ci z początku nie mogli jej zrozumieć. »Zan i Czeczot — powiadał Mickiewicz w r. 1846 — znaleźli ją arcygłupią, a ten ostatni pisał mi, pytając, czym nie zwaryował i posyłając do Malewskiego po radę. Jeden Jeżowski nie podzielał ich zdania. Znał on uprzednio poetów niemieckich. Napisał więc bardzo długi komentarz, gdzie rozbierał pojedyńczo każdy wiersz i wtedy ledwie uznają odę za dobrą« [1]). Z tego opowiadania tyle można wywnioskować, że ów wspaniały polot ody z powodu swej niesłychanej wybujałości, którą zawdzięczał świeżym wpływom romantycznej poezyi, i awet zwolennikom nowego kierunku poetycznego, ale zwolennikom, których słabsza fantazya nieśmiało podążała w tym kierunku, nawet im wydał się czemś przekraczającem granice poezyi. Nie mogli ogarnąć tego i zapewne takie wyrażenia jak »rozumni szałem«, albo »dalej z posad bryło świata«, musiały ich razić, szczególnie Czeczota, który w swojej pieśni »Wstał pan Kwiecień z martwych ninie«, wypowiadając hasła filareckie, trzymał się bardzo blisko ziemi.

Jeżeli oda nie była wydrukowaną w pier-

[1]) Wł. Mickiewicz. Żywot. Ad. Mick. T. I, str. 54.

wszych dwóch tomikach poezyi Mickiewicza, które wyszły w Wilnie 1822—23, to stało się to zapewne z winy cenzury. Być może zresztą, że chciano ją umieścić w trzecim tomiku, który był zapowiedziany, ale się nie ukazał.

VI.

Rozprawa o romantyczności. — O poezyi ludowej z powodu ballad. — »Pierwiosnek« i »Romantyczność«. — Ballady i romanse: »Świteź, »Świtezianka«, »Rybka«, »Powrót Taty«, »Kurhanek Maryli«, »Do przyjaciół«, »To lubię«, »Rękawiczka«. — Podanie o Twardowskim. — »Pani Twardowska«, »Tukaj«, »Lilie«, »Dudarz«. — Porównanie ballad Mickiewicza z balladami Goethego i Schillera. — »Hymn do Najśw. Panny«. — »Warcaby«. — »Przypomnienie«.

Do okresu twórczości Mickiewicza, którym się obecnie zajmujemy, oprócz poezyi filareckiej należy wszystko, co zawiera w sobie pierwszy tomik poezyi edycyi wileńskiej z 1822 r., mianowicie rozprawa o poezyi romantycznej, ballady i romanse: *Pierwiosnek, Romantyczność, Świteź, Świtezianka, Rybka, Powrót taty, Kurhanek Maryli, Do przyjaciół, To lubię, Rękawiczka, Pani Twardowska, Tukaj, Lilie, Dudarz, Hymn do N. P. Maryi, Warcaby* i sonet *Przypomnienie.* Tylko wiersz p. t. *Żeglarz* umieszczony w tym tomiku odnosi się do następnego okresu, do okresu

Dziadów, zaś *Dudarz* stanowi jakby przejście od jednego okresu do drugiego.

Rozprawa o poezyi romantycznej pod względem chronologicznym należy również do następnego okresu, prawdopodobnie bowiem pisaną była na niedługo przed podaniem do druku ballad, do których przedmowę stanowiła, a które wyszły na świat w czerwcu 1822. Że jednak właśnie stanowi przedmowę do ballad, że ściśle jest z niemi związaną, że daje zresztą rezultat estetycznych rozmyślań Mickiewicza w poprzedzającym okresie (1818—21), uważam za stosowne powiedzieć o niej słów kilka już tu, przed rozważaniem ballad.

Już padły były, jak wiemy, pierwsze strzały polemiczne w sporze zwolenników romantyzmu z klasykami, ale nie było jeszcze wyraźnie uformowanych obozów. O romantyczności, znanej przeważnie ze słyszenia, miano najdziwaczniejsze pojęcia. Nie rozjaśniły ich dostatecznie ani rozprawa Brodzińskiego, ani uwagi Borowskiego, tem mniej nie powołany głos Jana Śniadeckiego w tej sprawie. I owszem ten ostatni mógł się przyczynić tylko do zaćmienia pojęć, tem bardziej, że był wielką powagą. Ponieważ Śniadecki ostrzegał publiczność przed romantyzmem, jako przed »szkołą zdrady i zarazy«, Mickiewicz tedy, występując jako poeta romantyczny, mógł się obawiać, iż zastanie zgóry już źle uprzedzon

dla siebie publiczność, i dlatego »uczuł potrzebę wstępnie przemówić«, i rozjaśniając pojęcia o romantyzmie zwalczyć zarazem uprzedzenie przeciw niemu.

Żeby dać należyte pojęcie o romantyzmie i jego stosunku do innych rodzajów poezyi, Mickiewicz podobnie jak przedtem Brodziński i Borowski w swoich rozprawach, przebiega pokrótce powszechne dzieje poezyi a wyróżniwszy trzy główne jej charaktery: klasyczny, romantyczny i francuski (pseudo klasyczny albo neoklasyczny) i wykazawszy rodowód romantyzmu, dowodzi zgodnie z A. W. Schleglem i Bouterwekiem, na których się głównie opierał w swej rozprawie, że charakter poezyi romantycznej stanowią »cechy ducha czasu, sposobu myślenia i czucia ludów w wiekach średnich«, i że zatem »dzieł właściwie romantycznych, w całem znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego«. Ponieważ jednak i w teraźniejszym stanie Europy »wiele zatrzymało się opinii, wiele odzywa się uczuć z czasów rycerskich«, więc »i w wielu dziełach nowożytnych różnego rodzaju widać mniej lub więcej cechy romantyczności«.

Było to określenie romantyzmu daleko jaśniejsze i zwięźlejsze niż u Brodzińskiego, który — określeniu swojem nie mógł znaleść jakiegoś dnoczącego punktu, wciągał w nie różnorodne wioły, bo nawet i poezyą hebrajską, i w ogóle

dość chaotyczne dał wyobrażenie o romantyzmie. Mickiewicz miał Brodzińskiego na myśli, gdy pisał w swojej rozprawie: »Niektórzy pisarze w całej literaturze poetycznej widzą tylko klasyczność i romantyczność i dzieła wszystkich poetów od Orfeusza do Byrona uważając za klasyczne lub romantyczne, po prawicy lub po lewicy kładą. Wtenczas z jednej strony *Iliada* staje obok *Henryady*, hymny na cześć bohaterów olimpijskich przy odach Francuzów do potomności, do czasu i t. p.; na drugiej zaś stronie *Heldenbuch* i *Nibelungen* spotykają się z *Boską Komedyą* Danta i pieśniami Szyllera. Wiele dzieł nareszcie, jako *Messyadę*, sonety Petrarki, *Jerozolimę Wyzwoloną*, *Hermana i Dorotę* Göthego i całą poezyą francuską, niepodobna zgadnąć, gdzieby na tym strasznym sądzie odesłano. Taką korzyść przynoszą dla poetyki podziały ogólne i nieoznaczone«...

Odpowiadając w tej rozprawie na zarzuty czynione romantyzmowi przez Śniadeckiego, musiał się Mickiewicz powściągać w słowach, ażeby zbyt wyraźnie nie powiedzieć, że znakomity ten matematyk lichym jest estetykiem i że nie znał tego, na co rzucał wyrok potępiający. Jednakże pod pozornie umiarkowanemi słowami ta a nie inna myśl się ukrywa: »Jeżeli odrzucamy definicye teoretyków niemieckich i do romantyczności przywiązujemy inne jakieś wyobrażenie, jeźli

n. p. zasadzamy jej istotę na łamaniu prawideł i wprowadzaniu dyabłów: wtenczas zarzuty przeciwników takiej romantyczności będą słuszne i niezbite«. Ale i w takim razie »lepiejby było w pochwałach albo naganach jakiego rodzaju wymienić zaraz pisarzów i dzieła, tudzież ich zalety i uchybienia« i to nie opierając oceny krytycznej na samej części prawidłowej krytyki, ale rozważając poezye zarówno z estetycznego jak z historycznego, filozoficznego i moralnego stanowiska. »Chcący albowiem podług ułamku poetyki Arystotelesa wyrokować o Homerze, Arioście, Klopstoku, Szekspirze, podobnym będzie do sędziego, któryby podług praw Solona albo dwunastu tablic stanowił w sprawie Greka, Włocha, Niemca i Anglika«. Są prawda pewne stałe zasady, »istotne i przyrodzone sztuki prawidła, które instynkt poetycki we wzorowych dziełach jakiegokolwiek bądź rodzaju zachować umie i powinien«, ale nie trzeba stawiać na równi z nimi przepisów krytycznych, które »za zmianą usposobień umysłowych, a stąd i za zmianą charakteru dzieł sztuki, zmieniać się i miarkować muszą«.

Resztę odpowiedzi Śniadeckiemu zawarł poeta w wierszu *Romantyczność*, o którym wkrótce będzie mowa. Koniec przemowy stanowiło krótkie objaśnienie o pochodzeniu i charakterze ballad i romansów, z tym ciekawym dodatkiem, że

obszerniejszą wiadomość o poezyi gminnej a mianowicie o poezyi gminnej narodowej autor na inny raz zostawia.

Ballady i romanse zanim pod piórem noworomantycznych poetów stały się formą kunsztownej poezyi, były, jak wiadomo, pieśnią ludową charakteru liryczno-epicznego, która czerpała treść swoją przeważnie ze świata historycznego i podaniowego. Podobne pieśni były u wszystkich niemal narodów europejskich, a każdy naród wyciskał na niej szczególne piętno swego ducha, stąd włoska ballada różniła się od angielskiej, hiszpańska romanca od francuskiej. Najobficiej i najwspanialej zakwitła ballada na ziemi brytańskiej, romanca zaś w Hiszpanii; dlatego ballada angielska i romanca hiszpańska stały się potem pierwowzorami dla poezyi kunsztownej. Mickiewicz takie daje określenie ballady hiszpańskiej: »Jest to powiastka osnowana z wypadków życia pospolitego albo z dziejów rycerskich, ożywiona zwyczajnie dziwnością (t. j. cudownością) ze świata romantycznego, opiewana tonem melancholicznym, w stylu poważna, w wyrażeniach prosta i naturalna«. Romanca hiszpańska różni się od ballady angielskiej przewagą pierwiastku lirycznego nad epickim, formy dramatycznej nad powieściową, cudowność przy tem nie gra w ni tak ważnej roli, jak w balladach. Mickiewicz p sze o romancach, że »poświęcone są czułośc

mniej więc do nich wpływają zmyślenia dziwne, a forma pospolicie dramatyczną bywać zwykła, styl zaś jak największą naiwnością i prostotą zalecać się powinien«. Określenia te Mickiewicza ważne są dla nas, bo wskazują, na jakiej podstawie przeprowadził on podział między swojemi balladami i romancami. Dodać tu jednak muszę, że pomimo, iż od dawna starano się ująć charakter romancy i ballady w stałe rysy, granice pomiędzy tymi dwoma rodzajami i dziś nie są dość jasno odznaczone i chwieją się tak dalece, że n. p. niejeden z balladowych utworów Szyllera przez jednych jest uważany za balladę, przez innych za romancę.

Poeta nasz, pisząc swoje ballady i romance, a nawet pisząc przedmowę do nich nie znał bezpośrednio poezyi ludowej angielskiej i hiszpańskiej; wzory, które miał przed sobą, były to już wzory kunsztownej poezyi, a mianowicie ballady niemieckich poetów, przedewszystkie Goethego, Schillera i Bürgera. Od nich to pożyczył formy dla swych ballad i romansów, ale formy te zgodnie z zaleceniem Brodzińskiego starał się napełnić treścią rodzimą, snutą z legend, podań i pieśni ludowych.

Zachodzi teraz pytanie, o ile się ta treść rodzima zgadzała z obcą formą, i czy nie mógł asz poeta w rodzimej poezyi ludowej znaleźć ietylko treści, ale i formy dla tej treści? Odpo-

wiem naprzód na drugie, potem na pierwsze pytanie.

Przypatrzywszy się bliżej naszej poezyi ludowej odróżnimy naprzód najobfitszy i może najstarożytniejszy dział pieśni obrzędowych. Obok niego równie obficie występuje dział pieśni lirycznych, przeważnie z zakresu stosunków rodzinnych, domowych i miłosnych. Uboższym od dwóch poprzednich ukaże się nam dział trzeci, który stanowią pieśni z charakterem epickim, snujące treść swoją z wypadków historycznych czy podaniowych. Otóż pieśni tego trzeciego działu pod względem treści zbliżają się do ballad i romansów, ale rzadko kiedy ukazują się w kształtnej, jednolitej, zaokrąglonej formie. Wyglądają one po większej części jakby zlepione szczątki pogruchotanych całości.

Nie trudno objaśnić, skąd to pochodzi. W żadnej literaturze europejskiej nie było tak długiego i tak stanowczego rozbratu pomiędzy poezyą ludową a poezyą wyższych stanów, jak w polskiej. W pierwszych wiekach naszej historyi rozbratu tego zapewne nie było. Życie ludu łączyło się ściśle z życiem rycerstwa, pojęcia i wyobrażenia były i tu i tam podobne i poezya rycerstwa była zarazem poezyą ludu. Jeżeli tragiczny jakiś wypadek, przypuśćmy śmierć Ludgardy Przemysławowej, uderzał wyobraźnią współczesnych, pieśń o niej z dworów rycerskich wę-

drowała do zagród kmiecych w niezmienionej formie, i tam z pokolenia w pokolenie była podawaną. Ale powaga łaciny była dla tej poezyi ołowianą pokrywą, przez którą ta poezya nie mogła przebić się, aby uwiecznić się w piśmie i przejść do potomności, jak się to stało z poezyą ludowo-rycerską na zachodzie. Tam dzięki wojnom krzyżowym, stosunkom z Arabami, a po części innym wpływom, duch poetycki tak był żywo rozbudzony w rycerstwie, że poezya ludowo-rycerska nie dała się zagłuszyć językowi kościoła i szkoły; my pozostaliśmy po za falą wojen krzyżowych i właśnie w tych czasach, gdy poezya rycerska najbujniej zaczęła rozkwitać na zachodzie, staliśmy się łupem walk domowych między potomkami Krzywoustego i najazdu nawpół lub całkiem dzikich ludów. Wskutek tego duchowieństwo, jako jedyna wówczas spójnia narodu, uzyskało ogromną przewagę nad innymi stanami, a za tą przewagą duchowieństwa poszła również większa niż gdzieindziej przewaga łaciny nad językiem narodowym i poezyą ludowo-rycerską.

Nadeszły czasy, kiedy nareszcie język polski przebił się przez łacinę i wszedł do literatury, ale były to już czasy, kiedy pomiędzy życiem ludowem a rycerskiem, pomiędzy poezyą ludu a szlachty panował zupełny rozbrat. Dla szlachty pisali poeci nastrojeni klasycznie, niezrozumiali

dla ludu; lud, obcy nowej oświacie, odsunięty od życia politycznego, zamknięty w kole rolniczych i domowych zajęć, z tego koła tylko czerpał treść do swojej poezyi, a przechowując mniej więcej wiernie dawne pieśni obrzędowe, powtarzał także i stare pieśni epickie, ale te, wzgardzone przez szlachtę, coraz mniej zgodne ze stanem przygnębienia ludu, rdzewiały w ustach jego i zamierały. Do tworzenia nowych pieśni historycznych lud nie był skłonny: wielcy bohaterowie narodu byli dlań obcy; wielkie wypadki historyczne przetaczały się ponad nim, przygniatając go nieraz, ale nigdy nie poruszając do głębi jego serca. Tylko na Ukrainie, gdzie się wytworzyło kozackie rycerstwo, zbliżone do ludu i gdzie lud powoływany był do udziału w walce domowej, wielkie wypadki historyczne poruszały go żywo i dostarczały wątku do dum historycznych. To też tylko ukraińska ludowa poezya obfituje w pieśni historyczne, podczas gdy ludność innych części dawnej rzeczypospolitej polskiej posiada ich bardzo mało. I tylko ukraińskie pieśni historyczne, noszące na sobie wyraźne piętno usposobienia ludu, wśród którego powstały, i miejscowych warunków, tylko one utworzyły osobny rodzaj poezyi, dumę historyczną, odpowiadającą romancy hiszpańskiej i balladzie angielskiej, rodzaj, który wszedł do poezyi kunsztownej, tak polskiej, jak młodej ru-

skiej. Właściwie polskie ludowe pieśni historyczne były zbyt ubogie, zbyt nieliczne, zbyt niekształtne, zbyt mało wyrazistej mające krystalizacyi, aby się mogły stać pierwowzorem dla kunsztownej poezyi.

Jeżeli je porównamy z balladami i romancami, to okażą się pod niektórymi względami bliższe drugim niżeli pierwszym. Naprzód forma dramatyczna przeważa w nich nad epicką, powtóre z bardzo nielicznymi wyjątkami nie wciągają one nic w siebie z cudowności, która jest niejako duszą ballad. Z drugiej strony nie ma w nich tych rycerskich uczuć, jakiemi są ożywione romance.

Gdy ludowe pieśni epickie były tak skąpym materyałem dla poety, trzeba się było zwrócić do podań i baśni ludowych. Tych była daleko większa obfitość i dziwić się należy, że poeta tak mało z nich zaczerpnął. Prawda, że nie było jeszcze zbiorów tych baśni i podań. Chociaż się już od pierwszych lat XIX w. zaczęto za radą Kołłątaja zajmować życiem ludu, ale głównym przedmiotem tego zajęcia były zwyczaje i obyczaje ludu. Adam Czarnocki (Zoryan Dołęga Chodakowski) zbierał już wprawdzie od r. 1814 pieśni i klechdy ludowe, ale nie były one ogłoszone, nie mógł z nich poeta korzystać. Wogóle dwu tylko balladach, które weszły do pierszego tomiku, da się z całą pewnością odna-

leźć pierwiastek podaniowy: mianowicie w *Pani Twardowskiej* i w *Tukaju*. Można przypuszczać, że i *Rybka* ma za treść jakieś miejscowe podanie, ale wszystkie inne ballady, o których mowa, są według wszelkiego prawdopodobieństwa wytworem fantazyi poety nawet i pod względem treści, i tylko pojedyńcze rysy czerpią z podań i baśni.

Jednem słowem fantazya poety, zwracając się w stronę ludowych podań, mitów i pieśni, nie znajdowała dla siebie tyle materyału, ile pragnęła. A przytem i niekażdy materyał ją zadawalniał. Teraz czas jest odpowiedzieć na pytanie, o ile treść rodzima zgadzała się z obcą formą. Zostając pod wrażeniem ballady niemieckiej i ją za wzór sobie obierając, szukał Mickiewicz takich tematów, któreby tej formie najlepiej odpowiadały i najpokrewniejsze były ich treści. W naszych baśniach polskich i ruskich, pochodzenia widocznie wschodniego, o wędrujących królewiczach, zaklętych królewnach, smokach i t. d. był materyał ogromny i niepodobna przypuścić, aby był nieznany młodemu poecie; ale ten materyał nie odpowiadał duchowi ballady i dla tego zapewne poeta nie sięgnął po niego. Co dziwniejsza, przez cały czas trwania poezyi romantycznej, pomimo oryentalnego kierunku, który się i w naszej poezyi zaznaczył, ten materyał pozostał nietknięty.

Nie znajdując podostatkiem tego, czego pra-

gnęła, fantazya Mickiewicza zaczęła sama tworzyć temata, któreby się do formy balladowej nadawały. Ażeby zaś uzasadnić tę wolność wobec wyznawców nowego kierunku, poeta pozwalał się domyślać, że i te temata od ludu wzięte.

W pierwszem wydaniu *Ballad i romansów* sam autor wyraźnie oznaczył, który z utworów tego zbioru jest balladą a który romansem. Tę ostatnią nazwę noszą *Kurhanek Maryli* i *Dudarz*, wszystkie inne utwory nazwane są balladami. Tylko dwa pierwsze, *Pierwiosnek* i *Romantyczność*, jakkolwiek objęte ogólnym tytułem ballad i romansów, nie mają na czele szczegółowej nazwy ballady lub romansu. Przyczyną tego odróżnienia było, jak się zdaje, że autor uważał te dwa wiersze tylko za wstęp, za dedykacyą i przedmowę do swoich ballad i romansów.

Pierwiosnek jest też rzeczywiście poetyczną dedykacyą. Była i inna zwykłym sposobem napisana dedykacya na czele tego pierwszego tomiku poezyi i brzmiała ona: »Janowi Czeczottowi, Tomaszowi Zanowi, Józefowi Jeżowskiemu i Franciszkowi Malewskiemu, przyjaciołom moim, na pamiątkę szczęśliwych chwil młodości, którą z nimi przeżyłem, poświęcam, Adam Mickiewicz«. Ale *Pierwiosnek* jest pełniejszą od tamtej dedykacyą; zawierał on w sobie i to imię, którego poeta nie śmiał umieścić w chłodnej pro-

zie przy nazwiskach kolegów, imię »niebieskiej Marylki«.

Pierwiosnek jest przejrzystą i wdzięczną allegoryą. Tym pierwszym kwiatkiem wiosennym, o którym tu mowa i który sam tu przemawia od siebie, jest młodzieńcza poezya Adama, zawarta w pierwszym tomiku, pierwszy kwiatek wiosny poetyckiej Mickiewicza, a zarazem pierwszy kwiatek wiosny romantyzmu polskiego. Poeta nie ma śmiałości jeszcze wystąpić z tym kwiatkiem przed światem i dlatego woła:

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek
Lub chłodnej rosy perełka.

Ale kwiatek nie chce żyć dłużej w ukryciu, pragnie on, aby poeta uplótł z niego wianek dla druhów i kochanki. Poeta czyni zadość temu wezwaniu, ale zapytuje kwiatka, skąd on ma pewność, że przyjaciele i kochanka przyjmą mile ten datek? Naturalnie o kochankę tu głównie chodziło, przyjaciele byli tu tylko umieszczeni dla towarzystwa, bo z ich strony dobrego przyjęcia mógł być poeta aż nadto pewnym.

JA.

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni liliowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz skądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Przywitają przyjaciele
Mnie, wiosny młodej aniołka,
Przyjaźń ma blasku niewiele,
I cień lubi jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek?
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą... ach! łzę tylko.

W ostatniej strofie brzmi ton rezygnacyi, ale tej rezygnacyi, która nie pozbawiona jest jeszcze wszelkiej nadziei. Możnaby więc z tego wnioskować, że wiersz ten pisany był jeszcze przed ślubem Maryli (2 lutego 1821); atoli z drugiej strony zdawałoby się, że jako dedykacya napi-

sany był dopiero w chwili, gdy powziął poeta myśl wydania swoich ballad i romansów. Do jakiego czasu odnosi się ta chwila, nie wiem; być może, że oba przypuszczenia dałyby się pogodzić, to jest, że zamiar wydania zbiorku swoich poezyi powziął Mickiewicz jeszcze przed ślubem Maryli.

Chociaż *Pierwiosnek* jest tylko poetyczną dedykacyą i z powodu treści swojej okolicznościowej nie mógł być nazwany ani balladą, ani romansem, to jednak z formy dramatycznej, z czułości, którą ten wonny kwiatek napojony, jest on bardzo podobny do romancy. Pomiędzy balladami Goethego, znajduje się jedna, mająca charakter romancy, pod tytułem: *Das Blümlein Wunderschön.* Pomiędzy nią a *Pierwiosnkiem* zachodzi pewne podobieństwo, które pozwala przypuszczać, że świadomie czy nieświadomie — pożyczył poeta formy dla swojego *Pierwiosnka* z Goethowskiego utworu. U Goethego jakiś hrabia średniowieczny, osadzony w więzieniu, spoglądając z wysokiej wieży na okolicę, szuka oczyma cudnego kwiatka przez się ukochanego, ale go nigdzie dojrzeć nie może. Wynurzając tęsknotę swoją w pieśni, hrabia nie nazywa kwiatka po imieniu, stąd różne kwiaty, słysząc pieśń jego, myślą, że to o nich mowa, i każdy z nich — róża, lilia, gwoździk, fijołek — odzywa się z kolei do hrabiego w mniemaniu, że jest

owym pożądanym kwiatkiem, przyczem na usprawiedliwienie tego mniemania wylicza swoje zalety. Hrabia z rycerską galanteryą odpowiada na zaloty kwiatów — ale nie o nich śpiewał; jest inny, drobny, błękitny nad wodą rosnący kwiatek, do którego tęsknią jego oczy, bo ma on tajemniczą siłę; kiedy kochająca kobieta zerwie go i westchnie: nie zapomnij o mnie! to ukochany zdaleka to czuje.

Ja, in der Ferne fühlt sich die Macht,
Wenn zwei sich redlich lieben.

Pierwiosnek różni się wprawdzie treścią od tej ballady czy romancy, ale wprowadzenie rozmowy z kwiatkiem, porównywanie jego skromnej postaci z wdziękami innych świetnych kwiatów żywo przypomina *Das Blümlein Wunderschön.* Mniemam, że piękna ta romanca Goethego silniej od innych przemawiała do serca poety, i przy tworzeniu *Pierwiosnka* podsunęła mu formę dla uczuć, które chciał w nim wyrazić.

Romantyczność jest polemicznym wierszem, dopowiedzeniem tego, co w przedmowie prozaicznej napisał Mickiewicz na obronę romantyzmu a na zgromienie jego zaciętych nieprzyjaciół, w szczególności Jana Śniadeckiego. Wyrazu jednak »dopowiedzenie« niezupełnie właściwie tu użyłem, bo prawdopodobnie *Romantyczność* na-

pisana była świeżo pod wrażeniem artykułu Śniadeckiego *O pismach klasycznych i romantycznych*, a zatem przed napisaniem przedmowy. Śniadecki w rozprawie swojej najbardziej, jak wiemy, uderzał na romantyzm za wprowadzenie duchów, czarów i wierzeń ludowych; nazywał je »płodem spodlonego niewiadomością i zabobonem umysłu«, »głupstwami ledwo nie wszystkich ludów pogrążonych w barbarzyństwie i nieobjaśnionych czystą religią«, »bredniami przywołanemi z wieków grubiaństwa« i t. p. Słowa te do żywego oburzyły Mickiewicza; widział on w nich zaprzeczenie nie tylko czarów, guseł i zabobonów ludowych, które jako mniej lub więcej oryginalny płód fantazyi ludowej były pożądanym żywiołem dla poezyi, pragnącej czerpać z rodzimego gruntu, ale i zaprzeczenie całej tej niejasnej, mglistej, tajemniczej strony życia ludzkiego, która zdaje się wiązać świat widzialny z niewidzialnym, otwierać perspektywę w świat wieczny tajemnic bytu i tym sposobem owiewa życie jakiemś wyższem, poetycznem tchnieniem. Że tak czuł i widział Mickiewicz, dowodzą nam tego słowa Gustawa w *Dziadach*, zwrócone widocznie w pierwszej linii przeciwko Śniadeckiemu:

Więc żadnych nie ma duchów? Świat ten jest bez duszy?
Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi,
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy?

Albo jest to coś na kształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru:
(z uśmiechem).
Tylko nie wiecie kto zawiesił wagi?
O kołach, o sprężynach rozum was naucza:
Lecz nie widzicie ręki i klucza.

Otóż i *Romantyczność* jest protestacyą poety przeciw owym pogardliwym słowom Śniadeckiego. Wyprowadza on tu dzieweczkę z ludu, która w dzień biały wśród miasteczka rozmawia z duszą ukochanego Jasieńka, już dawno pogrzebanego. Jej obłędna postawa, jej uśmiechy, płacze, wołania, ściągają gromadę ludzi.

Mówcie pacierze! krzyczy prostota,
Tu jego dusza być musi,
Jasio być musi przy swej Kąrusi,
On ją kochał za żywota.

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze.
»Słuchaj dzięweczko! krzyknie śród zgiełku
Starzec; i na lud zawoła:
»Ufajcie memu oku i szkiełku,
»Nic tu nie widzę dokoła.

»Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
»W głupstwa wywarzone kuźni.
»Dziewczyna duby smalone bredzi,
»A gmin rozumowi bluźni«.

Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawiedź wierzy głęboko,

Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce,
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu —
Miej serce i patrzaj w serce!

Każdy wie, że tym starcem, który każe wierzyć tylko swemu oku i szkiełku, jest Jan Śniadecki. Poeta naśladował tu nawet dosadność jego wyrażeń, aby tem silniej potem przeciwko nim zaprotestować. Zastanówmy się teraz, odłożywszy na bok wszelkie sympatye i uprzedzenia, po czyjej stronie była słuszność.

Naprzód potrzeba przyznać, że obrona romantyzmu, w tym wierszu podjęta, jest bardzo słaba i w ogóle cały wiersz, z wyjątkiem dwóch strof ostatnich, tętniących głęboką siłą przekonania, należy do najsłabszych utworów Mickiewicza. Cóż to za przykład wybrany z życia dla okazania, że czucie i wiara prostaczków bliższą jest prawdy od szkiełka i oka mędrca? Nie można było wybrać nieszczęśliwiej. Dziewczyna, która w dzień biały i wśród miasteczka widzi przy sobie kochanka, od dwóch lat już nieżyjącego, rozmawia z nim i przyciska go do serca, taka dziewczyna czyż może być przez kogokolwiek, nietylko przez mędrca, ale i przez prostaczka, uważaną za co innego, jak za cierpiącą obłąkanie lub ma-

lignę? Miewali widzenia ludzie niepozbawieni zmysłów przy szczególnym nastroju duszy i można się rozmaicie na nie zapatrywać, ale widzenia te miały zawsze stosowne tło dla siebie i nie zdarzały się nigdy w biały dzień wśród gwaru miejskiego na rynku. Sam poeta zresztą jest o tyle nieoględnym w tym wierszu, że przedstawia nam dziewczynę jako zupełnie nieprzytomną. Między innemi mówi ona następujące rzeczy:

Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku?
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku,
Czasem usłyszy macocha!...
Śród dnia przyjdź kiedy! To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku...
Mój Boże, kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.

Dziewczyna zatem nie tylko widzi Jasieńka, który jest dla tłumu niewidzialnym, ale i wiele innych rzeczy, niezgodnych z rzeczywistością. Na rynku stojąc, mniema, że jest we własnej izdebce, wśród białego dnia widzi noc dokoła siebie, zamiast gwaru miejskiego słyszy nocne pianie koguta. Czyż nie miał więc słuszności starzec, mówiąc, że dziewczyna bredzi? Miał zupełną słuszność. Jakże ma do nas silniej przemawiać czucie dziewczyny, niż mędrca szkiełko i oko, jeżeli mamy wyraźne dowody, że to czucie ją zawodzi?

Obrona tedy cudowności romantycznej słabą tu jest i niezręczną, ale nie mieszajmy obrony z samą sprawą, której bronił Mickiewicz, i zobaczmy, czy słuszną była ta ostatnia.

Nauka nie zna cudowności. Analizuje ona wszystkie objawy życia i rozkłada na naturalne czynniki, a gdzie jej analiza nie sięga, tam nauka zatrzymuje się i zakreśla granice swego państwa. Po za temi granicami rozciągają się nieskończone, ciemne obszary nierozwiązanych zagadek bytu, które nauka zrzadka rozświeca śmiało rzuconą z pomostu zdobytych faktów hipotezą. Zwyczajnie zresztą nie kusi się ona o wytłómaczenie tego, co dla niej dostępne, ale i nie uznaje innych praw nad te, które sama wyświeciła.

Poezya gdyby chciała obracać się tylko w kole prawd zdobytych lub stwierdzonych nauką, mogłaby wprawdzie ozdobnie i plastycznie odwzorowywać życie, mogłaby być zajmującą i pouczającą, ale utraciłaby swoję szczytność i głębokość, nie odpowiedziałaby swemu najwyższemu zadaniu. Tem najwyższem zadaniem poezyi jest sprowadzenie chaosu zjawisk do jedności, do syntezy poetycznej, powiązanie wszystkich jestestw z najwyższą potęgą twórczą wszechświata, a przedewszystkiem zadzierzgnięcie węzła pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Tym sposobem na tym szczeblu poezya ma niemal to samo zadanie, co religia; bo i czemże w istocie są wszystkie mi

tologie, jeżeli nie pierwotną poezyą ludów? Czemże ich poezya późniejsza, jeżeli nie dalszem rozwinięciem mitologii?

Jednem słowem poezya po swojemu rozwiązuje zagadki bytu. Po swojemu, to znaczy fantazyą i uczuciem. Tam, gdzie rozum staje bezsilny i zakreśla granice swego poznania, tam fantazya rozwija swobodnie skrzydła. Zaspakaja ona pragnienia duszy ludzkiej, których rozum zaspokoić nie zdoła, ale nie może inaczej tego uczynić jak drogą cudowności. Ta cudowność bywa dziką lub harmonijną, poziomą lub wzniosłą, zależy to przeważnie od charakteru i stopnia ukształcenia pojedyńczych grup ludzkości: ale właśnie dlatego że w niej narody i wieki składają swoje poglądy poetyczne na świat i życie, że w niej się najżywiej odzwierciedla fantazya ludu, dlatego jest ona bogatym materyałem dla poezyi. Dla tego to nowoczesna poezya kunsztowna nie znajdując w wyjałowionej fantazyi wyższych warstw społecznych dostatecznych dla siebie soków, aż tam sięgnąć musiała, aby zaczerpnąć barw i kształtów dla wyrażenia uczuć, wrażeń, pragnień, pokrewnych tym, które dały początek owej cudowności. Bo choć uczucia zdolne są ewolucyjnego uszlachetnienia, jak to Asnyk w jednym ze swoich wierszy poetycznie demonstrował, grunt ich jednak zawsze był jeden i ten sam. Jasno i krótko kreślił Goethe to zadanie kunsztownej poezyi

wobec wierzeń i baśni ludowych w dwuwierszu, służącym za dewizę do jego ballad:

Mährchen, noch so wunderbar,
Dichterkünste machen's wahr.

Naturalnie nie wszyscy romantycy w ten sposób zapatrywali się na rolę cudowności w poezyi i niejeden bezmyślnie wprowadzał do swoich utworów czary, gusła i duchów — jako modny towar — co później w samym nawet obozie naszych romantyków wywoływało niesmak i szyderstwo, jak o tem świadczy składkowa ballada Odyńca i Słowackiego. Ale co innego nadużycie, a co innego zasada. Śniadecki był przeciwny zasadzie wprowadzania średniowiecznej cudowności do poezyi i w tym względzie nie miał słuszności. Rzecz dziwna, ten sam człowiek, który potępiał cudowność średniowieczną w poezyi romantycznej, spokojnie uznawał cudowność mitologii Greków i Rzymian w utworach pseudoklasycznych, chociaż w tę ostatnią jeszcze mniej przecież wierzono, niż w czary, dyabły i upiory. Dlaczegoż tak czynił? Oto mitologia Greków i Rzymian była dla niego »przyjemną bajką«, podczas gdy cudowność średniowieczna była »karykaturą fałszu i głupstwa«.

Przejdźmy teraz do ballad, które zawiera w sobie pierwszy tomik poezyi wydania wileńskiego z 1822 r. Brak ściślejszych dat chronolo-

gicznych nie pozwala uszykować tych utworów w porządku chronologicznym, a i te daty ściślejsze, które mamy, nie są zupełnie pewne. Dlatego mówiąc o balladach będę się trzymał tego porządku, w jakim są umieszczone w pierwszem wydaniu.

Pierwszą balladą w tym porządku jest *Świteź*. Podług wspomnień Odyńca czytano ją po raz pierwszy na posiedzeniu literackiego grona Filaretów 1 listopada 1820 r., jako świeżo przysłaną przez autora z Kowna, ale jak wkrótce obaczymy, data podana przez Odyńca jest bardzo wątpliwa. Balladę taki sam tytuł noszącą, napisał był przed Mickiewiczem Zan, bo i na tem polu, jak wszędzie w czasach pierwszej młodości Mickiewicza, przed śladami naszego poety znajdujemy ślady jego przyjaciela Zana.

Zan pierwszy, jak wiemy, z grona młodych poetów filareckich rzucił się do pisania ballad, torując niejako drogę swoim kolegom, a przynajmniej wciągając ich swoim przykładem na nią. Nie dość tego, obierał on dla swoich ballad przedmioty, które potem zwróciwszy na siebie uwagę Mickiewicza, stały się tematem jego ballad. Poezye Zana nie były nigdy drukowane (z wyjątkiem niektórych), ale w pewnym liście jego do Maryi Puttkamerowej znajduje się obszerny spis tych poezyj, wraz z uwagą, że większa ich część poprzedziła sławę przyjaciół i uczniów Zana.

W tym spisie wymienione są następujące ballady: *Nerysza* (właściwie *Neryna*[1]) *Twardowski, Neris, Świteź, Cyganka, Aryon poeta.* Dodane *i t. d.* każą się domyślać, że pisał był i inne jeszcze ballady. Jaką miały wartość poetycką te poprzedniczki ballad Mickiewiczowskich? Trzy tylko z nich znamy, mianowicie *Nerynę*, która jest dość słabem naśladowaniem *Ludmiły* i *Lenory, Twardowskiego,* balladę, na której także wpływ *Lenory* widoczny (obie drukowane w *Dziejach Dobroczynności,* peryodycznem piśmie wileńskiem w r. 1824 T. VI) i *Cygankę,* drukowaną w czerwcowym zeszycie *Dziennika Wileńskiego* w roku 1822[2]). Ze wszystkich trzech najlepszą jest ostatnia; prześwieca z niej niewątpliwa zdolność poetycka. Ton ludowy szczęśliwie tu uchwycony, obrobienie szczegółów udatne, tylko w samym pomyśle wielki brak krystalizacyi, co się i na tytule odbiło, *Cyganka* bowiem nie jest właściwym tytułem dla ballady, gdzie główną postacią jest dziewczyna, oczekująca powrotu kochanka z wojny i szukająca wróżby u cyganki. Stąd także i tendencya ballady, zawarta w ostatnim

---

[1]) Wydanie korespondencyi Zana (Kraków 1863) jest tak zasiane błędami, że co chwila trzeba się o nie potykać. I tu jest widocznie błąd drukarski.

[2]) Porówn. artykuł Piotra Chmielowskiego p. t. »Ballady Tomasza Zana« w Tygodniku Ilustr. 1884, Nr. 64—66.

jej wierszu *Lepsza śmierć od niewoli* nie wypływa organicznie z całości, ale przyczepioną jest do niej. Z wymienionych tu ballad Zana przynajmniej trzy: *Neryna, Twardowski* i *Świteź* poruszyły temata, na których Mickiewicz osnuł potem kilka swoich utworów tego rodzaju.

Genezę *Świtezi* Mickiewicza wyobrażam sobie w następujący sposób. Poeta bywając w Tuhanowiczach podczas wakacyj miewał nieraz sposobność nasycania się widokiem pięknego jeziora, leżącego wśród sąsiednich lasów płużyńskich, ponieważ tuż nad jeziorem szła droga do Tuhanowicz [1]). Przejeżdżając tamtędy nie omieszkał się zatrzymać i wychodzić na brzeg dla przypatrzenia się jezioru. Jeżeli to było w dzień pogodny, mile go wabiła błękitna, gładka powierzchnia krągłego jeziora, dokoła malowniczo ocieniona gęstą ścianą drzemiącego lasu, a u dołu obrzeżona trzciną i owemi ziołami, które

Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą,
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki
Kiedy je śniegi pobielą.

---

[1]) Być może, że przedtem znał poeta to jezioro, droga boiem z Nowogródka do Zaosia, dokąd często jeździł jeszcze ze kół na wakacye, przechodzi również niedaleko Świtezi. Ale gdyby ak było, to w każdym razie inaczej patrzał na ten widok okiem ecka, aniżeli okiem romantycznego młodzieńca.

Ale zdarzyło się zapewne, że i w nocy tamtędy przejeżdżał i to w noc księżycową, a wtedy widok tej toni »puszczą oczernionej« przedstawiał mu się daleko wspanialszym, uroczystszym, pełnym poetycznej tajemnicy [1]). Stanąwszy nad brzegiem, nie mógł dojrzeć przeciwległego krańca, który się gubił w mroku nocnym, ale za to pod stopami jego »szklanna równina« zapadała się w otchłań gwiaździstą tak, iż zdawał się »wisieć w środku niebokręga, w jakiejś otchłani błękitu«. Zachwycony tym niezwyczajnym widokiem, zapragnął nowe dla siebie wrażenia przelać w poezyą. Zaczynała już wtedy panować balladomania w gronie młodych poetów wileńskich, już Zan te same wody Świtezi uczcił balladą, zresztą charakter wrażeń, wywołanych nocnym widokiem Świtezi doskonale się zgadzał z duchem balladowym, nic więc dziwnego, że poeta obrał sobie balladę za formę, w którą miał przelać te wrażenia. Ale do utworzenia ballady potrzeba było jakiegoś epickiego wątku, którego zwykle podanie ludowe dostarcza. Że takie podania były przywiązane do jeziora Świtezi, świadczą dwie następne ballady, *Świtezianka* i *Rybka*. Mianowicie jednem z nich była, jak powiada sam poeta

---

[1]) W r. 1846 opowiadał Mickiewicz Al. Chodźce o przepędzaniu »całych nocy w lasach nad jeziorami« w towarzystwie tu hanowickiem. Wł. Mick. Żywot A. Mick. T. I, str. 45.

w przypisku do *Świteziank*i, »wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się ondyny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa *świteziankami*« [1]). Czy je gmin tak nazywał, czy inaczej, nimfy te były zapewne czemś w rodzaju rusałek lub wil serbskich i wabiły pięknością swoją nieostrożnych przechodniów, aby ich w toni pogrążyć.

Prawdopodobnie było i inne jeszcze podanie przywiązane do tego jeziora, podanie tak często powtarzające się u nas a do rozmaitych wód stojących stosowane — o zapadnięciu się miasta, które głosem dzwonów swoich do dziś jeszcze z głębi fal przypomina się światu. Jeżeli nawet

[1]) Mickiewicz opowiadał raz Chodźce (1846), jak będąc młodym, słuchał razem z Marylą bajki, opowiadanej przez rybaka i jak Maryla, obracając się do niego, zawołała: »Oto poezya, napisz coś takiego«. »Te wyrazy głęboko wpiły się w duszę moją — dodał poeta — i odtąd wziąłem mój kierunek poetyczny«. (Wł. Mickiewicz, Żywot Ad. Mick. I, 45, 46). Myśli tu wyrażonej trudno brać dosłownie, jak to czyni dr. Kallenbach w swojej monografii o Mickiewiczu (I, 52) i trudno w wykrzykniku Maryli widzieć główne źródło balladowej twórczości Mickiewicza. Możnaby tylko wnioskować, że słowa Maryli zwróciły wyobraźnię jego ku Świtezi i podaniom do tego jeziora przywiązanym. Czy w tej bajce rybaka znalazł poeta »wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się ondyny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa świteziankami«? Może. Ale z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że poza balladami Mickiewicza nic nie wiemy o istnieniu Świtezianek w podaniu ludowem. Zdaje się, że to sam Mickiewicz dał tę nazwę istotom, wziętym z podania ludowego, a postacią i znaczeniem do nimf i ondyn zbliżonym.

nie było takiego podania w okolicy Świtezi, to poeta skądinąd znał je zapewne i mógł je łatwo zastosować do jeziora, które zamierzał uczcić w poezyi [1]). Nazwa ziół wodnych, zdobiących gładkie jezioro, *cary*, była trzecim punktem wytycznym dla tej drogi, którą fantazya poety miała przebiedz przy utworzeniu pomysłu ballady. Łącząc podanie o świteziankach z podaniem o zapadnięciu się miasta, poeta musiał w swej wyobraźni wyszukać przyczynę dla tej katastrofy: nazwa kwiatów nasunęła mu napad nieprzyjacielski i gotowość niewiast do pozbawienia się życia przed nieuchronną hańbą, — szczegół, który znajdował w podaniu historycznem [2]) — i otóż cały pomysł był gotowy. Świtezianki zamieniły się w czyste dziewice, uchodzące sromoty, a poeta znalazł przytem sposobność odwzorowania w jednej z tych dziewic ideału mężnej i ofiarnej niewiasty, ideału, który jak już wyżej wspo-

---

[1]) W wierszu do Lelewela czytamy: »Nieraz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie«.

[2]) Poeta w przypiskach do Grażyny powiada: »Słyszałem od świadomego dziejów narodowych p. Onacewicza, iż w rękopisie kronikarza wołyńskiego jest wzmianka o sławnym czynie niewiast jakiegoś miasta litewskiego, które po wyjściu mężów na wojnę same murów broniły, a nie mogąc oprzeć się nieprzyjaciołom przeniosły dobrowolną śmierć nad niewolę. Coś podobnego wspomina Kromer o zamku Pullen«.

mniałem, przyświecał mu przy tworzeniu Żywili, Grażyny i Aldony.

Treść ballady w krótkich przypomnę słowach. Potrzeba w niej odróżnić właściwy wątek balladowy od obszernych ram, które go otaczają. Do ram należy opis Świtezi i opowiadanie o tem, jak »pan na Płużynach, którego pradziady były Świtezi dziedzice« chcąc zbadać tajemnicze przepaście jeziora, kazał zapuścić niewód i jak wyciągniono stamtąd świteziankę. Właściwa ballada włożona jest w usta wodnej nimfy. Opowiada ona, jak na miejscu, które dziś »car i trzcina zarasta« stało kwitnące miasto, bogate i »w krasne twarze« i »w sławne orężem ramiona«, a panował w niem książę Tuhan, jeden z litewskich książąt podległych Mendogowi. Pewnego razu stolicę Mendoga obległy wojska »cara z Rusi«. Mendog wzywa Tuhana na pomoc, w nim tylko kładąc nadzieję obrony. Tuhan gromadzi wszystką młódź zbrojną i śpiesznie wyrusza, gdy w tem — w chwili gdy już w bramie błyskał proporzec jego — uderza go myśl, że może »własnych mieszkańców dla obcej zgubić odsieczy«. Wraca tedy na dworzec i obawy swoje zwierza córce. Ale córka niepodobna do owej serbskiej Milicy, co żądała od męża spieszącego na bój kosowski, żeby jej zostawił kogoś na obronę — uspakaja na ojca mówiąc mu:

Lękasz się niewcześnie,
Idź kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni; dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi: póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy.

Uspokojony Tuhan wiarą i męstwem córki ruszył na pomoc Mendogowi, ale ledwie noc nadeszła, nieprzyjaciel zjawił się pod bramami Świtezi. Popłoch i przerażenie ogarnia opuszczone niewiasty, rozpacz dyktuje im samobójstwo. Córka Tuhana niemniej od innych gotowa poświęcić życie dla ocalenia czci, ale ona nie rozpacza, ufa w pomoc boską, która się jej we śnie objawiła i dlatego stara się powstrzymać inne niewiasty od rozpaczliwego kroku. Daremne jednak jej słowa; już inne niewiasty kładą głowy na progu, czekając na uderzenie topora.

Gotowa zbrodnia: czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy;
Panie, zawołam, nad pany!

Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie.

Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną,
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi nie ma podemną.

Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

Idealizm w skreśleniu postaci córki Tuhana posunięty jest do najwyższych granic. Bohaterstwem jest już zadać śmierć sobie dla uniknienia hańby, jak to chcą uczynić inne Świtezianki, a przecież poeta stawia księżniczkę Świtezi o szczebel wyżej od jej towarzyszek niedoli, robi ją jeszcze czystszą, wznioślejszą, jaśniejszą — nie chce się ona splamić nawet samobójstwem. Ten majestat nadaje jej obok czystości, tajemniczy stosunek z niebem, coś w rodzaju widzeń Dziewicy Orleańskiej, a stąd głęboka wiara w to, że Bóg nigdy nie opuszcza prawdziwej czystości i niewinności, które się do niego o pomoc odwołują. Coś kapłańskiego jest w tej postaci, podobnie jak w postaci Joanny d'Arc. Jest to najbielsza i najbardziej strzelista ze wszystkich lilij, których tyle miało potem zakwitnąć na wodach poezyi polskiej.

Świteź poświęconą była Michałowi Wereszczace. Wstęp do ballady wyraźnie okazuje, że amiarem poety było uświetnić w poezyi nietylko

jezioro, którego widok tak go zachwycił, ale i nazwisko tej, której zawdzięczał pierwsze uczucie miłości, nazwisko Wereszczaków. Książę Świtezi bowiem, któremu imię nadał poeta od nazwy wsi Tuhanowicz, ma być protoplastą Wereszczaków i dlatego złowiona niewodem Świtezianka tak przemawia do młodych śmiałków, co się odważyli naruszyć ciszę głębi jeziornej:

Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty zuchwały i twoja gromada,
Wraz byście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie.

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta,
Dzieje tej cudnej topieli.

Jeżeli krew Tuhana i jego córki płynęła w żyłach Michała Wereszczaki, to nie brakło jej i w żyłach Maryli. Stawała się tedy Maryla krewną Świtezianek, więc i jej poniekąd się udzielał ów blask poetyczny, którym poeta oblewał srebrne wody jeziora i postacie tajemniczych jego mieszkanek.

Drugą z kolei balladą jest *Świtezianka.* I tu tłem krajobrazowem są sine wody Świtezi, oblane srebrzystem światłem księżyca, pomysł zaś oparty na owej wieści gminnej o nimfach wodnych tego jeziora, o której już wspomniałem.

Jak sobie gmin wyobrażał te Świtezianki? Zapewne nie tak poetycznie, jak je przedstawił poeta. W każdym razie należały one do szeregu tych bóstw wodnych niższego rzędu o ponętnej postaci kobiecej, które pojawiają się nietylko w mitologii słowiańskiej, ale i u Greków jako syreny, a u Indusów jako *apsaras.* Są one wszędzie przedstawicielkami żywiołu wodnego, który swoją zmiennością i ruchliwością nastręczał Aryjczykom porównanie do charakteru kobiecego. Ale zmienność i ruchliwość nie byłyby same groźnemi, gdyby się pod gładką, dziewiczo-uśmiechniętą powierzchnią spokojnej fali nie taiły ciemne otchłanie. Ta przepaścistość żywiołu, którego powierzchnia bywa tak cichą, słodką i ponętną, była powodem, że nimfy owe obok powabnej postaci kobiecej obdarzone zostały wszędzie, jeżeli nie zdradzieckim, to psotnym, groźnym dla człowieka charakterem.

Nasz poeta nie odjął Switezianom swoim groźnego charakteru, ani powabnej postaci, ale natchnął je wyższą myślą. Jego Świtezianki, tak w tej balladzie, jak i w następnej p. t. *Rybka,* nie są syrenami wabiącemi w zdradzieckie nurty

każdego wędrowca jedynie przez wrodzoną chęć gubienia męskiego rodzaju, ale występują jako mścicielki męskiej wiarołomności względem kobiet. Jedna z nich przybiera postać pięknej dziewczyny, aby zbadać serce młodziana, »który jest strzelcem w tutejszym borze«. Młodzieniec łatwo się dał ująć wdziękom dziewczyny, ale nie może jej nakłonić, aby przy nim została i zamieszkała w leśnej chatce, gdzie jest dostatkiem wszystkiego. Dziewczyna boi się niewierności męskiej:

Słowicze wdzięki w męszczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje,
Ale czy będziesz mnie stały.

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżyca blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

»Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy«!

Tę przestrogę dawszy, dziewczyna uchodzi, a strzelca błędny krok niesie nad brzegi jeziora, nad »srebrzyste Świtezi błonie«, z którego jakaś

»dziewicza piękność wytryska«, i tak czule wabi, tak słodko namawia, takie rozkosze obiecuje, że strzelec po krótkiem wahaniu »zapomniał o swej dziewczynie«, przysięgą pogardził świętą« i rzuca się ku Świteziance. Już jej dłoń śnieżną ciśnie w swojej dłoni, już ustami chce ust jej dotknąć różanych, gdy w tem

wietrzyk świsnął, obłoczek pryska
Co ją w łudzącym krył blasku,
Poznaje strzelec dziewczynę zbliska,
Ach, to dziewczyna z pod lasku!

»A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną:
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

Groźba spełniona, strzelec ginie w paszczy podwodnej, świtezianka ukarała śmiercią wiarołomstwo mężczyzny.

Jeżeli *Pierwiosnek* pod względem formy przypomina *Das Blümlein Wunderschön* Goethego, to *Świtezianka* jeszcze wyraźniej, bo niezbicie okazuje, że była napisana pod wrażeniem innej ballady Goethego, mianowicie *Rybaka.* Cudowna ta ballada weimarskiego Jowisza ma treść o tyle

podobną do *Świtezianki*, że i w niej nimfa wodna wychyla się z fali, ażeby zwabić w zdradziecką toń człowieka. Tylko inny duch — panteistyczny duch Goethego w niej przewiewa. Wodna kobieta mści się tu na człowieku nie za wiarołomstwo względem rodzaju niewieściego, ani go karze za jakiekolwiek przestępstwo względem ludzi, ale za to, co jest zwyczajną, niewinną rozrywką jego, za to, że »z ludzkim dowcipem i ludzką chytrością« wabi jej plemię, biedne rybki tak wesołe i szczęśliwe w wodzie, ku sobie na męczarnie śmierci. Czyż te rybki nie są cząstką bóstwa, podobnie jak człowiek? Czyż ich matka i karmicielka nie ma słusznego powodu do zemsty? A i to, co pociąga człowieka w przepaść wodną, przedstawione jest tu inaczej niż w *Świteziance*. U Mickiewicza młodzieńca o zapalnych zmysłach pociągają wdzięki kobiece, twarz nimfy podobna do bladej róży zawojów, jej stroje jak mgła lekkie, z zasłon błyskające piersi łabędzie, wreszcie obrazy rozkosznych snów »w łożu srebrnej topieli, pod namiotami zwierciadeł«. U Goethego nimfa jednem słowem skreślona: »wilgotna kobieta« *(ein feuchtes Weib)*, żadnych wdzięków jej nie widzimy, bo też nie one ciągną rybaka w toń ciemną; czar, jaki żywioł wodny, to *Ewig Weibliches* przyrody, wywiera na człowieka, występuje tu bezpośrednio, nie wcielają się w kształty ludzkie.

Labt sich die liebe Sonne nicht,
Der Mond sich nicht im Meer?
Kehrt wellenathmend ihr Gesicht
Nicht doppelt schöner her?
Lockt dich der tiefe Himmel nicht,
Das feuchtverklärte Blau?
Lockt dich dein eigen Angesicht
Nicht her in ew'gen Thau?

Pomimo tych różnic jednak, które wskazują, że pomysł ballady Mickiewicza jest oryginalnym, w niektórych ustępach dwóch ballad zachodzi taka zgodność, tożsamość niemal wyrażenia, a przytem harmonia wiersza *Świtezianki* tak przypomina o wiele doskonalszą zresztą harmonią *Rybaka*, że pewne naśladownictwo formy w *Świteziance* nie da się niczem zaprzeczyć. I tak pierwszy wiersz Goethego: *Das Wasser rauscht', das Wasser schwoll*, powtarza się kilka razy w *Świteziance* również jako jeden z tonów, którebym nazwał nastrojowymi. »Woda się burzy i wzdyma«, »burzy się, wzdyma i wre aż do dna« i t. d. Następnie cały ustęp jeden, kiedy świtezianka wabi strzelca do siebie:

Podbiega strzelec — i staje w biegu —
I chciałby skoczyć — i nie chce;
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka mu w stopy załechce.

I tak go łechce, i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa,

Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliwa.

cały ten ustęp wzięty jest również z *Rybaka*, mianowicie z ostatniej jego strofy:

Das Wasser rauscht, das Wasser schwoll,
Netzt' ihm den nackten Fuss;
Sein Herz wuchs ihm so sehnsuchtsvoll,
Wie bei der Liebsten Gruss.

Myślę, że nasz poeta świadomie wprowadził ten ustęp *Rybaka* do swojej ballady, nie sądząc, aby mógł tem odjąć jej cechę oryginalności. I rzeczywiście nie nadwereża on oryginalności, głównego pomysłu, ale w każdym razie utworowi hołdownicze poniekąd nadaje stanowisko. Hołdowniczość ta jednak o tyle mniej przynosi ujmy naszemu poecie, że *Świtezianka* jest jednym z najwcześniejszych jego utworów, że pisząc ją miał Mickiewicz nie wiele więcej nad lat dwadzieścia, podczas gdy Goethe tworzył swoje ballady w wieku dojrzałym, w czasach największego rozwoju swoich sił poetyckich i najdoskonalszego panowania nad formą [1]).

Obok wpływu Goethego odzywa się w *Świteziance* echo pasterskiej poezyi XVIII w., a prze-

[1]) Balladę *Das Blümlein Wunderschön* napisał Göthe w roku 1798, *Rybak* był wprawdzie napisany znacznie wcześniej, bo w r. 1779, ale i wtedy liczył już Göthe lat trzydzieści.

dewszystkiem widoczny jest wpływ Karpińskiego. Wiadomo, jak Mickiewicz lubił sielanki śpiewaka Justyny, jak w szczególności ulubionym jego śpiewem (tak pod względem słów, jak muzyki) była sielanka *Laura i Filon*. Otóż pokrewieństwo *Świtezianki* z tą sielanką jest widoczne i to pod różnymi względami. Naprzód kosz z malinami i wieniec:

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiatki do wianka...

wzięte są z sielanki, w której tak ważną odgrywają rolę:

Wezmę z koszykiem maliny swoje
I tę plecionkę różową;
Maliny będziem jedli oboje;
Wieniec mu włożę na głowę.

I oświetleniem księżycowem *Świtezianka* przypomina *Laurę i Filona*, choć naturalnie koloryt *Świtezianki* nierównie świetniejszy [1]). Dalej jest pewna zgodność w głównym motywie, którym jest zdrada miłosna. W sielance Karpińskiego zdrada jest tylko w podejrzeniu Laury, u Mickiewicza staje się rzeczywistością; nie mniej przeto pier-

[1]) Porówn. Dzieła Adama Mickiewicza wydanie Towarz. lit. im. Ad. Mick. T. I, str. 255, 256.

wszy pomysł zdrady w *Świteziance* mógł mieć źródło swoje w sielance Karpińskiego. Najwidoczniejsze wreszcie pokrewieństwo między tymi dwoma utworami jest w rytmie i budowie stroficznej.

Świtezianka, drukowana w *Dzienniku Wileńskim* w marcu 1822 miała dodane objaśnienie, że jest »wyjęta ze zbioru ballad i romansów, mających wkrótce wyjść na widok publiczny«, a u dołu datę: »Pisano w Płużynach nad Świetezią *(sic)* 12 sierpnia 1821 roku«. Podług wspomnień Odyńca miała być napisana wcześniej, mianowicie przed 1 listopada 1820 roku czyli przed dniem, w którym Odyniec poraz pierwszy wprowadzony został na posiedzenie literackiego grona Filaretów i w którym po raz pierwszy temu gronu miała być odczytaną. Widocznie pamięć zawiodła Odyńca i scena, którą tak żywo przedstawił, do późniejszego czasu się odnosi. Scena zaś była następująca: W celi Czeczota na ławkach i kuferkach pod ścianami usadowili się młodzi wyznawcy Apollina. Po odczytaniu przez Jeżowskiego rozprawy o pożytkach i potrzebie znajomości starożytnych języków, do stolika stojącego na środku pokoju, przykrytego kusym dywanikiem, a rozjaśnionego czterema umieszczonemi na rogach łojówkami, przystąpił Czeczot, trzymając w ręku kilka ćwiartek listu. »Był to list odebrany świeżo od Mickiewicza z Kowna, za-

wierający kilka jego nowych poezyj, z pozwoleniem przeczytania ich na posiedzeniu. Było ich mianowicie trzy: *Kurhanek Maryli*, *Świteź* i *Świtezianka*. Czeczot odczytał je z uczuciem, tak, że nawet czytając *Kurhanek*, musiał przerwać na chwilę, aby własne wzruszenie pokryć. Ale jak opisać wzruszenie, które ogarnęło słuchaczy, po przeczytaniu zwłaszcza nakoniec *Świtezianki*? Po sześćdziesięciu latach, dziś jeszcze, czuję je zda się i pamiętam jak wczora. Bez przesady i literalnie powiadam, że bicie serc słychać było; taka cisza i takie wrażenie zapanowało między obecnymi. Na pewno możnaby ręczyć, że każdy dzielił zachwyt bohatera ballady, gdy przed nim »ponad srebrzyste Świtezi błonie, dziewicza piękność wytrysła«, i że się każdy przeniewierzył odrazu uwielbianemu dotąd ideałowi poezyi klasyczno-francuskiej, jak on swojej »dziewczynie z pod lasku«.

Następująca z kolei ballada, *Rybka*, należy także do Świteziowego cyklu i dlatego zapewne umieszczoną została obok dwóch ballad, o których już była mowa. Bez wahania można ją nazwać najsłabszym utworem balladowym Mickiewicza; jest to bez wątpienia jedna z najwcześniejszych, bodaj czy nie najwcześniejsza ze wszystkich znanych nam ballad naszego poety. I tu ystępują Świezianki w charakterze, jaki im nał poeta w poprzedniej balladzie, to jest jako

karzące wiarołomstwo męskie. Ubogą Krysię obiecywał jakiś pan bogaty zaślubić; ta mu zaufała i oddała się zupełnie, a tymczasem ów pan, który ją tylko łudził, żeni się z kim innym, żeni się z księżną. W rozpaczy Krysia biegnie »na koniec łączki, gdzie w jezioro wpada rzeka« i wzywa świtezianki, aby ją przyjęły do swego grona i im porucza swoją krzywdę. Nie rzuca ona zresztą przekleństwa na niewiernego i żąda niewiele:

Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi,
Urągać się z mych boleści!

Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię Świtezianki;
Lecz moje dziecię — ach dziecię!

Krysia topi się, zostawiając swoje niemowlę na łasce wiernego sługi. Ten nie mogąc się doczekać matki płaczącego niemowlęcia, wychodzi z niem do lasu, na brzeg rzeki i woła Krysi, by dała piersi swemu dzieciątku. Ale daremne wołanie: już Krysia na dnie rzeki, a żwir jej oczki wyjada. Ale ktoś inny zastąpił Krysię; oto rybka plusnęła w kryształowej przezroczy i »całując mokre powierzchnie« podpłynęła do miejsca, gdzie stał sługa z dziecięciem.

Złotemi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciorka.

Wtem rybią łuskę odwinie,
Spojrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Rybka przedzierzga się w kobietę i daje piersi dzieciątku. Tą rybką jest Świtezianka. Spełnia ona codzień rano i wieczór ten miłosierny uczynek, i zastępuje niemowlęciu matkę. Sługa, który wynosi zawsze dziecię na brzeg jeziora, pewnego razu wstrzymuje się z przyjściem, ponieważ widział, że pan i pani poszli w tę stronę na przechadzkę. Usiadłszy za gęstym krzakiem czeka długo na powrót państwa, ale doczekać się nie może. Wreszcie, gdy noc zaczęła zapadać, wychodzi nad brzeg rzeczki i cóż widzi?

Przebóg! cudy czy moc piekła?
Uderza go widok nowy:
Gdzie pierwej rzeczułka ciekła
Tam suchy piasek i rowy.

Po brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu!
Ani pani, ani pana
Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiony sługa nie może głosu wydobyć, aby jak zwykle przywołać tej, co dawała piersi dzieciątku. Zaczął wreszcie wołać, ale nadaremnie, nikt się nie zjawił na jego wołanie. Sługa więc

Patrzy na rów i na głazy,
Otrze pot na licu zbladłem,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: Już zgadłem!

Czy i my wraz z owym sługą zgadujemy, co się stało? Zapewne, zgadujemy trochę, ale nie wszystko. Domyślamy się, że świtezianki zemściły się na wiarołomcy i człowieka o kamiennem sercu zamieniły całego w kamień, domyślamy się także, że i żonę jego ten sam los spotkał (bo cóżby znaczył ten wielki głazu kawał w kształcie dwóch ciał ludzkich?), ale czem sobie ona zasłużyła na taką karę? Co ma znaczyć to zniknięcie rzeczki? Dlaczego świtezianka nie wypłynęła jak zwykle, aby dać piersi dzieciątku? to wszystko jest dla nas tajemnicą. Tajemniczość jest właściwą balladzie, ale musi być mniej lub więcej przezroczystą; tutaj ani jeden promyk jej nie rozjaśnia. Dlatego też *Rybka* po

mimo pięknych strof pojedyńczych jest bardzo słabym utworem.

Pozwolę sobie wypowiedzieć mój domysł, dlaczego poecie nie udała się ta ballada i dlaczego mimo to nie usunął jej ze zbiorku. W ogólnym pomyśle ballady potrzeba odróżnić dwa motywy: 1) przemianę matki w rybkę i zjawianie się jej dla nakarmienia dziecięcia, motyw z małemi zmianami bardzo zwyczajny w baśniach i pieśniach ludowych słowiańskich; 2) zawiedzenie biednej dziewczyny przez pana, oraz kara, która go za to spotyka. Pierwszy motyw, — jak to wskazuje i przypisek poety »Myśl z pieśni gminnej« — wziął poeta niewątpliwie z jakiejś baśni białoruskiej, pokrewnej tej, którą podał Kulisz w *Zapiskach o jużnoj Rusi*[1]). Motyw drugi, nieznany ludowej poezyi, był własnym pomysłem Mickiewicza, podyktowanym mu zapewne od ducha szubrawskiego. Dwa te motywy nie dały się sprządz tak, aby je można było zakończyć razem: to też drugi motyw się skończył, kiedy pierwszy wisiał i poeta nie wiedział, co z nim zrobić. Odrzucić go całkiem? Szkoda! ten pierwszy motyw wprowadził właśnie do ballady najpiękniejsze strofy, z których parę przytoczyłem. Więc cóż innego? Otóż rzucić tajemnicę na zakończenie i w jej cieniu urwać nić

---

[1]) Записки о Южной Руси II, 23—26.

drugiego motywu. Poeta tak zrobił, ale że zrobił to z przymusu i niechętnie, świadczy o tem wybornie ostatnia strofa napisana tak, jakby jej autorem był jakiś mierny wierszopis. W tej strofie sługa

> Dzieciątko na ręce bierze,
> Śmieje się dzikim uśmiechem,
> I odmawiając pacierze,
> Wraca do domu z pospiechem.

Jak można śmiać się dzikim uśmiechem i zaraz po tem odmawiać pacierze? Krzywda, wyrządzona całości przez chęć oszczędzenia szczegółów, zemściła się nawet na tak wielkim poecie. Te piękne szczegóły, te strofy o świteziance karmiącej dziecię, były także zapewne przyczyną, dla której poeta nie usunął *Rybki* od druku.

O ile *Rybka* jest mglistą, mętną, pełną cudowności i niewyjaśnionych tajemnic, o tyle następująca po niej ballada *Powrót taty*, jest prostą, jasną, spokojną i wolną od wszelkiej cudowności. Można wprawdzie za cud uważać ocalenie ojca przez modlitwę dzieci, ale ten cud dokonywa się w sposób naturalny. Że w zatwardziałem sercu zbrodniarza znalazły się komórki, przez które wcisnęło się trochę litości i żalu, nie ma w tem nic nieprawdopodobnego. A przedstawienie rozbójnika, zdolnego skruchy i żalu, zgadza się zupełnie z tym charakterem, jaki lud

najczęściej nadaje rozbójnikom w swoich powieściach i balladach.

Jest w tej balladzie wdzięk, którybym nazwał dziecinnym. Poeta tworząc ją, przywołał zapewne na pamięć wspomnienia swoich trwog i obaw dziecinnych, jakie go trapiły, gdy mu się zdarzało jechać późną porą przez leśną okolicę, wspomnienia tych radośnych chwil z życia domowego, kiedy ktoś z rodziny długo oczekiwany powracał z podróży z podarunkami dla dzieci, a nareszcie wspomnienia modłów wspólnie przez pobożną jego rodzinę zanoszonych do Stwórcy. Na tle tych wspomnień osnuł swoją balladę i one to nadały jej ów wdzięk naiwny, jakiego w równej mierze żadna inna ballada Mickiewicza nie posiada, chociaż są bez wątpienia między innemi balladami świetniejsze od tej. Cóż się da porównać pod względem wdzięku naiwności z temi n. p. strofami, w których jest modlitwa dzieci opowiedziana?

Całują ziemię, potem w imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potem Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litaniją do Najświętszej matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem,
Najświętsza matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!

Kurhanek Maryli nazwany jest przez samego poetę romansem, t. j. romancą, i odpowiada zupełnie temu jej określeniu, jakie poeta dał przy końcu swej przedmowy. Jest on w istocie »poświęcony czułości«, nie ma w nim »zmyśleń dziwnych«, a forma jego jest dramatyczną. Co się tyczy stylu, który podług tej przedmowy »jak największą naiwnością i prostotą zalecać się powinien«, to jest on istotnie naiwny, ale naiwność jego jakże różną jest od tej, którą podziwialiśmy w poprzedniej balladzie. W niektórych ustępach *Kurhanka* naiwno-czuły ton jego żywo nam przypomina ckliwą sentymentalność sielanek przeszłowiecznej poezyi i świadczy wyraźnie, że poeta pisząc tę romancę, chociaż hołdował już romantyzmowi, nie mógł się wydobyć całkowicie z dawnej maniery [1]). Z tego też względu przedewszystkiem godnym uwagi jest ten utwór i dlatego poddaję go bardziej szczegółowemu rozbiorowi.

---

[1]) O widocznem pokrewieństwie *Kurhanka Maryli* z sielanką Karpińskiego *Korydon smutny na cześć Palmiry* patrz Dzieła Ad. Mickiewicza wyd. Tow. im. Ad. Mick. Lwów 1867, T. I. str. 158 i nast.

Cudzy człowiek płynie Niemnem z wiciną i ujrzawszy nad brzegiem rzeki piękny kurhanek, strojny murawą i ozdobiony kwiatami, zapytuje miejscowej dziewczyny, co znaczy ten wzgórek? Dziewczyna mu odpowiada, że to jest grób Maryli, która mieszkała w pobliskiej chacie i której dotąd nie przestają opłakiwać kochanek, matka i przyjaciółka. Jeżeli wędrowiec chce własnemi oczami ich boleść zobaczyć, niech się zatrzyma na chwilę i ukryje, bo »oto błysnął poranek« i z różnych stron wszystko troje dąży do kurhanka, aby jak zwykle opłakiwać Marylę.

Cudzy człowiek zatrzymuje się. Naprzód zbliża się kochanek i wylewa żale swoje. Są tam pomiędzy innymi wierszami takie:

Dawniej kiedy spać szedłem, tem słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Marylę.
I dawniej spałem mile!
Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki,
Może zamknę na wieki!

W tym lamencie nie ma prawdziwego uczucia. To, co kochanek dalej mówi i co po nim matka, jest prostsze i szczersze, ale występująca po nich przyjaciółka znowu wpada w ton manierowany:

Ach, gdy z tobą kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę;

Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

Myśl do *Kurhanka*, jak sam autor nam oznajmia, jest wzięta z jakiejś pieśni litewskiej. Ale nietylko myśl, i ton ludowy starał się poeta naśladować i w niektórych ustępach udało mu się zachować jego prostotę. Są tam też obok mdłych lamentów wiersze, jakby żywcem wyjęte z pieśni ludowej.

Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy,
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy;
Teraz się ojciec biedzi,
A ja ni ludziom, ni Bogu!

Tak więc w tym utworze jest jakby walka pomiędzy szczerym, prostym tonem uczucia pieśni ludowej, a podrabianą, konwencyonalną czułością sielanek przeszłego wieku. *Kurhanek Maryli* należy zapewne do wcześniejszych utworów poety, przypada na tę jeszcze chwilę twórczości jego, kiedy młody poeta chociaż za nowem już szedł hasłem i wyrywał się z dawnej maniery, ale się wyzwolić z niej zupełnie nie mógł.

Gustaw w czwartej części *Dziadów*, w parę lat potem pisanej, mówiąc o różnych rodzajach śmierci, przypomina sobie i śmierć owej kurhankowej Maryli i nawet śpiewa kilka początkowych wierszy z *Kurhanka*. Z jego słów »I taką

śmiercią Maryla, którą widziałem na łące«, jako też z dokładnego obrazu śmierci tej Maryli, możnaby mniemać, że nie była ona z fantazyi wziętą i że poeta własnemi oczyma patrzał na śmierć jakiejś młodej, pięknej i kochanej dziewicy [1]). Ale nie o to chodzi, tylko o ten obraz śmierci Maryli, który stanowi jakby dopełnienie, jakby wstęp do *Kurhanka.*

Ach i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem!
Patrz, patrz: blada na pościeli;
Jak na obłoczkach mglisty poranek.
Z płaczem dokoła stanęli
I smutny ksiądz u łóżka,
I smutniejsza czeladka,

---

[1]) Możnaby przypuścić, że tą dziewicą była Tekla Stypułkowska, cioteczna siostra poety. Według świadectwa p. Wł. Mickiewicza (Żywot Ad. Mick. I, 93) była ona nietylko bliską krewną, ale i przyjaciółką poety, a zapewne i przyjaciółką Maryli, skoro ta w ten sposób pisała do Mickiewicza pod adresem Zana (2 lutego 1822): »Los nie przestaje nas prześladować, gdyż do tylu goryczy, jakiemi życie mi dotąd było zatrute, nowym dopiero smutkiem jestem dotkniętą z powodu śmierci cnotliwej Tekli Stypułkowskiej (tamże I, 91). Potwierdzenie tego domysłu możnaby znaleść w słowach dziecięcia w IV części *Dziadów:*

Umarła! ach jak szkoda!
Słuchając płakałem szczerze.
Czy to znajoma twoja, czy *siostrzyczka młoda«?*

I smutniejsza od niej drużka,
I smutniejsza od nich matka,
I najsmutniejszy kochanek.
Patrz: uchodzi z lica krasa;
Wzrok zapada i zagasa,
Ale jeszcze, jeszcze świeci;
Usta, gdzie się róża kwieci,
Więdną, gubią blask szkarłatu,
I jak z piwonii kwiatu
Wycięty wąski listeczek
Taka siność jej usteczek.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma —
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka;
Ręce stygną, a serduszko
Bije z cicha, bije z rzadka,
Już stanęło, już jej nie ma;
Oko to niegdyś podobne słonku —
Czy widzisz księże pierścienie?
Smutna pamiątka została!
Jak w pierścionku
Brylant pała,
Takie jaśniały w oczach płomienie;
Lecz iskra duszy już się nie pali!
Błyszczą one jak rdzeni spróchniałej światełka,
Jak na gałązkach wody kropelka,
Kiedy ją wicher skrysztali.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma;
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka;
Ręce stygną; a serduszko
Bije z cicha, bije z rzadka,
Już stanęło — już jej nie ma!

Co za ogromna różnica pomiędzy tym obrazkiem o tak żywych a cudownych barwach, o tak głębokim nastroju lirycznym, a chłodnym i trochę ckliwym *Kurhankiem Maryli*. A przecież i tu i tam ten sam temat. Taką to olbrzymią przestrzeń w rozwoju swoim w krótkim przeciągu czasu przebiegł geniusz poety.

W następnej balladzie: *To lubię* na pierwszy plan występuje osobisty stosunek poety do Maryli Wereszczakówny. Ballada ta jest owocem jakiegoś przelotnego wesołego usposobienia, owocem chwili, w której poeta nawet na swój stosunek do kochanki, co się stał potem źródłem tak gorących i posępnych natchnień, umiał spoglądać z pewnym humorem. To też humorystyczna barwa tej ballady jest niezaprzeczona. Zanim ją poznamy, albo raczej przypomnimy sobie, zobaczmy, kiedy była napisana i skąd zaczerpnęła treści.

Balladzie *To lubię* towarzyszy wiersz *Do przyjaciół*. Przesłany on był z Kowna kolegom wileńskim Mickiewicza wraz z balladą, do której stanowi jakby wstęp, a raczej przedmowę. Otóż pod tym wierszem we wszystkich późniejszych wydaniach znajduje się bardzo szczegółowa data, a mianowicie: Kowno, dnia 27 grudnia 1821 r. Ta jednak tak szczegółowa data jest błędną. W grudniu 1821 r. nie mógł być Mickiewicz w Kownie, bo, jak się już wspomniało, cały rok

szkolny 1821/22 przepędził w Wilnie za urlopem, pocóżby na święta właśnie wyjeżdżał do Kowna? Ale w jakiż się sposób ten błąd wywiązał? Oto w pierwszem wydaniu pod tytułem »*Do przyjaciół*, posyłając im balladę *To lubię*«, stała data: »Kowno, d. 27 grudnia«. Rok nie był wymieniony, i w paryskiem wydaniu z r. 1844 starano się uzupełnić tę datę, podając błędnie rok 1821. Sam poeta wprawdzie przeglądał to wydanie, ale miał on wówczas tyle trosk na głowie, że nie można się dziwić, iż błędu nie dostrzegł.

W każdym razie z pierwszego wydania mamy wiadomość, na której można polegać, że ballada *To lubię* napisana była w Kownie przy końcu grudnia. Chodzi tylko o rok. Naturalnie, nie mogło to być później jak 1821 r., a zatem wahać się można tylko pomiędzy r. 1819 a 1820. Ale od Domejki wiemy, że Mickiewicz zostawszy profesorem w Kownie, przyjechał stamtąd zaraz na pierwsze swoje imieniny, to jest na Boże Narodzenie do Wilna, od Odyńca zaś wiemy, że następnego roku nie mógł przyjechać w tym czasie do swoich przyjaciół z powodu, iż był słaby a bardzo silne wtedy panowały mrozy. Tak więc napewno można twierdzić, że wiersz *Do przyjaciół* i ballada *To lubię* napisane były podczas świąt Bożego Narodzenia w Kownie, 1820 roku. Bardzo chorym zapewne nie był poeta, skoro mógł pisać wiersze, a może już miał się ku wyzdrowie-

niu; przytem swoboda świąteczna a wraz z nią i większa niż zwykle samotność usposabiały do pisania. Postanowił więc napisać dla przyjaciół »coś okropnie« i »coś miłośnie«, »o strachach i o Maryli«.

Skądże ten temat? Poeta przypomniał sobie jednę z chwil spędzonych razem z Marylą. Było to wspomnienie niedawne, sądzę nawet, że na podstawie dwuwiersza:

> Może też pamięć o minionej wiośnie,
> Zimowy wierszyk umili — [1]).

można dokładniej oznaczyć czas, do którego się odnosiło. Prawdopodobnie na Wielkanoc 1820 r. poeta jeździł do Nowogródka a stamtąd odwiedził Wereszczaków. Następnie razem z nimi odbywał jakąś podróż; dokąd, nie wiem, może z powrotem do Nowogródka, może w inne miejsce, ale to pewna, że razem nocowali we wsi Rucie. Są dwie Ruty niedaleko głównej drogi, wiodącej z Nowogródka do Mira, obie na prawo od niej a blisko siebie. Prawdopodobnie Ruta, o którą chodzi, była ową Rutą, która należała do znajomego Mickiewiczów, Rostockiego, i może tamtędy szła jakaś bliższa droga z Tuhanowicz

---

[1]) Wiem, że »miniona wiosna« ma tu znaczenie przenośni, ale nic nie przeczy, aby wyrażenie to nie miało tu i dosłownego znaczenia.

do Nowogródka [1]). Otóż w tej Rucie na noclegu Mickiewicz wymawiając Maryli żartobliwie obojętność, a mianowicie, że »choć jej kto k o c h a m mówił po sto razy, nie rzekła nawet i l u b i ę«, straszył ją powieścią o pewnym duchu, który się w tej wiosce koło starej cerkwi pokazywał podróżnym i różne im wyrządzał szkody. Objawił on się także kiedyś i samemu poecie, a przypadkiem wyzwolony przez niego słówkiem »to lubię« z mąk czyścowych, opowiedział mu swoje dzieje, wzywając go, aby powtórzył je »innym dla nauki«. Tym duchem była dziewica zupełnie podobna do Maryli z usposobienia, społecznego stanowiska a nawet z imienia, a przyczyną mąk czyścowych była obojętność na łzy i rozpacz kochanka. Stąd naturalnie żartobliwa przestroga dla żyjącej Maryli.

Otóż tę scenę straszenia Maryli przypomniał sobie wówczas poeta i na ten temat napisał balladę: *To lubię*. Ma ona formę opowiadania zwróconego do kochanki (Spojrzyj Marylo, gdzie się kończą gaje). W opowiadaniu tem poeta wskazuje naprzód kochance to miejsce, na którem się

---

[1]) Podług E. Pawłowicza (Wspomnienia z nad Niemna i Wilii, Lwów 1883, str. 52) droga, którą Mickiewicz zwyczajnie jeździł z Nowogródka do Tuhanowicz prowadziła przez Przyłuki, a stąd na lewo »przez najpiękniejsze okolice powiatu zwane Szwajcaryą nowogródzką«.

zwykle duchy pojawiają i opisuje ich postać, a potem własną opowiada przygodę.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje;
Próżno woźnica przynagla do biegu,
Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skaczą z całej mocy!
Dyszel przy samej pękł szrubie!
Zostać na polu samemu i w nocy,
To lubię, rzekłem, to lubię!

Ledwie dokończył tych słów, kiedy się pojawia czyścowa dusza w postaci widziadła w białych szatach z wieńcem ognistym na skroni i podziękowawszy mu, iż ją z czyścowych mąk wybawił »tem jednem słówkiem: To lubię«, zaczyna mu własne opowiadać dzieje. Tak więc jak w *Świtezi* w jedno opowiadanie wsuwa się drugie, które stanowi właściwe jądro ballady. Opowiadająca, żyjąc ongi na świecie, była młodą piękną, bogatą, córką pierwszego urzędnika w powiecie. Jej posag i uroda ściągały zewsząd zalotników.

Mnóstwo ich marnej pochlebiało dumie,
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznem kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

Pomiędzy innymi był dwudziestoletni Józio,

»młody, cnotliwy, nieśmiały«; objęty miłosnym zapałem, niknął prawie w oczach, ale jego boleść i rozpacz obudzały w sercu Maryli tylko śmiech i radość.

»Ja pójdę! mówił ze łzami — »Idź sobie!«
Poszedł — i umarł z miłości —

Ale niebawem zjawił się duch jego, porwał Marylę, uniósł i »w czyścowe rzucił potoki«, gdzie usłyszała taki wyrok na siebie wydany: za to że miała serce jakby z głazu i że nikt nigdy niczem nie mógł od niej uprosić słodkiego słowa miłości —

Za taką srogość długie, długie lata,
Dręcz się w czyścowej zagubie;
Póki mąż jaki z tamecznego świata,
Nie powie na cię choć: lubię.

A prosić miała »nie łzą, nie namową, ale przez strachy i dziwy« nic więc dziwnego, że przez całe sto lat nikt jej nie rzekł tego słowa i nie wyzwolił z czyścowych męczarni. Poeta pierwszy rzucił jej to wyzwalające słowo i przez wdzięczność za to chce mu ona objaśnić przyszłość:

Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość z pod ciemnych wskażę chmur,
Ach! i ty poznasz Marylę — lecz ona —
W tem na nieszczęście zapiał kur.

Duch zniknął, nie objaśniwszy przyszłości i zostawiając pole do najrozmaitszych domysłów.

Czy poeta, pisząc balladę *To lubię*, przewidywał, przeczuwał bliskie rozwiązanie swego stosunku do Maryli? Sądzę, że nie. Gdyby inaczej było, wątpię, czyby pisał balladę na ten temat i w tonie humorystycznym. Tak samo, jak przy pisaniu *Warcab*, o których wkrótce będzie mowa, tak i tutaj, duch jego znajdował się w stanie jakby zawieszenia pomiędzy nadzieją a rezygnacyą. Nadzieja była słaba, mglista, nieokreślona, ale ujmowała ciężaru rezygnacyi, czyniła ją lżejszą i pozwalała jej niekiedy kojarzyć się z humorystycznym tonem.

Ballada *To lubię* miała w pierwszem wydaniu ciekawy dopisek następującego brzmienia: »Ta ballada jest tłómaczeniem wiejskiej pieśni; jakkolwiek zawiera opinie fałszywe i z nauką o czyścu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmieniać, aby tem wyraźniej zachować charakter gminny i dać poznać zabobonne mniemania ludu naszego. Najbłędniejsze zaś jest zakończenie tej pieśni przez śpiewanie Anioł Pański«.

Nie potrzeba dowodzić, że ta ballada nie mogła być tłómaczeniem wiejskiej pieśni. Sama jej treść, zastosowana najwyraźniej do osobistych stosunków poety, jawnie świadczy, że mamy tu do czynienia nie z pieśnią wiejską, ani z ludowem podaniem, ale z wymysłem fantastycznym samego

poety. Pojedyńcze rysy podań ludowych: błąkanie się duszy zaklętej, to, że straszyła przejezdnych, nareszcie wyzwolenie jej z zaklęcia, te rysy mogły być wzięte z przędzy podań ludowych, ale fabuła, którą z nich poeta ułożył, jest niewątpliwie jego wyłączną własnością. Cóż więc znaczył dopisek? Oto zrobiony był dla cenzury, a nawet mniemam, że ostatni jego ustęp przez samego cenzora był dodany. Ówczesna cenzura w Wilnie należała do uniwersytetu, który na cenzora wybierał jednego ze swych profesorów. Taki cenzor pobierał sto rubli rocznie, co Lelewel w listach swoich nazywa »ładnym dodatkiem«. Jednakże o ten dodatek wcale się nie ubijano, ponieważ cenzorowie, jako odpowiedzialni przed władzą polityczną, wystawieni byli na różne nieprzyjemności. I tak Lelewelowi, wkrótce po jego przyjeździe do Wilna, jeszcze w roku 1815, ofiarowywano cenzurę. »W tych czasach spotykało mnie dość na równej drodze szczęście, za które jednak wypadło podziękować. Ofiarowano mi sekretaryat cenzury, gdzie cała robota przychodzące niekiedy pisma do cenzury w protokół wpisywać i wydawać je z cenzury, za co rubli srebrnych 100. Mało roboty, bo i nic, dodatek ładny, ale wypadało się w to nie wdawać, a spodziewam się, że to wyjdzie na lepsze« [1]).

[1]) Lelewel. Listy I, 215.

W siedm lat potem, w r. 1822, kiedy reakcyjne prądy panowały już u góry i władze polityczne baczniejszą niż przedtem uwagę zwracały na cenzurę, stanowisko cenzorów było jeszcze trudniejsze i przykrzejsze. Cenzorem na wiosnę r. 1822, kiedy się pierwszy tomik poezyi Mickiewicza miał drukować, był ks. Kłągiewicz, profesor teologii dogmatycznej i historyi kościelnej, później biskup wileński. Michał Baliński nazywa go »mężem prawym, oświeconym, w naukach duchownych biegłym«. Czy ks. Kłągiewicz uznawał prawo poezyi do swobodnego traktowania dogmatów religijnych, tego nie wiem; to jednak zdaje się być rzeczą pewną, że dając aprobatę na drukowanie ballady *To lubię*, mógł ściągnąć na siebie pewne zarzuty. Nie chciał tedy dać aprobaty na balladę bez dopisku, który neutralizował niejako zawarte w balladzie pojęcia o czyścu, niezgodne z nauką kościelną.

Nad przekładem *Rękawiczki* Szyllera, który następował z kolei po balladzie *To lubię*, nie będę się rozszerzał. Jest to przekład piękny, o całe niebo wyższy od przekładów Kamińskiego i Minasowicza, ton oryginału w ogóle zachowany jest wiernie, jednakże obok wierności, nie ma ten przekład swobody, jaką odznaczają się późniejsze przekłady Mickiewicza n. p. *Giaur* lub urywki z Szyllera w *Dziadach*. Jednem słowem nie można go postawić zupełnie na równi z ory-

ginałem. W jednym nawet ustępie, mianowicie kiedy lew rykiem swoim poskramia lamparty i tygrysa, nadwerężył Mickiewicz wierność w sposób osłabiający wrażenie, jakie ta scena wywiera. U Schillera ustęp ten brzmi:

Und der Leu mit Gebrüll
Richtet sich auf, da wird's still;
Und herum im Kreis,
Von Mordsucht heiss
Lagern sich die gräulichen Katzen.

W przekładzie Mickiewicza czytamy:

Wtem lew podniósł łeb do góry —
Zagrzmiał — i znowu cisze.
A dzicz z krwawemi pazury
Obiega, za mordem dysze;
Dysząc na stronie przylega.

U Schillera nie ma mowy o obieganiu zwierząt wkoło; ryk lwa jest tak groźny, że dzicz od razu przylega do ziemi. Godną jest także uwagi okoliczność, że zakończenie ballady, począwszy od słów »*Und zu Ritter Delorges* itd.« u Schillera zawarte w dwudziestu wierszach, Mickiewicz pomieścił w czternastu. Nie wyszło to jednak na dobre przekładowi; to delikatne cieniowanie uczuć, jakiem się odznacza oryginał w tym końcowym ustępie, znikło ze zbyt ściśniętego przekładu.

Dwie następujące ballady, *Pani Twardowska* i *Tukaj*, czerpią treść z podań o Twardowskim. Musiał to być ponętny temat dla młodych romantyków wileńskich, skoro Zan napisał balladę p. t. *Twardowski*, a Mickiewicz nie poprzestał na tych dwóch balladach, ale i do trzeciej, która miała wejść w skład pierwszej części *Dziadów*, wprowadził także rycerza z Twardowa. I w istocie nie mogło być inaczej. Zwróciwszy się do świata pieśni i podań ludowych, jako do najbogatszego źródła poezyi rodzimej, nasi młodzi poeci w całym tym świecie nie mogli znaleźć równie znakomitej i zajmującej postaci. Niemało też w ich oczach dodawało blasku Twardowskiemu widoczne jego pokrewieństwo z Faustem, nad którym, jak wiemy z listów Odyńca, młodzi romantycy wileńscy »rozpływali się w admiracyach«.

Ażeby dokładnie ocenić, jak skorzystał Mickiewicz z podania o Twardowskim i o ile stworzył z niego narodową postać, potrzeba przypomnieć sobie główne rysy owego podania i porównać Twardowskiego z Faustem.

Twardowskim zaczęto się zajmować w literaturze naszej i spisywać podania o nim dopiero w dziewiętnastym wieku, równocześnie z budzeniem się romantyzmu. Z poprzednich wieków, począwszy od XVI, przechowały się w literaturze naszej krótkie tylko i nieliczne wzmianki

o nim. Mickiewicz prawdopodobnie czerpał tylko z ustnych, nieujętych jeszcze w piśmie podań, i te jako rozproszone, może nie wszystkie były mu znane, gdy pisał *Pani Twardowską* [1]).

Ustne podania przedstawiały Twardowskiego, jako lekkomyślnego, hulaszczego szlachcica, który zapisał duszę dyabłu, ażeby módz dogadzać wszystkim zachciankom swojej bujnej fantazyi. Sypał złotem, latał bez skrzydeł, pływał łodzią bez wioseł, szkłem zapalał przedmioty o sto mil odległe. Wesołego będąc humoru, lubił płatać figle a szczególnie własnej żonie. »Pani Twardowska — powiada Wójcicki w swoich *Klechdach* — na rynku Krakowa ulepiła z gliny domek; w nim przedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona ze złości wyklinała w pień co żyje, on siedząc

[1]) Wiemy też od Bohdana Zaleskiego, (Pisma, Lwów 1877, T. II, str. 128), że Mickiewicz znał jakąś pieśń polską o Twardowskim, zasłyszaną w dzieciństwie między zaściankową szlachtą na Litwie i że jeszcze w Lozannie pamiętał tę oto zwrotkę tej pieśni:

Jak się masz Twardowski? jak się ma dusza?
Twardowski nie zważa i dalej rusza,
Drum-drum! drum-drum! i dalej rusza.

Nie zdaje się jednak, aby korzystał z tej pieśni przy tworzeniu ballady; nie widzimy żadnego pokrewieństwa ani w rytmie, an w treści pomiędzy balladą *Pani Twardowska* a przytoczonym urywkiem.

w pięknej kolasie śmiał się szczerze i wesoło [1]). Na jego żądanie dyabeł tyle naznosił srebra do Olkusza, że się tam utworzyły kopalnie, dla niego przewrócił Pieskową skałę grubszym końcem do góry. Czarodziejską siłą mógł Twardowski wywołać postacie zmarłych osób i pokazywać je żyjącym, i tak pokazywał Zygmuntowi Augustowi cień Barbary. Do podobnych czarodziejskich sztuk służyło mu kruszcowe zwierciadło, które do dziś ma się znajdować w skarbcu kościelnym w Węgrowie na Podlasiu. Twardowskiemu nareszcie przypisano odkrycie sposobu odradzania się.

W ugodzie z dyabłem stało, że po tylu a tylu latach Twardowski miał się udać do Rzymu i tylko stamtąd dyabeł miał prawo zabrać jego duszę. Ale termin upłynął, a Twardowski nie myślał o podróży do Rzymu. Dyabeł więc podstępem sprowadza czarodzieja do karczmy, która się Rzym nazywała i staje przed nim z cyrografem. Przestraszony Twardowski, nie wiedząc jak ujść szponów dyabelskich, chwyta małe, świeżo ochrzczone dziecię na ręce. Była to rzeczywiście dobra obrona; dyabeł nie śmiał zbliżyć się do niewinnego dziecięcia, ale i tu znalazł radę. Przemówił do ambicyi szlacheckiej czarodzieja: *Verbum nobile debet esse stabile.* Na ten argu-

[1]) Wójcicki. Klechdy. Warszawa 1876, 109—111 i 124—130.

ment Twardowski puścił dziecię i dał się unieść dyabłu.

Kiedy się już wysoko wznieśli nad ziemię, Twardowski, któremu skrucha przejęła serce, przypomniał sobie kantyczkę, którą kiedyś dawniej, nie mając jeszcze stosunków z czartem, utworzył był na cześć Najświętszej Panny — i zaśpiewał ją. To go ocaliło. Dyabeł, usłyszawszy pieśń nabożną, puścił go jak oparzony i odleciał precz, Twardowski zaś został zawieszony w powietrzu i w takiem zawieszeniu ma zostawać aż do dnia Sądnego.

Nie tu miejsce naturalnie roztrząsać, w jaki sposób się ta klechda czy też podanie utworzyło jeżeli chcę porównać Twardowskiego z Faustem, to dlatego tylko, ażeby z podania o pierwszym wydobyć to, co nosi na sobie piętno narodowego charakteru. Mniemam bowiem i może kiedyś uzasadnię to mniemanie, że oba podania płynęły z jednego źródła i jednem korytem, a rozdzieliwszy się potem na dwa ramiona wciągały w siebie wiele właściwości narodowych, przeobrażając tym sposobem podanie kosmopolityczne na narodowe. Otóż przez porównanie niemieckiego podania z polskiem odkryjemy właściwości narodowe tego ostatniego.

Faust jest tak samo czarodziejem, jak Twardowski, żyje w tym samym czasie, uczy się nawet magii w Krakowie, tak samo duszę dyabłu

zapisuje, tak samo pokazuje duchy dawno zmarłych osób (naprzykład na dworze Karola V w Insprucku duch Aleksandra Wielkiego i jego żony), tak samo jak nasz czarodziej, z innego tylko powodu, odbywa wycieczkę z dyabłem przez gwiazdy, tak samo zdolny jest skruchy, a nawet podług niektórych źródeł, mianowicie podług sztuk maryonetkowych, również błaga Bogarodzicę o pomoc, i tak samo w końcu zostaje porwany od dyabła, a dzieje się to — rzecz godna uwagi — w wiosce, której nazwa bardzo podobna do polskiego Rzymu, w wiosce Rimlich.

Obok tych podobieństw zachodzi wiele różnic między jednem a drugiem podaniem. A przedewszystkiem różni się stanowczo Faust od Twardowskiego charakterem. Faust odznacza się badawczym, zaciekającym się duchem, »chce zbadać wszystkie przepaści na niebie i ziemi«, i jako taki jest wyrazem narodowej skłonności Niemców do filozoficznego zaciekania się, Drugą wybitną cechą jego charakteru jest zmysłowość. Faust nie jest żonatym, jak nasz Twardowski. Chce on się ożenić, ale dyabeł nie dopuszcza tego, aby go trzymać w życiu rozwiązłem; to też Faust nurza się w rozpuście. W chwili skruchy Fausta i modlitwy do Najświętszej Panny, Mefistofel znajduje jeden tylko sposób, ażeby odwieść jego myśli od Boga: pokazuje mu najpię-

kniejszą kobietę, Helenę, i obiecuje mu ją dać w posiadanie — i Faust znowu na wieki wyrzeka się Boga. Stąd i koniec Fausta jest inny. Dyabeł zostawiwszy jego ciało na ziemi, porywa duszę i bez przeszkody niesie ją do piekła.

Nietylko narodowe, ale i wyznaniowe piętno noszą dwa te podania. Niemiecka saga rozwinęła się pod wpływem pojęć protestanckich; polska pod wpływem katolickich. Dyabeł, który w polskich klechdach pojawia się zwykle w stroju Niemca, w niemieckiem podaniu o Fauście przybiera niekiedy postać mnicha. Zawieszenie w powietrzu Twardowskiego jest rodzajem kary czyscowej; w najstarszej zaś księdze o Fauście czyściec wyśmiewany jest wraz z odpustami i mszą, a Faust osadzony jest w głębi piekła. Wreszcie bezżenność Fausta w niemieckiem podaniu występuje jako argument przeciw celibatowi. Co się tyczy czysto katolickiego rysu, jakim jest odwołanie się do Bogarodzicy, to on, jak już wspomniałem, spotyka się tylko w maryonetkowych przedstawieniach niemieckich; w najstarszych księgach o Fauście z XVI wieku nie ma go wcale.

Tak więc, wracając do klechdy o Twardowskim, czysto polskim w niej żywiołem jest najprzód charakter czarodzieja, jego lekkomyślność, wesołość, hulaszczość, figlarność i bujna fantazya. Wchodzi on w pakt z dyabłem, prawie ni

wiedząc o tem, że grzeszy. Żyje bez udręczeń sumienia, nie myśląc o końcu, jaki go czeka, i dopiero w ostatniej chwili przestrach go ogarnia. Pomimo tego jednak dla dyabła trudniejsza z nim sprawa niż z Faustem. Czysto-rodzimym tu znowu rysem polskiego podania jest porwanie na ręce niemowlęcia. Niewinność jego rozbraja nawet piekielną potęgę. Ale najbardziej Polakiem i to szlachcicem polskim okazuje się Twardowski w chwili, gdy mu dyabeł przypomina *verbum nobile:* gotów jest Twardowski raczej iść do piekła, niż pozwolić, aby się ujma stała jego honorowi szlacheckiemu. Rodzimą nareszcie, a pełną głębokiego znaczenia allegoryą jest zawieszenie grzesznika między niebem a ziemią.

Mickiewicz, przypuszczając nawet, że gdy pisał *Panią Twardowską*, znał już wszystkie podania o Twardowskim, nie mógł ich wszystkich wciągnąć w szczupłe ramy ballady. Ale co wybrał z nich i jak przedstawił Twardowskiego?

Tragiczny żywioł jest i w naszem podaniu, jakkolwiek w mniejszej mierze niż w niemieckiem; tragiczną może być i lekkomyślność, gdy wiedzie do tragicznych następstw, a tragicznem jest bez wątpienia zawieszenie Twardowskiego między niebem a ziemią. Ale daleko obficiej tryska z tych podań żywioł humorystyczny. Szatan w powieściach naszego ludu nie jest tak

groźnym, przebiegłym wrogiem, jak go nauka kościelna przedstawia; nie jednemu chłopu dał się oszukać. Stwierdza to nawet przysłowie narodowe: »nie taki dyabeł straszny, jak go malują«. Stąd też stosunek z dyabłem nie wywoływał wielkiej grozy, a zawsze otwierał szerokie pole humorystyce.

Czuł to zapewne Mickiewicz, gdy postanowił podanie o Twardowskim traktować humorystycznie [1]). Wybrał z podania ostatnie spotkanie się Twardowskiego z dyabłem, ale wydzielił z niego wszystko, cokolwiek mieściło w sobie pierwiastek tragiczny, a natomiast dodał własne zakończenie, zupełnie nieznane klechdzie, dorobione wszakże po części w duchu tych pojęć ludu o dyable, o jakich tylko co była mowa.

Twardowski zachował u Mickiewicza charakter, jaki mu klechda nadała. Jest to hulaka, psotnik, szaławiła. Siedzi w karczmie pośród wesołego, gwarnego a różnolitego grona, wśród dymu lulek, brzęku kielichów i hołubców tanecznych, ani przeczuwając, że ta karczma jest połapką na jego duszę. Istny to raj dla takiego, jak on, oczajduszy.

---

[1]) W balladzie Zana p. t. *Twardowski* temat jest poważnie pojęty i przedstawiony. Jeżeli ballada Zana wcześniejszą była od *Pani Twardowskiej*, to między pobudkami, które skłoniły Mickiewicza do obrania strony humorystycznej, może była chęć przeciwstawienia swej ballady balladzie Zana.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha cha, chi chi, hejże hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza;
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Gdzie się obróci, tam figla spłata, a cóż to za figle można płatać, mając czarodziejską moc na zawołanie! A figle te nie są bezmyślnym wybrykiem fantazyi; Twardowski zna swoich towarzyszy i wie co komu wypłatać. Jakiś *miles gloriosus* za świśnięciem jego szabli zamienia się w zająca, tam z patrona trybunału za podzwonieniem kieski robi się kondel, ówdzie ze łba szewskiego utacza Twardowski pół beczki wódki. Te sztuki czarodziejskie nie wywołują żadnego zgorszenia, a pobudzają do tem większej ochoty; widocznie Twardowski jest ulubieńcem hulającej rzeszy. Wtem wśród najhuczniejszej uciechy na dnie jego kielicha zjawia się gość nieproszony.

Dyablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,

Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznokcie.

Jednem słowem dyabeł w swojej zwykłej postaci staje przed Twardowskim i przypomina mu, że podług umowy z piekłem zawartej, powinien już był dawno pojechać do Rzymu, skąd miał być przez czartów porwany.

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma Rzym się nazywa,
Kładę areszt na waszeci.

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum,
Dyabeł za kuntusz ułapił:
»A gdzie jest nobile verbum«?

Trudna rada, słowo szlacheckie, chociażby dyabłu dane, obowiązuje. Twardowski zostaje. Dotąd ballada trzyma się dość wiernie podania; od tego miejsca rozstaje się z podaniem, aby iść własną drogą. Twardowski, choć został, nie daje za wygraną. Przypomina on Mefistofelesowi (nazwy tej nasze podanie nie zna, jest ona wzięta z *Fausta* Goethego), że na mocy kontraktu przed porwaniem duszy, winien jeszcze dyabeł spełnić trzy polecenia mistrza, jakkolwiek one będą trudne. Pierwsze polecenie (z konia wymalowanego na szyldzie zrobić żywego, skręcić bicz z piasku

wybudować gmach z ziarnek orzecha i t. p.) spełnia Mefistofel w mig i ochoczo. Fraszka to dla dyabła, skoro i czarownik potrafi takich rzeczy dokonać, bo w takich razach nie chodziło zwykle o rzeczywiste tworzenie, ale o złudę tylko, o to, co w ludowym języku nazywa się »puszczeniem tumanu«. To też Twardowski zadał tę pierwszą próbę, jakby dla zabawki. Następuje druga — straszna dla dyabła — skąpać się w święconej wodzie. Zimny pot oblał go na samą myśl o tem, ale i tę próbę odbył.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum, parsknął raźnie.
— Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię.

Ale Twardowski nie traci fantazyi; zachował on na ostatek najcięższą próbę i pewny jest, że dyabeł jej nie wytrzyma.

Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska;
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie,
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.

Tej próby dyabeł się nie spodziewał; niczem wobec niej była woda święcona. Uciekł i nie pokazał się więcej...

Tak więc ballada rzuca podanie, aby się zamienić w humorystyczną wycieczkę przeciw złym żonom. Nie jest to jedyna w poezyi Mickiewicza strzała humoru i dowcipu w tę stronę puszczona, przypominam wiersze: *Strzyżono i golono* i *Żona uparta*; widocznie typ złej, przekornej i upartej żony, wobec której ani rozum, ani siła męska nic poradzić nie mogą, typ tak odmienny od ideału niewieściego, jaki piastował w duszy nasz poeta, musiał mu się wydawać szczególnie humorystycznym. Ale skąd się wziął tutaj i czy był na miejscu?

Wspomniałem już, że dyabeł w baśniach naszego ludu »nie jest tak czarny lub straszny, jak go malują«. Jest inne jeszcze przysłowie o dyable, również powszechnie znane: »Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle«. Przysłowie to, wskazując bezsilność dyabła w pewnych razach, przedstawia jednocześnie złą kobietę, jako coś gorszego, przebieglejszego i przewrotniejszego [illegible] samegoż czarta. Jeżeli poeta znał *Gońca cnc* [illegible] Stryjkowskiego, to musiał wiedzieć, że »Zła żo[illegible]

trzemi funty jest gorsza dyabłowi«. Znał też zapewne Mickiewicz bajkę St. Jabłonowskiego p. t. *Żona i dyabeł*, która w podobny sposób przedstawia stosunek dyabła do złej kobiety. W podaniu o Twardowskim znalazł się szczegół, który pozwalał poniekąd rozwinąć temat podaniowy w tym kierunku. Wiemy, że pani Twardowska sprzedawała garnki na rynku krakowskim, i że mąż kazał czeladzi swojej tłuc jej garnki, ażeby się potem bawić wybuchami jej złości. Była tedy pani Twardowska przekupką, musiała więc mieć te wszystkie wady, jakie się łączą z pojęciem przekupki i musiały być w niej one w wysokim stopniu spotęgowane; musiała ona dać się we znaki mężowi, skoro temu chciało się płatać jej podobne figle Z przekupki tedy łatwo się dawała przeobrazić pani Twardowska w złą żonę, w złą babę, z którą nawet sam dyabeł nie umiałby dać sobie rady

Tak więc Mickiewicz po wierzchu tylko musnął podanie, nie zanurzył się w głąb jego, nie wydobył z niego jakiejś poważniejszej myśli i zamiast poważnej ballady stworzył fraszkę humorystyczną. Ale fraszka ta jest arcydziełem w swoim rodzaju; swoboda humoru i prostota wyrażenia jest tu nieprześcignioną i wiersze płyną tak łatwo i tak naturalnie, jakby się same bez pomocy ludzkiej składały i dobierały.

Że podanie o Twardowskim i w późniejszych latach zaprzątało fantazyą Mickiewicza, choć osta-

tecznie zapłodnić jej nie mogło, świadczy o tem pewien ustęp z listów Odyńca. Było to w Weimarze, 1829 roku, 28 sierpnia. Poeci nasi, Mickiewicz i Odyniec, powrócili byli do siebie wieczorem po przedstawieniu *Fausta* Goethego, którego pierwszy raz widzieli wówczas na scenie, i zapuścili się w dłuższą rozmowę o tej sztuce. W ciągu rozmowy zapytał Odyniec Mickiewicza, dlaczegoby nie pomyślał o napisaniu jakiegoś większego poematu o Twardowskim? Mickiewicz odpowiedział śmiejąc się, że wiele razy istotnie przemyśliwał nad tem, zwłaszcza kiedy był w dobrym humorze. »Twardowski według jego planu, musiałby być przez pół jowialnym — jeżeli nie on sam, to przynajmniej poemat o nim. Jowialność ta mianowicie mogłaby być w ustawicznych kłopotach dyabła o duszę swego pupila, która mu się co chwila chce wymknąć; to jest, że ulegając wszelkim pokusom, które mu dyabeł podsuwa, i brojąc złe na wszystkie strony, działa on zawsze tylko z fantazyi, z junakieryi i lekkomyślności, ale pomimo wszelkich usiłowań dyabła, nigdy się nie da doprowadzić do tego, aby czynił złe ze złej woli, z wiedzą i zamiłowaniem złego, choćby nawet dla dogodzenia sam sobie. Chce on tylko tego jednego: módz wszystko i robić wszystko, co mu się podoba, bez żadnej innej pracy, prócz zachcenia; i dlatego jedynie zapisuje się dyabłu. Tymczasem na

każdym kroku spotyka się z kimś, albo z czemś takiem, co go ku dobremu pociąga; i dyabeł musi wysilać się na sztuki, aby go wnet od tego odwrócić — co mu się też bez trudności udaje. Największy jednak ma kłopot ze szczerą i niezachwianą w nim miłością matki, (choć ją sam wciąż bezwiednie dręczy i zabija), i w ogólności z Polkami. Bo co go pokusi przez którą, to zaraz w każdej znajduje się jakiś pierwiastek, który go na dobrą drogę nawraca; tak, że dyabeł musi nakoniec sprowadzić jakąś Paryżankę na dwór królewski w Krakowie, aby się już z tej strony całkiem zabezpieczyć. Ale i na innych punktach toż samo. Twardowski, póki broi, nie uważa na nic; ale jak tylko skutek swoich brojeń zobaczy, przeraża się i zaczyna żałować. Bojaźń srogości ojca, który go czeka z kańczukiem i surowość księdza Regensa, który go straszy dyabłami i za figle wypędza z konwiktu, nasuwa mu pierwszą myśl szukania pomocy u dyabła. Przez junakieryą podpisuje cyrograf. Ale się zawsze w gruncie boi Pana Boga jak ojca; a nie śmiąc Mu, jak ojcu, nawijać się na oczy, i sam wprost udawać się do niego, akkomoduje się skrycie w głębi serca Najświętszej Pannie, jako matce, skarbiąc sobie jej łaskę w potrzebie. A że jest przytem poetą — spotkawszy więc raz, jadąc na owy, kwestarza, któremu jego charty z poduszczenia dyabła wydusiły barany, obiecuje mu

na przeproszenie napisać Godzinki, i ciągle do nich w myśli powraca, ilekroć lepsze uczucie w sercu jego zaświta. To więc jest drugie udręczenie szatana. Trzecie ma w życiu jego publicznem. Twardowski robi wszystko, co mu dyabeł podszepnie, ale zawsze w tem przekonaniu, że co on chce, to będzie najlepiej. Krzyczy, wichrzy, przeszkadza, i psuje wszystko, co rozumni dobrego chcą zrobić; ale ledwo złe skutki spostrzeże, gotówby się upamiętać po szkodzie, gdyby go zaraz dyabeł nie pokusił na nowo. Ale i dyabłu nakoniec brak konceptów i cierpliwości, tem bardziej, iż zaczyna spostrzegać, że Twardowski, zamiast brnąć z wiekiem w egoizm i pychę, wytrzeźwia się owszem coraz widoczniej z fantazyi i szału, i tylko względem niego staje się butnym. Nie czeka więc już na przyjście złej woli i postanawia porwać go podstępem, nim się całkiem z płochości wyleczy. Ale i tu przerachował się dyabeł. Twardowski uznawszy podstęp, używa praw słusznej obrony. Porwał dziecko i zasłania się niewinnością jego. A choć wreszcie przez punkt honoru, dla dotrzymania *verbum nobile*, siada na koń, aby jechać z dyabłami — wprzód jednakże kończy godzinki, które też pod słowem szlacheckiem kwestarzowi obiecał napisać, i skutkiem tego wszystkiego, nie idzie wpro na potępienie, ale jak chwiał się między złem dobrem, i ani do złej woli ani do skruchy n

doszedł; tak zawieszony w powietrzu, pomiędz życiem a śmiercią, pomiędzy niebem a piekłem, oczekuje na sąd ostateczny«.

»Oto jest główna osnowa, na tle której, jak Mickiewicz powiada, dałyby się łatwo pomieścić wszelkie najrozmaitsze obrazy z obyczajów i życia naszego. I opowiedział mi przytem parę scen sejmikowych, to jest parę figlów szatańskich, tak śmiesznych, że się do łez prawie uśmiałem. Ale on tego wszystkiego pisać wcale nie myśli; i śmiejąc się przystał na porównanie się z *Wallensteinem* Szyllera, który dlatego tylko planuje to i owo, nie mając zamiaru wykonać, aby przez to moc swoją poczuwać, jak sam to wyznaje, mówiąc:

Es macht mir Freude. meine Macht zu kennen« [1]).

Tak więc Mickiewicz i w późniejszych czasach, gdy twórczość jego zbliżała się do swego zenitu, zapatrywał się na podanie o Twardowskim jako na materyał przeważnie humorystyczny. Tylko że podług przytoczonego planu Twardowski stawał się przedstawicielem jeżeli nie w ogóle narodowego temperamentu, to przynajmniej żywiołu szlacheckiego w Polsce, co poematowi temu, gdyby był kiedykolwiek napisany, nadałoby było doniosłe znaczenie. Rola kobiety, a raczej kobiet

[1]) Listy z podróży I, 213—216.

w owym planie, wcale niepodobną jest do roli, jaką odgrywa pani Twardowska w balladzie.

Ballada bez tytułu, umieszczona we fragmentach pierwszej części *Dziadów*, należy do następnego okresu poezyi Mickiewicza, będzie też o niej mowa później we właściwem miejscu. Tutaj nadmienię tylko, że osnutą jest ona na podaniu o źwierciadle Twardowskiego, i że Twardowski występuje w niej tylko nawiasowo, właściwym zaś bohaterem jest kto inny. Później też objaśnię, dlaczego Twardowski w tej balladzie ma zupełnie inny charakter, niż w *Pani Twardowskiej*, dlaczego jest tu nie rubasznym figlarzem, nie lekkomyślnym hulaką, ale rycerzem, przed którego mieczem i słowem drży świat cały.

Ballada *Tukaj* albo *Próby przyjaźni* czerpie osnowę z podania o odmładzaniu się ludzi za pomocą sztuki czarodziejskiej, które również weszło w cykl podań o Twardowskim. Początek jego jest bardzo dawny. Już Owidyusz w *Przemianach* swoich opowiada, jak czarodziejka Medea za pomocą ziół i czarodziejskich obrzędów przywróciła młodość staremu, już umierającemu ojcu Jazona, Ezonowi. Być może, iż z tego to właśnie poematu przeszło podanie o odmładzaniu się do ludów nowożytnych. W dziele Albrychta Radziwiłła, wydanem w Wilnie r. 1635 p. t.: *Dyskurs nabożny*, znajduje się taki ustęp: »Marchion Hiszpan, zamyślając być nieśmiertelnym, rozkazał

słudze swemu, aby go na sztuki rozsiekał i w stajni pochował, a potem za rok przyszedłszy, miał go żywego i zdrowego obaczyć i nieśmiertelnego: nie dopuścił Bóg, żeby czart obłudny omamieniem oczu ludzi zwodził. Dowiedzieli się o tem drudzy i przyszli do stajni, alić obaczą jakoby dziecię zrosłe z członków rozsiekanych, ruszające się. Tamże zginął zaraz, nieśmiertelnym nie na świecie, lecz w mękach zostając«. Ta powiastka zapewne, rozpowszechniwszy się w Polsce, przyczepioną została do podań o Twardowskim [1]). Wójcicki w przypisach do klechdy o Twardowskim opowiada następujące podanie, słyszane przez niego na Mazowszu nad Narwią: »Twardowski, co całe życie pracował nad tem, aby wynaleźć środek oparcia się śmierci, wynalazł wreszcie sposób pewny. Na kilka lat przed porwaniem swojem zaufanemu uczniowi kazał się posiekać w kawałki i przepisał mu, jak ma dalej postępować. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego; jakoż znikł czarnoksiężnik, a tymczasem uczeń krajał ciało jego, siekał, gotował zioła i maście. Tak posiekawszy, maścią nasmarował,

[1]) P. Bełcikowski (Przyczynek do genezy ballady Tukaj. Pamiętnik Tow. im. Ad. Mick. 1890) wskazuje źródło podania, dawniejsze od *Dyskursu nabożnego* w pewnym romansie francuskim z początków XVI w. o czarowniku Wirgiliuszu, który podobnie jak Marchio kazał się posiekać swojemu uczniowi, ale się odrodzić nie mógł.

zlał sokami roślin, i złożył napowrót ciało, jak należy. Nie pochował go na cmentarzu, ale pod murem otaczającym go wkoło. Twardowski polecił, aby przez trzy lata, siedm miesięcy, siedm dni i siedm godzin ciało leżało nieodkrywane. Wierny uczeń dotrzymał wiernie przepisu i czasu odkopania grobu. O północy, w pełni księżyca, sam z rydlem zapaliwszy siedm świec z tłustości trupiej, wziął się do roboty, zrzucił ziemię, oderwał nadgniłe wieko. Jakiż podziw! Zwłoki Twardowskiego znikły, w miejscu wiór, na których leżały, kwitły wonne fiołki i macierzanka; na tej to murawie spoczywało snem ujęte nadobne dzieciątko, zachowawszy w zdrobniałych rysach oblicze Twardowskiego. Wyjął to dziecię — zaniósł do domu, przez noc urosło, by przez rok, za siedm dni już mówiło tak o wszystkiem jak Twardowski, w siedmiu miesiącach urosło w młodzieńca. Wtedy zaczął znowu pracować odrodzony Twardowski w czarnoksięstwie; wynagrodził sowicie wiernego ucznia, wszakże zaraz, żeby tajemnica odrodzenia nie wyszła na jaw, zaklął go w pająka, trzymał w swojej komnacie, mając o nim czułe staranie«. Kiedy dyabli porwali Twardowskiego, ów pająk przyczepił się do jego nogi i razem z nim zawieszony został w powietrzu. »Spuszcza się on nieraz na swojej nici ku ziemi, przygląda co się dzieje wraca napowrót i usiadłszy na uchu Twardow-

skiego, rozpowiada mu, co widział i słyszał, czem nędzarza pociesza« [1]).

Jest to bez wątpienia bardzo poetyczny dodatek do podań o Twardowskim, mniemam jednakże, że powiastka o Marchionie nie była u nas powszechnie zastosowaną w ten sposób do Twardowskiego. Ja sam będąc dzieckiem słyszałem ją opowiadaną nie tak, jak jest zapisana u Wójcickiego, ale z niektóremi zmianami tak, jak u Radziwiłła. Odrodzenie posiekanego człowieka nie mogło nastąpić dla tego, że wiernego sługę na kilka chwil przed oznaczonym terminem, którego się trzeba było najściślej trzymać, uwiodła ciekawość: zajrzał on przedwcześnie do beczki, w której leżały posiekane członki jego pana i usłyszał jęk żałosny. Pan jego był już bliskim odrodzenia się, ale odrodzić się nie mógł z powodu owej niecierpliwości sługi.

Przypuszczam, że Mickiewicz znał podobną wersyą podania, ballada bowiem jego zbliża się bardziej do ostatniej wersyi, niż do tej, którą przytoczyłem z klechd Wojcickiego. Ponieważ za tło krajobrazowe balladzie służy okolica Zaosia (jezioro Kołdyczewo, góra Żarnowa), możnaby stąd wnioskować, że podanie to słyszał poeta w Zaosiu, dokąd, jak wiemy, jeździł często na wakacye, bo tam mieszkała ciotka jego Stypuł-

[1]) Wójcicki. Klechdy. 124—130.

kowska. Nie ma też wcale w balladzie, o której mowa, nazwiska Twardowskiego. Ów człowiek pragnący odrodzenia, nazywa się Tukaj. Wchodzi on wprawdzie w umowę z dyabłem, ale sam go nie szuka i zresztą w ogóle mało jest podobnym do lekkomyślnego Twardowskiego.

Tukaj umiera i wyrzeka na znikomość wszystkiego. Na cóż mu się zdało, że jest bogaty, potężny, że posiada wielkie imię, skoro musi młodo umierać.

O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię!
Wielkie nic! Wielkość, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!

Na cóż mu się zdało, że gonił za mądrości widziadłem, że zbiegał cudze kraje, że wzrok nad księgami trudził i posiadał skarbnicę nauk.

O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imię,
Wielkie nic! Rozum, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!

Ocaliłoż go wreszcie od śmierci przedwczesnej to, że strzegł ustaw świętej wiary, że hojnie nagradzał cnocie?

O pobożności! człowieku!
Święta wiaro, święte imię,

Święte nic! Cnoto, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku! [1])

Bluźnierstwa Tukaja wywołują pokusę ze strony piekła. Daje się słyszeć grzmot straszny i jakiś starzec siwowłosy o brodzie długiej po kolana, o twarzy zmarszczkami rozoranej, zjawia się przed konającym Tukajem i każe mu iść za sobą. Malowniczy jest obraz nocnej okolicy, przez którą starzec prowadzi Tukaja:

Idą — ciemno, deszczyk kropi,
A srebrzysta twarz miesiąca,
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinie,
Hnilicy ciemnej ostępy,
Kołdyczewa nurty sinie,
Gdzie puszczą zarosła wkoło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa —
Tam szli.

Starzec objawia się Tukajowi jako mędrzec

[1]) I tu jak w balladzie *To lubię* umieszczono gwoli cenzury dopisek. Brzmi on dość naiwnie: »Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych balladach«. Tych następnych ballad Mickiewicz nigdy nie napisał i czytelnik doczekał się ukarania Tukaja dopiero w kilkadziesiąt lat potem, w dokończeniu ballady, napisanem przez Odyńca.

Polel, mieszkający w niedalekiej chatce. Otóż »mędrzec mędrca wspomódz pragnie«, chce mu odkryć sposób przedłużenia życia w nieśmiertelność. Ale do tego powinien znaleźć Tukaj człowieka, któremuby zaufał, jak sam sobie; gdyby ten człowiek zawiódł, wówczas czeka Tukaja śmierć i piekło. Nadzieja nieśmiertelności olśniewa Tukaja, ale ten warunek! Starzec zapytuje Tukaja, czy ma takiego człowieka, czy mógłby naprzykład zaufać słudze?

Tukaj nic nie odpowiada,
Bo któż zgadnie myśli cudze!
Tak zbyt częsta w sługach zdrada!
»Może kochance lub żonie?«
»Tak« — wtem uciął, patrzy smutnie;
»Tak« — rzecze i znowu utnie,
Myśli, sam się z sobą biedzi.
»Tak jest, kochance - tak, żonie!«
I wierzy i strach nań pada,
I wątpi i wstydem płonie.

Jakto? Nie ma nikogo na świecie, komuby zupełnie zaufał i pomimo to pragnie żyć dłużej? Umrzyj więc! woła starzec do Tukaja i w tejże chwili »śród piorunów, świstu i szczęku« Tukaj przeniesiony czarodziejską mocą na łoże, znowu wisi nad otchłanią śmierci. Ale widok jej ponowny tak go przeraża, że Tukaj już bez namysłu woła, iż ma takiego przyjaciela, któremu zupełnie zaufać może. W jednej chwili uczuwa się

zdrowym a jednocześnie na poduszce z boku spostrzega piekielny pargamin, na którym spisana była recepta na wieczne odmładzanie się, jak trzeba posiekać członki, czem je namaścić, i t. d., a w dodatku znajdował się warunek, że jeśli ten, kto będzie użyty do tej magicznej posługi, skuszony przez czartów, komuś innemu pokaże ziele, służące do namaszczenia lub w oznaczonej godzinie nie namaści ciała Tukaja —

Wtenczas skutek zioła zginie,
Wtenczas piekło czeka waści.

Ale dyabli na słowo nie wierzą, Tukaj winien podpisać ugodę. Przed podpisaniem długo się jeszcze namyśla, bierze ją »w surowej uwagi kleszcze«, analizuje, »sieka różnicy nożykiem«, »topi nakształt wosku« i nareszcie po długim namyśle przychodzi do następującego rezultatu: piekło wymyślać będzie najrozmaitsze fortele, aby owego przyjaciela, w którego rękach cały swój los Tukaj złoży, przywieść do zdrady, ale fortele te mogą być tylko trojakiej natury.

Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo krótszemi słowy,
Będzie syllogizm takowy:
Trojaka do zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.

Więc kto w tym trojakim względzie
Twardej nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie.

Rad ze swego syllogizmu Tukaj, »idzie kreślić pismo grzechu«, ale i teraz ociąga się jeszcze ze strachu przed wielką odpowiedzialnością. Już napisał: Niech Tak Będzie i postawił pierwszą literę T, ale nie śmiał dodać czterech innych, tylko kropkami je naznaczył. Wtem — ku wielkiemu jego zdumieniu — głoska B, w słowie Będzie, zaczyna brzęczeć i szumieć, kręcić się, beczeć, podrastać, kurczyć się i wyciągać w rozmaite strony i wreszcie po najdziwaczniejszych kurczach i przeobrażeniach wyrasta z niej Mefistofel. Zuchwały dyabeł, ośmielony już pierwszą literą nazwiska, przez samego Tukaja nakreśloną, przyskoczył do niego, drasnął mały palec jego do krwi, umoczył w niej piórko, wcisnął je Tukajowi w rękę i wodząc jego ręką, sam dopisał cztery niedostające litery jego nazwiska, a zrobiwszy to, zniknął.

Na tem się urywa ballada Mickiewicza. Przy końcu był dopisek, powtarzany już nie wiem po co później w pośmiertnych nawet wydaniach poety: »Dalsze ballady o Tukaju w przyszłości«. Mickiewicz nie miał już nigdy ochoty dokończyć tej ballady, a kiedy w r. 1829 w Weimarze Odyniec turbował go o to, czemu jej nie

kończy, Mickiewicz pozwolił ją dokończyć Odyńcowi. To dokończenie Odyńca, napisane w dwóch częściach (trzecia i czwarta), ważne jest dla nas z tego względu, że sam Mickiewicz dopomógł Odyńcowi do ułożenia trzeciej części, a i czwarta zapewne utworzoną została w duchu podania znanego współautorom *Tukaja*. W trzeciej części Tukaj, po czterdziestu latach lekkomyślnego używania życia, zabiera się do odmłodzenia siebie za pomocą znanej recepty. Z pomiędzy przyjaciół swoich trzech tylko znajduje godnych większego zaufania, i tych wystawia na próby: łakomstwa, ciekawości i trwogi. Pierwszy z przyjaciół, wystawiony na próbę, nie oparł się łakomstwu (przywłaszczył sobie dyamenty, które Tukaj polecił mu rzucić do wody), drugi oparł się łakomstwu, ale uwiodła go ciekawość, trzeci wreszcie okazał się we wszystkich próbach wiernym i rzetelnym i tego to przyjaciela wtajemniczył Tukaj w sprawę odmłodzenia swego i złożył losy swoje w jego ręce. W czwartej części ów przyjaciel, dopełniwszy jak najskrupulatnie wszystkich przepisów danych mu przez Tukaja, już ma dokonać dzieła swego, i do sklejonego już ciała Tukaja przyłożyć głowę i czeka tylko stosownie do recepty na uderzenie północnej godziny, aby to uczynić — gdy w tem zrywa się burza, a wśród burzy ktoś do bram kołata. Trudno nieprzyjąć gościa, szukającego schronienia

w czas burzy. Gość wchodzi i od słowa do słowa zawiązuje się zajmująca rozmowa filozoficzna, w której przyjaciel Tukaja, oburzony na niedowiarstwo przybysza, tak się zacietrzewił, że zapomniał w czas przyłożyć głowy do ciała swego przyjaciela. Piekło, którego ów gość był wysłańcem, tryumfuje: Tukaj odrodzić się nie może. Zjawia się on tylko, aby porwać swoją głowę i cisnąć nią w przyjaciela.

Dlaczegoż Mickiewicz nie skończył sam ballady? Myślę, że główną przyczyną tego była pessymistyczna tendencya utworu. Mogła ona przypaść do smaku poecie w przelotnej chwili jakiegoś zniechęcenia, jakiegoś cierpkiego usposobienia, ale długo podobać mu się i pobudzać jego twórczości nie mogła. Twórca *Ody do młodości*, przyjaciel Zana, Czeczota i tylu innych, którzy go tak czcili i kochali i dla których poezya jego była hasłem i sztandarem, miałże prawo siać niewiarę w przyjaźń? Uczuł zapewne poeta niezgodność pomiędzy tendencyą ballady a własnem przekonaniem, i twórczość jego, która nigdy nie była samym li popisem artystycznym, niezagrzewana ogniem przekonania, zastygła w pół roboty. Już nawet pomiędzy drugą a pierwszą częścią *Tukaja* widoczna jest różnica; widocznie nie były ra zem odlane, widocznie pisane były w rozma item usposobieniu. Pierwsza część ma ton pc

ważny, wyrzekania Tukaja są pełne głębokiej i szczerej goryczy, coś niemal Hiobowego mają w sobie, nawet jego zakłopotanie, gdy go starzec pyta, komu on może zupełnie zaufać, nie ma humorystycznego kolorytu. Nim się poeta zabrał do pisania drugiej części, już to usposobienie, w którem pisaną była część pierwsza, minęło, tendencya, zawarta w końcowych wierszach pierwszej części:

Nie masz drugiego człowieka,
Któremubyś w każdej próbie
Tak zaufał jak sam sobie —

wydała mu się zbyt pessymistyczną, i poeta, jakby dla zneutralizowania tej tendencyi, postanowił w dalszym ciągu traktować swój temat nie poważnie, jak w pierwszej części, ale humorystycznie. To też cała druga część odróżnia się od pierwszej humorystycznym tonem, ale humor nie ma tu tej swobody i płynności, co w *Pani Twardowskiej*. Tak np. w tym ustępie, w którym Tukaj namyśla się, czy podpisać, czy nie, ugodę z dyabłem —

Tukaj trochę się zagniewał,
Warunku się nie spodziewał.
Brodę na ręku podpiera,
Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spojrzał z ukosa;
Tabaczki dwa razy zażył,

To na ziemię spuszcza oczy,
To po stołowaniu toczy i t. d.

W tym ustępie czuć w humorystycznym tonie pewien przymus. Przymus ten łatwo daje się objaśnić niezgodnością pomiędzy pierwotnem a późniejszem usposobieniem poety, pierwotnym a późniejszym zamiarem jego. On też był, sądzę, główną przyczyną, że poeta zaniechał dokończenia ballady o Tukaju.

Jest inna jeszcze niezgodność pomiędzy częścią pierwszą a drugą, wskazująca, że części te nie były pisane jednym ciągiem, i że nie wypływały z jednego planu. W pierwszej części tym, który chce pokazać Tukajowi drogę do nieśmiertelności, jest jakiś cudowny starzec, który mu się objawia jako mędrzec Polel. Poeta bynajmniej nie daje się domyślać, aby postać tego mędrca była tylko larwą, którą szatan przybrał na siebie. I owszem słowa »czy to zły duch, czy moc Boża«, zdają się wskazywać, że poeta chciał zostawić cudownego starca w tajemniczym cieniu, chodziło tu bowiem tylko o sposób uzyskania nieśmiertelności, nie o źródło, z którego ten sposób został podany. W drugiej części o cudownym starcu wcale nie ma wzmianki, natomiast do zawarcia układu z Tukajem występują czarci imiennie. Poeta widocznie zmienił plan w drugiej części i kazał domyślać się czytelni-

kowi, że ów cudowny starzec był wysłańcem piekieł, choć podobna maskarada nie jest tu niczem umotywowaną.

Warto przytem zwrócić uwagę na to, że pierwsza część jest tak napisaną, iż choć nie wyczerpuje podania, stanowi sama w sobie skończoną całość. Być więc i to mogło, że poeta pierwotnie nie miał zamiaru pisać dalszych części, uważając tę pierwszą za całość i tylko za namową przyjaciół zabrał się do nowego rozwinięcia tematu tej ballady.

Ballada *Lilie*, do której przechodzimy, posłuży nam za przykład stwierdzający to, co już powiedziałem o ludowych pieśniach epickich, a zarazem okaże, w jaki sposób rodzime ziarno pieśni ludowej przeobrażało się w twórczej fantazyi poety w kwiat balladowy.

Tem ziarnem rodzimem, z którego wykwitły *Lilie* Mickiewicza, jest pieśń ludowa, zapisana w zbiorach pieśni Wacława z Oleska i Wojcickiego, a zaczynająca się od wierszy:

Stała się nam nowina,
Pani pana zabiła.

Pieśń ta, jak się zdaje, była bardzo rozpowszechnioną i ze wszystkich dawnych ludowych pieśni epickich najlepiej się zachowała. Przynajmniej jest w niej zaokrąglona całość i związek pomiędzy strofami wyraźny. Pani zabiła pana,

w ogródku go pochowała i ruty na nim posiała, to znaczy, chciała kogoś innego poślubić. Ale ruta wyrosła, a pani za mąż nie poszła. Tymczasem nadjechali z wojny nieboszczyka bratowie; już na drodze musieli się dowiedzieć o morderstwie popełnionem przez bratową, bo w ten sposób ją witają:

— Witaj! witaj! bratowa,
Nieboszczyka katowa!
Gdzieś nam brata podziała?
— Na wojnem go wysłała.

Bracia odpowiadają, że nie widzieli go na wojnie i dalej pytają, a raczej badają zabójczynią:

— Cóż to za krew po drodze,
Na trzewiczku i nodze?
— Dziewka kurę zarżnęła,
Krew na trzewik bryznęła.
— Choćby sto kur zabiła,
Takaby krew nie była.
— Cóż to za włos po ganku,
Po jasłach i po wianku?
— Dziewka sługę czesała,
Włos po ziemi rzucała.

Bracia nie wierzą tym wykrętom i każą bratowej jechać z sobą »w gęsty las«. Ta błaga litości: jakże ma »dzieci zaniechać« i »gospodarstwo porzucić?« Ale bracia nieubłagani zabierają ją z sobą i nie pozwalaja jej nawet

schylić się po złoty pas, który w ciemnym lesie upuściła. Dają jej tylko, jakby przez szyderstwo, orzechów do gryzienia. Pieśń kończy się tem, że bracia

Wyjechali za lasy,
I tam darli z niej pasy.

Tchnie, jak widzimy, z tej pieśni silny realizm. Cudowność ani trochę nie miesza tu zwyczajnego biegu spraw ludzkich, zbrodnia i kara powiązane są z sobą bez wszelkiego pośrednictwa sił wyższych. Jakkolwiek bracia nieboszczyka występują zarazem jako oskarżyciele, sędziowie i oprawcy, jednakże pomiędzy zbrodnią a karą ludowa pieśń nie zaniedbała umieścić tego, co zwykle je przegradza, to jest śledztwa. To tropienie zbrodni po śladach krwi i włosów jest tak wieczne, jak samo morderstwo, a pieśni nadaje jeszcze bardziej realistyczny charakter. Co się tyczy formy, to cała pieśń z wyjątkiem czterech pierwszych strof dwuwierszowych, rozwija się w sposób dramatyczny w rozmowie pani naprzód z dziewką, a potem z braćmi nieboszczyka.

Jakże się ta pieśń przeobraziła w *Lilie?* Oto naprzód poeta, kierowany szczęśliwą intuicyą, podłożył pod zdarzenie, opiewane w pieśni, tło historyczne, które się doskonale z niem zgadzało i przeniósł to zdarzenie w czasy Bolesława

Smiałego. W *Śpiewach historycznych* Niemcewicza, najpopularniejszej wówczas książce, w przydatku do śpiewu o Bolesławie Śmiałym, znalazł taki ustęp: »Długi króla i rycerstwa w mieście tym (Kijowie) pobyt zmordował cierpliwą pozostałych żon wstrzemięźliwość tak, że wodze rozwięzłym chuciom swoim puściły. Dowiedziawszy się o tem mężowie, porzucali znaki swe bez wiedzy królewskiej, a Bolesław w małym tylko poczcie do Krakowa pośpieszać musiał. Popędliwy we wszystkiem, dowódzców ucieczki surowo ukarał, nie przepuścił i przestępnym w wierze małżeńskiej niewiastom«. Osadziwszy temat pieśni na tem tle historycznem, musiał poeta powprowadzać do niego pewne zmiany, jakich historyczność wymagała, a mianowicie ów mąż zamordowany nie zostaje w domu podczas wojny, jak tego pieśń ludowa każe się domyślać, ale razem z braćmi wyjeżdża na wojnę i tylko wcześniej od nich powraca. Tym sposobem pobudka zbrodni została dostatecznie wyjaśnioną, czego brak w pieśni ludowej. Oto co zabójczyni u Mickiewicza mówi o sobie:

Tu za lasem, za stawem
Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska,

Ja młoda śród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.

Niestałość tedy i obawa kary popchnęły tę kobietę do zbrodni. Do tej pobudki dostrojony jest cały charakter, całe postępowanie zabójczyni w balladzie.

Zabiła ona męża, który powrócił z wojny, i potajemnie zagrzebała go w gaju »na łączce przy ruczaju«, może się więc już nie lękać zemsty mężowskiej i kary królewskiej; ale ledwie jeden strach minął, drugi — groźniejszy jeszcze dla chwiejnej wyobraźni kobiety — staje przed nią, strach, aby się tajemnica nie wydała. Jak się zabezpieczyć od tego strachu? Pani zna pustelnika i mędrca, który mieszka niedaleko w lesie. On jej wskaże, jakimi sposobami przebłagać Boga i wyjednać u niego wieczną tajemnicę. Ale pustelnik, który jest zarazem prorokiem i cudotwórcą, nie widząc w jej sercu skruchy, odprawia ją ciemnemi słowami wyroczni.

Idźże sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy Boże,
Że co ty zrobisz skrycie,

śladu skruchy, chciałby zgruntować serce zbrodniarki i zbawić ją jeszcze, jeśli się rzeczywiście skrucha w niej okaże. Oznajmia więc jej, że jeśli ona zechce, to on z mocy bożych wyroków dziś jeszcze wskrzesi jej męża. Niestety, nie było szczerej skruchy w sercu pani, a tylko strach przed marą. Na myśl, że mąż może stanąć przed nią żywy, jeszcze większy ją strach ogarnia.

Co? co? jak? jak? mój ojcze!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!

Pustelnik tedy zostawia zbrodniarkę własnym jej losom, i znowu odprawia ją tajemniczemi słowami wyroczni:

Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.

A na jej pytanie: jak pogodzić obu braci, daje jej radę, aby poleciła im upleść dwa wianki i złożyć w kościele na ołtarzu.

Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.

Pani, rada ze sposobu pogodzenia braci i z wyroczni pustelnika, iż duch jej męża, jeżeli prze:

nią samą nie będzie wezwany, nie przyjdzie jej trapić, postanowiwszy nigdy go nie wzywać, wraca do domu spokojniejsza i gotuje się do ślubu, a gdy nadeszła niedziela, wchodzi w gronie dziewic do kościoła, zbliża się do ołtarza i bierze jeden z wieńców:

Oto w wieńcu lilie,
Ach czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?

To mój, to mój, wołają obaj bracia i stawią dowody i chcą pokazać gdzie rwali: rwali na łączce w gaju, na grobie przy ruczaju. I szarpią do siebie wieniec i dobywają z pochew miecza i już krew się ma polać, gdy wtem drzwi kościoła otwierają się z trzaskiem i wchodzi osoba w bieli...

Znany chód, znana zbroja —
Staje — wszyscy zadrżeli,
Podziemnym woła głosem:
»Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie;
Mnie księże stułą wiąż!
Wy moi, wieniec mój!
Dalej na tamten świat!«

Widzimy tedy, że temat pieśni ludowej, ażeby się dostroić do balladowej formy, musiał wielkiemu uledz przeobrażeniu. Poeta, chcąc temat

natchnąć wyższą myślą a zarazem wprowadzić do niego tajemniczość i cudowność, znamionujące balladę, a wcale obce naszej pieśni ludowej, musiał w niej wiele zmian poczynić. Kara w pieśni ludowej jest tylko zemstą za śmierć brata, krwawym i srogim odwetem rodowym, ale bynajmniej nie występuje jako owoc zbrodni, jako nieodwołalne jej następstwo. Gdyby zamordowany pan nie miał braci, albo gdyby ci zginęli na wojnie, pani by może uszła zbrodnia bezkarnie. W balladzie kara objawia się jako płód, który zbrodnia sama w swojem łonie nosi i sama go na świat wydaje. Zabójczyni nie ściga żadne ramię ludzkie; zdołała ona ukryć zbrodnię swoją przed całym światem, bo choć pustelnik wie o niej, ale jest on przedstawicielem sprawiedliwości nie z tego świata, i zbrodni przed ludźmi nie zdradzi. Zbrodniarka ubezpieczyła się nawet wobec nadziemskiej sprawiedliwości, otrzymawszy wyrocznię, że mąż nie wróci z za twardych bram wieczności, aby zemstę wywrzeć na niej, jeżeli go ona sama nie wezwie — a przecież mimo wszelkiego ubezpieczenia, mimo wszelkiej ostrożności, sama ona przywołuje na siebie karę, wzywając tego, czyje są w wieńcu lilie. Kwiat niewinności posiany na grobie zamordowanego i mający zakrywać niejako zbrodnię, staje się narzędziem sprowadzającem karę na zabójczynią.

Taka to wysoka idea, nieznana pieśni lud

wej, prześwieca w balladzie. Cudowność i tajemniczość, które tej idei służą za strój balladowy, oparte są nietylko na ludowej wierze w pojawianie się zmarłych, ale po części i psychiczne znajdują uzasadnienie w tem rozdrażnieniu wyobraźni, jakiemu podlega człowiek po spełnieniu morderstwa, a które jest początkiem, niejako zarodowym żywiołem tej kary, jaka dojrzewa dla mordercy. W tej tajemniczości i cudowności, które otaczają zbrodniarkę, cudownie się odźwierciedla jej stan psychiczny, ten wieczny niepokój, który każe się jej ciągle oglądać wkoło siebie, kreśli przed nią i za nią w powietrzu mary i widziadła, wywołuje w jej uszach tajemnicze jęki i szepty. Nawet wtedy, gdy uspokojona wyrocznią pustelnika wraca od niego i myślą o bliskim ślubie zaprząta niespokojną wyobraźnię, nawet wtedy uśmierzony na chwilę, ale niezwalczony niepokój nie przestaje jej trawić i płoszyć wewnętrznie.

Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży i staje,
I staje i myśli i słucha:
Zda się, że ją ktoś goni,
I że coś szepce do niej —
W około ciemność głucha:
»To ja, twój mąż, twój mąż«!

I staje i myśli i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży;
Włos się na głowie jeży,

W tył obejrzeć się lęka —
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
»To ja, twój mąż, twój mąż«!

Do zalet tej pięknej ballady należy zaliczyć jeszcze szczęśliwe uchwycenie rodzimego, słowiańskiego kolorytu, jakim jest powleczona. Trochę barw zaczerpnął poeta z pieśni ludowej, resztę dołożył z bogatej skarbnicy swojej fantazyi. Nawet postać pustelnika dobrze jest dostrojona do tła rodzimego, a moc, jaką posiada, wskrzeszania zmarłych, odpowiada czasom, w których podług legendy św. Stanisław wskrzeszał Piotrowina.

Z pieśni ludowej, oprócz niektórych barw i zwrotów, wziął poeta także siedmiozgłoskowość wiersza i rytm jej. Ten rytm był ubogi, bo jak wszystkie pieśni ludu i ta pieśń była przeznaczoną nie do deklamowania, ale do śpiewu, który nadawał jej owę głębokość liryczną, jakiej brakło słowom nieoskrzydlonym melodyą. Mickiewicz rytm pieśni ludowej rozwinął w wiotką i śpiewną draperyą, i wiersz w jego balladzie płynie jak muzyka.

Pod jednym tylko względem pieśń ludowa ma wyższość nad tą świetną balladą, a mianowicie pod względem prostoty pomysłu. Wprowadzenie głębokiej idei i aparatu cudowności do tematu pociągnęło za sobą pewną zawiłość u-

kładu: sprawiedliwość Boża za sztuczną trochę idzie drogą, aby dosięgnąć zbrodniarki.

Data napisania *Lilij* nie jest znaną. Podług listów Odyńca miała to być najpierwsza praca Mickiewicza, czerpiąca treść z pieśni gminnych, a zatem wcześniejsza od *Rybki* i od *Kurhanka Maryli*, na co się w żaden sposób zgodzić nie można. Sama doskonałość formy tej ballady wyznacza jej późniejszą datę. Chybaby przypuścić, że przed podaniem do druku przelał poeta dawniej napisaną balladę w nową formę.

Dudarz zamyka szereg ballad i romansów w wydaniu 1822 roku. Nazwany on jest przez poetę romansem z dodatkiem: »myśl z pieśni gminnej«. Co się tyczy nazwy, może być ona usprawiedliwioną czułym, smutnym tonem utworu, brakiem »dziwnych zmyśleń«, t. j. cudowności, po części prostotą stylu. Ale w ten dodatek: »myśl z pieśni gminnej«, wierzyć trudno; odgrywa on tu widocznie taką rolę, jaką znany nam przypisek przy balladzie *To lubię*, tylko że zrobiony był nie dla cenzury rządowej, ale dla tej, którą otoczenie rodzinne Maryli miało rozciągnąć nad utworem kochającego ją poety. *Dudarz* bowiem w głównej osnowie czerpie treść z osobistych uczuć Mickiewicza dla Maryli, z osobistego z nią stosunku, i tylko wstęp do *Dudarza* znalazłby może analogiczne ustępy w lulowych pieśniach białoruskich. Wprawdzie i w

innych utworach, razem z *Dudarzem* wydanych, występują te uczucia i ten stosunek, jak n. p. w *Pierwiosnku*, w balladzie *To lubię*, w *Warcabach*, i niczem się nie zasłaniają, ale pomiędzy *Dudarzem* a tymi utworami zachodzi różnica: w *Dudarzu*, jak to zobaczymy, stosunek ów jest o wiele drażliwszym.

Przypomnijmy sobie treść tego utworu. Niedaleko wsi, na polu, odbywa się uroczystość dosiewek; płoną ognie, brzmią piszczałki, młodzi tańczą, starzy krzepią się miodem. Tak bawiąc się, spostrzegają w dali idącego dudarza, a właściwie lirnika — gra on bowiem na lirze a tylko dwaj towarzyszący chłopcy wtorują mu na dudkach — żwawsi więc podbiegają do niego i proszą, aby co zjadł i wypił z nimi, a może co zagrać im zechce. Dudarz posłuchał, przyszedł, usiadł przy ogniu, »miodem pierś starą zagrzewa« wreszcie nastroiwszy lirę, tak śpiewać zaczął:

Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
Od wioseczki do wioseczki.
Z borku do borku, z smugów na smugi,
Śpiewając moje piosneczki.

Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
Ale nikt mię nie rozumie;
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię,
I idę dalej a dalej.

Kto mię zrozumie, ten się użali,
I w białe uderzy dłonie;

Uroni łezkę — i ja uronię,
Ale już nie pójdę dalej.

Jestże tu kto taki w tem gronie wiejskiem, ktoby mógł zrozumieć starca? Lirnik przelotem spojrzał po błoniu, a ujrzawszy pewną pasterkę, bacznie spoziera w tę stronę. Pasterka stała obok młodzieńca, dla którego plotła wieniec.

Spokojność duszy z jej widać czoła.
Ku ziemi spuszczone oko;
Nie była smutna ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Wtem z piersi listek zżółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa;
Spojrzy nań, rzuci i z cicha szepnie,
Jakby się na listek gniewa.

Dudarz utopił w niej »wzrok sokoli«, co »zdał się przedzierać aż w serce«, a brzęknąwszy na lirze, zaczął inną śpiewać piosnkę:

Komu ślubny splatasz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka?

piosnkę, która się kończyła strofą:

Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilii i tymianka.

Tę piosnkę znają wiejscy słuchacze, ktoś ją kiedyś śpiewał w tem siole. Starzec rad w głębi duszy z tego odkrycia, podnosi rękę, ucisza gwary i oznajmia, że opowie od kogo ma tę piosnkę: może on był z tego sioła. I tu następuje opowiadanie o pewnym pasterzu z Litwy, który przypłynąwszy na strudze do Królewca, odbił się od swoich i nie powrócił już nigdy do domu. Tam go w Królewcu poznał starzec, tam często widział, »jak on po błoniach, albo u morza, po nadbrzeżnym błądził piasku«.

Pośród skał nieraz, podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A łzy powierzając wodzie.

Szedłem ku niemu: spozierał smutnie,
Ale odemnie nie stronił;
Jam, nic nie mówiąc, nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.

Łzy mu się rzucą — lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.

Tajona troska strawiła nieszczęśliwego odludka i powaliła na śmiertelne łoże, a starz : był mu w chorobie jedynym towarzyszem i sług . Przez wdzięczność za to młodzieniec przed śmie -

cią wynurzył przed nim swoją duszę, swoją nieszczęśliwą miłość i przekazał mu to, co miał w życiu najdroższego.

»Znasz piosnkę, którąm po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem?
Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy,
I wiesz, jakim śpiewać głosem.

»Mam jeszcze z bladych włosów zawiązkę
I zeschły cyprysu listek:
Naucz się piosnki, weź tę gałązkę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

»Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, której już nie obaczę;
Może jej piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze.

»Nagrodzi starca, do domu przyjmie.
Powiedz« — Wtem oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszej imię,
Wpół wymówione zostało.

Młodzieniec skonał. Dudarz skończywszy to opowiadanie, sięgnął do papierowego zawinięcia, w którem się znajdował ów zeschły listek cyprysowy, aby go pokazać, może wręczyć owej pasterce, którą tak wzrokiem sokolim przeszywał. Ale nie było już pasterki, odeszła z młodzieńcem, który stał koło niej i starzec zdaleka tylko dojrzał, że »w chustce skryła twarz boską«.

Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział:
»Co to jest?« wszyscy pytają —
On nic nie wiedział; może i wiedział
Ale nie mówił przed zgrają.

Zarzucano poecie [1]), że *Dudarz* »jest to właciwie idylla z całym owym wymarzonym światem pasterzy i wieśniaków, z delikatnemi ich uczuciami, przeniesionemi ze sfery wykształconej a nielicującemi bynajmniej z prostym trybem życia ludu wiejskiego. Zwyczajny wieśniak nie mógł oczywiście śpiewać:

Kiedy mię skał tych dzikich zakątek
Ukrył przed *gminu* obliczem,
Odtąd już dla mnie świat ten był niczem,
Żyłem na świecie pamiątek.

Zwyczajny wieśniak nie nosi z sobą »z bladych włosów zawiązki i zeschłego listka cyprysu« i nie zaleca przed śmiercią dudarzowi, ażeby poszedł do wioski i powtórzył lubej śpiewane niegdyś tryolety«.

Na ten sąd możnaby się było całkowicie pisać, i *Dudarza* uważać za idyllę à la Karpiński, gdyby wieśniak, o którym mowa, był zwyczajnym wieśniakiem, gdyby sielskość w tym utwo-

[1]) Piotr Chmielowski w *Poglądzie na poezyą polską w XIX stuleciu*, dodanym do przekładu Carrière'a *Sztuki i literatury w XVIII i XIX wieku.*

rze była główną jego treścią, a przedewszystkiem gdyby uczucia tutaj wyrażone były tak mało szczere i głębokie, jak w pasterskiej poezyi XVIII wieku. Ale tak nie jest. Owym wieśniakiem, ukrywającym się przed obliczem gminu i żyjącym na świecie pamiątek, jest sam poeta, ową pasterką, której mają być powtórzone tryolety, jest jego kochanka. Nazwiska pasterza i pasterki są tu tylko przezroczystą zasłoną, którą poeta rzucił na osobiste swoje uczucia i miłosny swój stosunek do Maryli. Te uczucia i ten stosunek są główną treścią w tym utworze, cała zaś sielskość i uroczystość dosiewek, to tylko ramy i akcesorya utworu. Co najważniejsza zaś, ton tych uczuć w *Dudarzu* jest szczery i niekiedy głęboki. Inaczej jest w *Kurhanku Maryli*. Tam osobistych uczuć poety nie widzimy, sielskość jest na pierwszym planie, a i czułość rozlana w tej romancy rzeczywiście przypomina nam cukrową słodycz wymarzonego świata dawniejszych sielanek.

W *Dudarzu* dźwięczy ton smutku, rezygnacyi, ale nie tej, z którą spotkaliśmy się w *Pierwiosnku*, a której przyświecał z daleka promyk nadziei, lecz tej, która się już niczego nie spodziewa na świecie, chyba co najwięcej odrobiny pamięci i współczucia.

Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;

Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

Ów ton posępnej rezygnacyi jest przejściem do tych gwałtownych bolów, rzutów i uniesień serca, jakie znajdujemy w czwartej części *Dziadów*, i dlatego to *Dudarz* stanowi jakby przejście od okresu ballad i romansów do okresu *Dziadów*. Sam poeta dał jakby wskazówkę w tym względzie, umieszczając *Dudarza* przy końcu ballad i romansów.

Ale czas już dowiedzieć się, dlaczego to poeta uważał za stosowne, za potrzebne przykryć zasłoną swoje osobiste uczucia, czego, jak wiemy, nie czynił ani w *Pierwiosnku* ani w balladzie *To lubię*, i dlaczego treść wziętą z własnego życia, przypisał pieśni gminnej.

W tamtych utworach Maryla występuje jako ubóstwiana przez poetę, ale niczem poeta nie zdradza jej wzajemności. I owszem w balladzie *To lubię* przedstawioną jest, co prawda żartobliwie, jako zupełnie obojętna na łzy i miłość kochanka. Inaczej jest w *Dudarzu*. Jeżeli pasterz posiadał »z bladych włosów zawiązkę i zeschły cyprysu listek«, to jużci nie skąd inąd, jak z rąk ukochanej ten skarb otrzymał, a jeżeli ukochana dawała mu takie pamiątki, to naturalnie pozwalała wierzyć, iż jest mu wzajemną. Mówiąc wyżej o wzajemności Maryli, powiedziałem, że ta wzajemność wyrażała się zapewne nie tyle w sło-

wach, ile innymi znakami, mniej określoną dającemi nadzieję, a więc mniej zobowiązującymi na przyszłość. Do tych znaków należały zapewne i pamiątkowe dary. Byłaż między nimi i »włosów zawiązka«, zwyczajny dar kochanków? Byłby to dar rzeczywiście zbyt wymowny, pozwalający obdarzonemu wiele roić i rościć, a jednak, jeżeli świadectwo czwartej części *Dziadów* ma jakie znaczenie, to dar taki musiał poeta otrzymać z rąk Maryli. Gustaw na piersi nosi tę zawiązkę.

> Zawiązka miękka — z warkocza dziewicy —
> Lecz skorom tylko położył na łonie,
> Opasała mię wkoło nakształt włosiennicy:
> Pierś przejada i t. d.

Jeżeli o tym darze jeszcze powątpiewać można, to co się tyczy drugiego daru, o którym jest mowa w *Dudarzu*, to jest owego pamiątkowego listka, czy gałązki, historyczność jego zdaje się nie ulegać wątpliwości. Gustaw tyle razy wspomina o nim, tak wielką rolę odgrywa ta pamiątka w *Dziadach*, iż niepodobna przypuścić, aby szczegół ten jedynie ze zmyślenia poetyckiego wziął początek [1]). Gustawowi dany był

[1]) Od syna poety dowiedzieliśmy się niedawno (Żywot Ad. Mickiewicza I, 69), że ojciec jego chował w kopercie z napisem »Listy z Litwy« bileciki Maryli, jej portrecik miniaturowy i zeschły liść. Jest to ów liść, który dudarz chciał pokazać pasterce, a który w IV części *Dziadów* wywołuje z piersi Gustawa całe potoki uczuć.

wprawdzie ten listek przy ostatecznem rozłączeniu się jako pamiątka pożegnania, ale tak, czy inaczej, był to zawsze zakład serdeczny i tajemny. Występować z nim w poezyi we własnej osobie, nie wypadało; byłoby to jakby zdradzać go przed światem, a co ważniejsza, przed rodzinnem otoczeniem i znajomymi Maryli. Dlatego to, a nie przez chęć wprowadzania pasterskiego świata do poezyi, nauczyciel kowieńskiej szkoły zamienił się w pasterza, panna marszałkówna w pasterkę; dlatego to, chcąc usunąć podejrzenie, że romanca ta zaczerpnęła treść z życia poety, dodano pod tytyłem: »myśl z pieśni gminnej«. Pisząc czwartą część *Dziadów* poeta, jakkolwiek nikogo po imieniu nie nazywał, był jednak, jak zobaczymy, o wiele śmielszym w wyprowadzaniu na jaw swego miłosnego stosunku, ale też śmiałość ta, przynajmniej z początku, nie wszędzie była dobrze przyjętą i największy przyjaciel jego Zan pisał do Franciszka Malewskiego zaraz po wyjściu *Dziadów*, »że może niewczesne wyjawienie się ze swojemi miłosnemi uczuciami, niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie«. Tak więc ostrożność poety nie była nieuzasadnioną.

Dudarz pisany był po ostatecznem zerwaniu z Marylą; sam utwór wyraźnie o tem świadczy Późniejszym był od *Świtezi*, *Świtezianki*, *Rybki Kurhanka Maryli*, może od wszystkich in

nych ballad i romansów. Kreśląc w biograficznej części dalszy ciąg stosunku Adama z Marylą, powrócę jeszcze do tej romancy; tutaj muszę dodać, że jeżeli poeta chciał ukryć osobistość swoich uczuć i wspomnień »przed gminu obliczem«, to nie miał zamiaru ukrywać się z tem przed ukochaną, i owszem chciał, ażeby ona nie wątpiła, iż tu własne jego cierpienia są odmalowane, chciał, ażeby oddając szczęśliwszemu współzawodnikowi wieniec »z róż, lilii i tymianka« t. j. ślubny wieniec, dla niego zostawiła przynajmniej »łzy i rumieniec«. Dlatego to umierający pasterz poleca dudarzowi, aby zaśpiewał jego ukochanej piosenkę, którą były tryolety Zana, zapewne znane Maryli, a do ich wzajemnego stosunku zastosowane, bo wyrażały ów idealny kompromis, za pomocą którego Zan chciał kolizyę miłosną rozwiązać.

Jednemu oddajesz wieniec
Z róż lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec:
Ty jednemu oddasz wieniec!

Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilii i tymianka.

Dlatego w chwili skonania ostatniem słowem pasterza jest imię Panny Najświętszej. Aż tego użył sposobu poeta, ażeby do zbytku przeko-

nać Marylę, że to o nią chodzi w tej romancy, a jednak zarazem ukryć jej imię przed natrętnemi oczyma.

Z jednego jeszcze względu godnym uwagi jest *Dudarz*, mianowicie, że w nim uwydatniła się pewna właściwość muzy Mickiewiczowskiej, która polega na tem, że jakaś idea zapadłszy w głąb duszy poety, nieraz ale kilkakrotnie była wcielaną, w różny sposób, ale coraz doskonalej. Jak *Żywiła* jest pierwszą próbą *Grażyny*, tak *Dudarz* jest pierwszym szkicem do posągu wajdeloty — Halbana. Podobieństwo polega nie tylko na tem, że jeden i drugi jest starym pieśniarzem, że dudarz jest tak samo powiernikiem i przyjacielem pasterza, jak Halban Konrada, i że patrzy na śmierć przyjaciela, ale i w mniej rzucających się w oczy rysach. Rola, której się podjął lirnik dla swego przyjaciela: przechodzić Litwę »jak Niemen długi«, z pieśnią o cierpieniach i śmierci pasterza, — odpowiada zupełnie tej roli, jakiej się podejmuje Halban, gdy woła w przedśmiertnej godzinie Konrada:

> Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
> Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.

Dudarz ma wzrok sokoli: gdy go utopił w licu pasterki, to »zdał się przedzierać aż w serce«. I Halban ma taki wzrok, gdy go »zatapia w oblicze Konrada«:

Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy.

Wreszcie i Dudarz i Halban używają »pieśni« i »powieści« do obudzenia w sercach słuchaczy żalu, tu miłosnego, tam patryotycznego; i tu i tam »pieśń« i »powieść« dla niektórych tylko słuchaczy jest przeznaczoną, dla innych niezrozumiałą. Jednem słowem dwie te postaci są bardzo bliskie sobie, chociaż poeta, tworząc Wallenroda, zapewne nie zdawał sobie sprawy z tej ich bliskości. Ale to zestawienie prowadzi nas dalej, do innego jeszcze odkrycia, a przynajmniej przypuszczenia. W *Dudarzu* wszystkie główne postaci dadzą się wymieniać na rzeczywiste osoby: pasterz — jak wiemy — to poeta, pasterka — to Maryla, młodzieniec, który przy niej stoi, dla którego pasterka splata ślubny wieniec, — to pan Wawrzyniec Puttkamer. Miałżeby tylko sam Dudarz nie mieć za sobą żywej osoby? Nie, zdaje mi się, że pod maską sędziwego dudarza ukrywa się młody, ale poważny Tomasz Zan, którego przyjacielski stosunek do Mickiewicza i przyjacielski, opiekuńczy stosunek do Maryli czyni z niego postać pokrewną Dudarzowi. Jakby na potwierdzenie tego domysłu Dudarz śpiewa pieśń (tryolety) Tomasza Zana, pieśń, która właśnie charakteryzuje jego stosunek do nieszczęśliwej miłości jego dwojga przyjaciół.

Otóż, jeżeli jest prawdą, — a podobieństwo

jest wielkie — że Zana miał na myśli Mickiewicz, kreśląc postać Dudarza, to należy przypuścić, że ten sam Zan służył za punkt oparcia dla fantazyi poety, gdy tworzyła postać Halbana.

Na tem się kończy ten przegląd ballad i romansów Mickiewicza. Inne jego ballady: *Renegat, Czaty, Trzech Budrysów, Ucieczka* i *Alpuhara,* pisane później, nie należą do okresu, który nas obecnie zajmuje. Godną jest uwagi rzeczą, że jakkolwiek, podług świadectwa Odyńca, młodych poetów wileńskich do pisania ballad pobudziła naprzód *Lenora* Bürgera, ślady wpływu tego poety w poezyi Mickiewicza dają się dostrzegać dopiero w niektórych balladach z tej drugiej seryi. W pierwszej mistrzami-przewodnikami naszego poety byli, jak wiemy Goethe i Schiller, i godzi się teraz zastanowić, o ile pokrewnemi były ballady Mickiewicza balladom tych dwóch niemieckich poetów.

Goethe i Schiller, jakimi są w ogóle w poezyi swojej, takimi i w balladach. Poezya Goethego, szczególnie liryczna, utkana jest, jak to on sam ją określił, z wonnych powiewów ranka i z jasności słonecznej.

Aus Morgenduft gewebt und Sonnenklarheit.

Jest to poezya zadowolenia, poezya człowieka któremu dobrze na świecie, którego duch i ciało nie znają domowej wojny, żyją i używają zgo

dnie, a co ważniejsza używają mądrze, tak, iż niedoznają nigdy przesytu, nie tracą nigdy świeżości. Z jednakowem zadowoleniem spogląda Goethe na wszystko, co się swobodnie wyprzędza z natury, i tylko to, co zadaje gwałt naturze, zdoła w nim obudzić niechęć. Ale niechęć ta nie przechodzi w żądzę walki, nie narusza w poecie doskonałej równowagi, doskonałego spokoju, który graniczy nieraz z chłodem. Żyj ze światem w zgodzie, oto jedno z haseł, które Goethe wypowiedział, a którym był wierny w życiu i w poezyi. Ta pogoda i świeżość jego ducha nadaje poezyi jego harmonią, wdzięk i przezroczystość, a przedewszystkiem miarę, jaką tylko Grecy niegdyś znali.

U Schillera życie i poezya jest walką. Świat nie wydaje mu się tak słonecznie pogodnym, jak Goethemu, przeciwnie widzi on ciągłą walkę światła z ciemnością i chce przyspieszyć tryumf pierwszego. Jest to rycerz idei etycznej, gdy tymczasem Goethe jest przedewszystkiem śpiewakiem prawdy i natury. Dla Goethego prawda jest najwyższem bóstwem, dla Schillera sprawiedliwość. Nie ma w poezyi Schillera tej harmonii, spokoju, równowagi, jakie królują w poezyi Goethego, ale nie ma dlatego, że duszą jego wstrząsa potężny prąd uczucia; nie ma jasności słonecznej, która u Goethego świeci tylko, nie grzejąc, ale jest ogień, przy którym stroskane serca zawsze

ogrzać się i pokrzepić mogą. W poezyi Goethego czuć wszędzie artystyczną miłość natury, w poezyi Schillera — ludzką miłość bliźniego.

Mickiewicz jak w ogóle w poezyi swojej, tak i w balladach, bliższy jest duchem Schillerowi niż Goethemu. Czysto zmysłowe rozkosze miłości, które nieraz umiały natchnąć twórcę *Narzeczonej z Koryntu* i *Elegii rzymskich*, nie zdolne były rozbudzić poetyckiego natchnienia tak w Mickiewiczu, jak w Schillerze. Podobnie jak u Schillera, tak i u Mickiewicza, we wszystkich jego poważnych balladach, prześwieca, jak widzieliśmy, nie mądrość praktyczna, która nieraz tryska żywym zdrojem z poezyi Goethego, ale wyższa idea moralna. Jeżeli wyjdziemy za obręb ballad, okaże się jeszcze więcej pokrewieństwa duchowego pomiędzy Mickiewiczem a Schillerem, w przeciwstawieniu do Goethego. Ojczyzną Goethego jest sztuka; wielkie prądy liberalne i patryotyczne nie poruszają jego serca. Mickiewicza, podobnie jak Schillera ożywia zapał dla wolności, a miłość narodu w żar zamienia serce polskiego poety. I pod względem pojęć religijnych bliższym jest Mickiewicz deiście Schillerowi, niż panteiście Goethemu.

Jeżeli z drugiej strony porównamy natury artystyczne tych trzech geniuszów, jeżeli zwrócimy uwagę na formę ich poezyi, to w tym względzie okaże się większe pokrewieństwo pomiędzy Goe-

them a Mickiewiczem, niżeli pomiędzy tym ostatnim a Schillerem. Schiller jest przedewszystkiem dramatycznym poetą, wspaniale maluje walkę namiętności i przekonań, posiada dar elokwencyi poetyckiej, której obfitość bywa nawet czasem nużącą, ale brak mu plastyki, świeżości i naiwnego wdzięku wyrażenia, któremi to zaletami jaśnieje poezya Goethego i Mickiewicza. Pod względem muzykalności formy, również bliższym jest Mickiewicz Goethemu niż Schillerowi. U Goethego każda ballada ma swój osobny ton liryczny, i rytm wiersza jest jakby wcieleniem tego tonu, stąd ta cudowna harmonijność jego ballad. U Schillera pomimo rozmaitości rytmu panuje monotonia, bo wszystkie ballady są jakby z jednego tonu brane, prawie wszystkie mają nastrój jednakowo poważny. W balladach Mickiewicza nie ma może tak wielkiej jak u Goethego rozmaitości tonów, już choćby dlatego, że i ballad mniej napisał Mickiewicz, nie wszędzie może jest tak szczęśliwa zgoda pomiędzy tonem a rytmem, bo niezapominajmy, że większa ich część należała do pierwszych prób poetyckich — w każdym razie w porównaniu z balladami Schillera, ballady naszego poety odznaczają się wielką rozmaitością tonów, wielką muzykalnością wiersza. Przeczytajmy sobie następujące ballady, jak z dawniejszych: *Świteziankę, Powrót taty, Panią Twardowską, Lilie*, z późniejszych: *Czaty, Ucie-*

czkę, Alpuharę, a wszędzie znajdziemy inny ton liryczny i inną muzykę wiersza. Zdarza się czasem wprawdzie u Mickiewicza, że się ton liryczny łamie, z humorystycznego przechodzi w poważny lub odwrotnie, co jużciż jest ułomnością utworu, ale ma to miejsce tylko w *Świtezi*, gdzie ramy ballady nie są dostrojone do głównej treści, i w *Tukaju* z powodów, które już starałem się wyjaśnić.

Ta to pokrewność pomiędzy artystyczną naturą Mickiewicza i Goethego była przyczyną, że forma poezyi weimarskiego mistrza daleko więcej przypadała naszemu poecie do smaku, niż forma poezyi Schillera, i że bardziej od tej ostatniej stawała się wzorem dla niego. Jaki miała urok ta forma dla Mickiewicza, widać z wykrzyknika Gustawa w *Dziadach:* »Ach, jeśli ty Goethego znasz w oryginale!« Że zaś Schiller duchem swoich utworów wielkie sprawiał wrażenie na Mickiewiczu, mamy na to także własne świadectwo naszego poety w jednym z wileńskich jego listów: »*Dżaura* zapewne wytłómaczę — wszakże ten może największy poeta (Byron) nie wypędzi z kieszeni Schillera; odkrycie w nowej edycyjce kilku nieczytanych poezyi długo nie dało mi wrócić się do angielszczyzny«.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka utworach, które umieszczone były przy końc pierwszego tomika, pod ogólnym tytułem: *Wie*

sze różne. Pierwszym z nich był hymn na dzień Zwiastowania N. Panny Maryi [1]). Jest to utwór, przypominający jeszcze niektórymi ustępami manierę klasyczną i chłodem z niego wieje tak samo, jak ze znanego nam wiersza: *Już się z pogodnych niebios.* Chłód ten szczególnie wyda się nam rażącym, jeżeli hymn porównamy z wezwaniem do Panny świętej, od którego rozpoczyna się *Pan Tadeusz.* W tem wezwaniu tyle ciepła, rzewności i prostoty, tutaj zaś panuje grzmiąca, ale chłodna dytyrambiczność. Mimo chłodu jednak są w tym hymnie ustępy wspaniałe i niepozbawione prostoty jak n. p. początek:

Pokłon Przeczystej Rodzicy!
Nad niebiosa twoje skronie,
Gwiazdami twój wieniec płonie,
Jehowie na prawicy.

Wogóle o stylu hymnu można powiedzieć, że jest jakby pośredniem ogniwem między manierą klasyczną a stylem *Ody do młodości. Warcaby* umieszczone także w tym dziale *Wierszy różnych*, pisane są manierą klasyczną, ale w nich maniera stosownie jest dobrana do rodzaju poezyi, do którego *Warcaby* należą, mianowicie do po-

[1]) Obszerniej o tym wierszu mówię w rozprawie p. t. *Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny*, która ma się niebawem ukazać w jubileuszowym roczniku Pamiętnika Tow. im. Ad. Mickiewicza.

ezyi dydaktycznej. Jest to przytem dydaktyka szczególnego rodzaju, zabarwiona zlekka żartobliwym tonem, który się bardzo przyjemnie kojarzy z powagą klasycznej formy. Czuć tu, że forma nie krępuje poety, że panuje on nad nią i gdy pod koniec utworu rzuca dydaktykę, aby przejść w liryzm, wiersz jego, posłuszny uczuciu, nabrzmiewa czułością.

Warcaby miały być naśladowaniem *Szachów* łacińsko-włoskiego poety Vidy, tak pięknie spolszczonych przez Kochanowskiego. Sam poeta nazywa się naśladowcą.

O Wido! gdybym dostał twój pędzel bogaty!
Wido! tak biegle w polskie przestrojony szaty!
Zdarz, niech twojego torem idąc wynalazku,
Opisom swym udzielę powabu i blasku!

Naśladownictwo to jednak ogranicza się tylko na wyborze przedmiotu, na pewnem podobieństwie tonu w głównej dydaktycznej części *Warcab*, zresztą poszedł Mickiewicz własną drogą. U Widy albo raczej u Kochanowskiego, opis gry wpleciony jest w powiastkę; Mickiewicz przemawia ciągle od siebie i systematycznie naucza przyjaciela, Franciszka Malewskiego, jakie są prawidła gry, jaką jest taktyka wojenna, prowadząca w tej grze do zwycięstwa.

Cóż pobudziło Mickiewicza do podjęcia tego tematu? Objaśnień w tym względzie dostarcza

nam sam poemat, mianowicie końcowy jego ustęp, poświęcony wspomnieniom tych chwil, które poeta spędzał przy warcabnicy z Marylą. Były to błogie chwile dla zakochanego młodzieńca; miał kochankę przed sobą, czuł się złączonym z nią słabym wprawdzie i chwilowym, ale zawsze jakimś węzłem, wydzielającym ich przynajmniej na ulotną chwilkę z reszty towarzystwa, mógł swobodnie patrzeć w jej oblicze:

Tyś patrzyła w warcaby — ja w oblicze twoje.

Te błogie wspomnienia takim urokiem otoczyły dlań grę w warcaby, że postanowił uświetnić ją w poezyi, co tem łatwiej mógł uczynić, że w grze tej był biegłym (»Warcaby, niegdyś moja zabawko ustawna«).

Franciszek Malewski nie podzielał, jak się zdaje, tego zamiłowania w warcabach; stąd te wiersze do niego:

Franciszku! czuły sercem a zimny z urzędu,
Nie znasz miłości, nie masz dla warcaby względu.
Pozwól, niech tobie gry tej prawidła wymienię;
Bo tamtej — jedno kiedyś nauczy spojrzenie.

Końcowy ustęp, odnoszący się do stosunku z Marylą, ważnym jest i w biograficznym względzie. Już nieraz odwoływałem się do niego; tu wypada mi powtórzyć, co już raz nadmieniłem, że jakkolwiek wyraża on rezygnacyą, rezygna-

cya ta nie jest tak posępną jak w *Dudarzu*. Czułość, lekka żartobliwość i powaga klasyczna w tym ustępie spływają nadzwyczaj szczęśliwie w jeden akord, który świadczy, że owa rezygnacya nie była jeszcze kamieniem mogilnym dla wszystkich nadziei poety.

Ustąpię, jęki nawet z głębi nie wypadną;
Lecz pamiętam — bo pamięć nie jest mi podwładną!
Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,
Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.

Symbolicznym niejako obrazem nadziei, która jeszcze nie opuszczała poetę, jakkolwiek była wątłą i chwiejną, jest to nadludzkie zjawisko, z którego się przy końcu poeta spowiada swemu przyjacielowi:

Raz, gdy już świateł lampa konająca skąpi,
Nagle się gęstwa cieniu koło mnie rozstąpi;
Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie:
Alić jasny powietrzem anioł spływa ku mnie.
Boże! to jej twarzyczka jak poranek blada;
Włos na szyję srebrnymi promykami spada.
Chmurka jej przezroczysta za sukienkę służy,
Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży —
Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie,
Widziałem ją, w codziennej obecną postawie,
Tylko mającą bardziej jasności dokoła,
Więcej boską — bo więcej piękną być nie zdoła!
Ku stolikowi potem przyśliznęła kroku;
Spotkaliśmy się okiem, cały byłem w oku,
Sercem tak blisko serca i licem do lica,
Szczupła nas rozdzielała tylko warcabnica.

Odtąd już wielokrotnie w przedporanne cienie,
Bóg jest łaskaw podobne zsyłać mi widzenie.
Zawżdy około warcab powabi się zbliska,
Lecz nie chce, abym graniem zmienił stanowiska.

W istocie było to zawieszenie gry miłosnej. W perspektywie groziła poecie przegrana, ale dopóki gra nieskończona, można jeszcze zawsze łudzić się nadzieją, liczyć na jakiś szczęśliwy wypadek. Wszak i Fiedor w *Szachach* Kochanowskiego już »obrony żadnej od metu nie widział« kiedy za szczęśliwą poradą królewny odniósł zwycięstwo nad przeciwnikiem i posiadł tęż królewnę.

Oznaczyć dokładnie daty napisania *Warcab* nie umiem, ale z tego co się dotąd powiedziało o nich, jasno wynika, że były napisane przed ślubem Maryli (1821, 2 lutego) prawdopodobnie 1820 r.

O *Żeglarzu,* króry poprzedzał *Warcaby,* będzie mowa w okresie *Dziadów.* Ostatnim wierszem, zamykającym pierwszy tomik poezyi Mickiewicza, był sonet p. t. *Przypomnienie.* Zjawiał się on tutaj, jak gdyby zapowiedź przyszłej sonetowej twórczości poety, a dziś służy nam za wskazówkę, że jednocześnie z oddziaływaniem na naszego poetę niemieckich i angielskich poetów, pociągał go także ku sobie słodyczą strof swoich Petrarka. Prawdopodobnie zaznajomił się się Mickiewicz z tym poetą jeszcze na ławie

uniwersyteckiej, jako słuchacz profesora Capellego, który wykładał w uniwersytecie wileńskim literaturę włoską po francusku, a w r. 1817 wydał w Wilnie rozprawę p. t »Petrarka uważany jako poeta, filolog i moralista«.

W sonecie tym słodycz Petrarkowych pieni owiana jest jakąś księżycową melancholią północnego nieba. Rzeczywisty stosunek poety do kochanki, która tu nosi imię Laury, znika jak we mgle. Jestże *Przypomnienie* rzeczywistem przypomnieniem jakichś chwil szczęśliwych dla poety, kiedy kochanków »wzajemne tłómaczących chęci, późnej nocy miłośna osłaniała szata«, i tylko księżyc wyzierając z pod bladego obłoku rozświecał śnieżne piersi i złote pierścienie włosów kochanki? Kiedy w słodkiem zachwyceniu spotykały się usta, oko ginęło w oku i z westchnieniem mieszało się westchnienie?

Tu granica domysłów i biograf zatrzymuje się przed tą mgłą poetycką, w której nie może odróżnić zmyślenia od rzeczywistości.

TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

Str.

Objaśnienie 1

I. Czasy dzieciństwa 1798—1815.

I. Przodkowie Mickiewicza. — Mickiewicz dzieckiem wsi i miasta. — Ojciec, matka i rodzeństwo poety. — Służba i goście w domu jego rodziców 5

II. Mickiewicz w szkole. — Charakterystyka szkół zakonnych. — Sądy studenckie. — Zabawy wojenne. — Bójka z dragonami. — Wrażenia z r. 1812. — Matka przeczuwa geniusz syna 21

II. Pierwsze lata w Wilnie 1815—1818.

I. Przyjazd do Wilna. — Ksiądz Mickiewicz. — Egzamin. — Poznanie się z Zanem 39

II. Mickiewicz w nowej sferze. — Wilno w latach 1815—1818. — Znaczenie uniwersytetu. — Znakomitsi profesorowie. — Walka nowych pojęć z dawnymi. — Wiadomości brukowe i klub Szubrawców. — Wolne

Str.

mularstwo i mesmeryzm. — Dzienniki. — Teatr. — Zabawy i rozrywki wileńskie. — Życie uliczne 46

III. Młodzież uniwersytecka. — »Zima miejska«. — Stosunek poety do opiekuna. — Jego zajęcia naukowe i stosunek z Borowskim. — Trembecki i Piotr Kochanowski jako wzory. — Bajki Mickiewicza. — »Kartofla«. — »Uwagi nad Jagiellonidą«. »Żywila i »Karylla« 85

III. Filaretyzm i romantyzm 1818—1821.

I. Grono przyjaciół Mickiewicza. — Zawiązanie się towarzystwa Filomatów, ich cele i ustawy. — Wiersz Mickiewicza: »Już się z pogodnych niebios i t. d.«. — Zan i jego teorya promionkowa. — Promieniści i Filareci . 123

II. Serce Mickiewicza przed poznaniem Maryli. — Tuhanowicze i okolica. — Pierwszy przyjazd Mickiewicza do Tuhanowicz. — Maryla i jej otoczenie. — Wawrzyniec Puttkamer. — Jakim się Mickiewicz wydał Maryli. — Pierwsza faza jego miłości dla niej 171

III. Zwrot ku romantyzmowi. — Wpływ dzieła pani de Staël: »O Niemczech«. — Rozprawa Brodzińskiego »O klasyczności i romantyczności«. — Odpowiedź Śniadeckiego. — »Uwagi nad poezyą i wymową« Borowskiego. — Samodzielność Zana. — Pobudka do pisania ballad . . . 196

IV. Mickiewicz mianowany nauczycielem w Kownie. — Szkoła kowieńska i jej nauczyciele. — Samotność poety. — Dolina kowieńska. — Wycieczki do Wilna . . 216

V. Wpływ życia filareckiego na poetę. — Jego poezya filarecka: »Hej radością oczy błysną«, »Hej użyjmy żywota«, »Toasty«, »Oda do młodości«. — Porównanie ducha filareckiego z szubrawskim 234

VI. Rozprawa o romantyczności. — O poezyi ludowej z powodu ballad. — »Pierwiosnek« i »Romantyczność«. — Ballady i romanse: »Świteź«, »Świtezianka«, »Rybka«,

Str.

»Powrót Taty«, »Kurhanek Maryli«, »Do przyjaciół«, »To lubię«, »Rękawiczka«. — Podanie o Twardowskim. — »Pani Twardowska«, »Tukaj«, »Lilie«, »Dudarz«. — Porównanie ballad Mickiewicza z balladami Goethego i Schillera. — »Hymn do Najśw. Panny«. — »Warcaby«. — »Przypomnienie« 263

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

5445695

JAN 21 57 H